

PAMIĘTNIK
FELIKSA HR. ŁUBIENSKIEGO

MINISTRA SPRAWIEDLIWOŚCI

skreślił i opracował

WŁ. CHOMĘTOWSKI.



WARSZAWA.
Nakładem Gebethnera i Wolffa.

—
1876.

~~36130~~

I

Krauscher Warszawa, 12. III, 32.

Дозволено Цензурою.

Варшава. 17 Октября 1875 года.

67185

I



PRZEDMOWA.

Niniejszy życiorys zasłużonego męża stanu z czasów Rzeczypospolitej i Księstwa Warszawskiego, nakreśliłiśmy na podstawie jego własnego pamiętnika, w zestawieniu z innemi źródłami. Pamiętnik ten, przechowujący się dotąd w rękopiśmie, jakkolwiek jest obfitym i cennym materiałem, pisany wyłącznie dla rodziny, nie był przeznaczony do druku. Sędziwy autor powodowany tą myślą, nie troszczy się zupełnie o formę, opowiada wypadki lat minionych nie w chronologicznym porządku, ani też według obmyślanego planu, lecz w miarę jak przesuwały się w jego pamięci. Ztąd napotyamy niedokładności lub powtarzania w opowiadaniu, obok szczegółów niekiedy odnoszących się wyłącznie do stosunków rodzinnych, niebudzących ogólnego zajęcia.

Otrzymawszy odpis pamiętnika, dzięki uprzejmości pana Ad. Am. Kosńskiego, uważaliśmy

za stosowne skorzystać z bogatego zawartego w nim materiału, mianowicie do życiorysu męża, którego działalność w zawodzie publicznym, o ile wiemy, nie znalazła dotąd w literaturze naszej historycznej należytej oceny.

W pierwszej części pamiętnika napotkaliśmy charakterystyczne szczegóły, dotyczące życia domowego i obyczajów z drugiej połowy XVIII wieku. Występuje tu Feliks Łubieński, najprzód jako poseł na sejm 1777 r. mianowany po tym sejmie starostą Nakielskim, następnie jako jeden z najczynniejszych posłów sejmu czteroletniego.

W dalszym ciągu, mianowicie z czasów księstwa Warszawskiego, znaleźliśmy obfite źródło do przedstawienia publicznego stanowiska Łubieńskiego, kiedy razem z teką ministra dostało mu się w udziale przeprowadzenie jednego z najtrudniejszych zadań — reformy sądownictwa. Stosownie więc do treści, dzielimy opowiadanie nasze na dwie części: w pierwszej skreślamy dzieje młodości, w drugiej — publicznego zawodu Feliksa hr. Łubieńskiego.

W. Ch.

CZEŚĆ PIERWSZA.

I.

Wieczór w domu wojewody inflanckiego. Niefortunne małżeństwo. Poseł kaliski na sejmie 1778 r. Jego wychowanie i młodociane lata. Układy o rozwód.

W Warszawie 1778 r. w miesiącu Październiku było ruchliwie i gwarno, jak zazwyczaj w epoce odprawiającego się sejmu, mianowicie w części miasta położonej w pobliżu zamku królewskiego. Po całych dniach roily się tłumy ludzi w różnobarwnych polskich oraz niemieckich, lub nawpół polskich strojach. Przejżdżały po ulicach—Krakowskiem-Przedmieściu, Miodowej i Senatorskiej—pyszne powozy z insygniami herbów i urzędów. Panowie nosili się w tej epoce po większej części po francuzku, nie pogardzali jednak staropolskim przepychem. Stangreci i forysie mieli żupany i ferrezye oraz wysokie kołpaki. Szory na koniach były złożone, z czubami na łbach złocistemi, jedwabiem przerabiane i piórami strusiem przyozdobione. Za karetą stawało dwóch, trzech lub czterech hajduków, w okrągłych kapeluszach o szerokich skrzydłach. Niektórzy panowie otaczali się liczną kawalkatą dworzan,

assystujących na koniach, w kontuszach, żupanach i przy karabelli.

Wieczorem, równie jak we dnie, był duży ruch powozów, zjeżdżano się bowiem w senatorskich i zamożniejszych domach, gdzie zabawiano się niekiedy muzyką, tańcami, ale najpowszelej i najpowszechniej grą w karty; była to najulubiensza, najmodniejsza owych czasów rozrywka.

Zgromadzano się wieczorami między innymi w mieszkaniu Rogalińskiego, wojewody inflanckiego, w pobliżu kościoła OO. Kapucynów, na Miodowej ulicy. Było to przeważnie męskie towarzystwo, w tej liczbie kilku senatorów i kilku posłów. Książę Kalikst Poniński, starosta bractawski, i przyjaciel domu Piotr Bieliński, najczęstszymi byli gośćmi.

Wojewoda inflancki miał żonę i córkę. Córka wojewody zaślubiła przed kilkunastu miesiącami dziewiętnasto-letniego młodzieńca, Feliksa Łubieńskiego, którego wówczas obrano posłem na sejm z województwa kaliskiego. Młodzi małżonkowie od czasu przyjazdu ze wsi do Warszawy, zwrócili powszechnie uwagę znajomych. Pani młoda pędziła bowiem długie wieczory samotnie, gdy mąż jej zabawił się w gronie innych posłów, najrzadszym zaś był gościem na pokojach teścia, chociaż mieszkał z żoną w jego domu.

W czasie jednego z pomienionych wieczorów, w domu wojewdy inflanckiego, goście siedzieli za kilku stołami przy kartach. Gospodarz domu nie brał w grze udziału, lecz starał się zabawić przytomnych rozmową, przechadzając się z miejsca na miejsce. Rozwarły się drzwi przyległego pokoju, wysunęła się niewiasta mająca około lat czterdziestu, ufryzowana i ubrana według ówczesnej mody. Była to wojewodzina; rzekła słów parę na ucho mężowi i wyprowadziła go na stronę. Małżonkowie rozmawiali żywo; na twarzy wojewody odmalował się najprzód wyraz podziwienia, później chmura troski zasepiła mu czoło. Po krótkiej naradzie, mąż wydalik się do pokoju córki, żona pozostała z gośćmi.

Córka wojewody, żona kaliskiego posła, miała lat ośmnaście, nie odznaczała się osobliwą pięknnością, ale dla zgrabnej kibici i regularnych rysów twarzy, zaliczano ją do szeregu nadobnych niewiast. Zdawałoby się, że młodzi małżonkowie, powinni byli stąpać po zasłanym różami kobiercu, zwłaszcza w pierwszym roku po-brania. Tymczasem nie sądzonem im było to szczęście. Poślubieni w nader młodocianych latach, nie w skutek skłonności własnego serca lecz za namową znajomych, od czasu wesela żyli na stopie obojętnej, zimnej grzeczności, jak dalecy znajomi lub powinowaci. Tak przepędzili pierwszą zimę i lato na wsi, osładzając

czytaniem książek nudy wymuszonego małżeńskiego pożycia. Rzadko nawiedzali ich goście, oprócz jednego przyjaciela, którego obecność pożądana była dla męża, jako też dla żony. Młoda mężatka odznaczała się tak poważnem obejściem, że nikt nie ośmieliłby się uczynić jej zarzutu lekkomyślności. Szczególny wzajemny stosunek małżonków, dla wszystkich na wsi był tajemnicą. Dopiero z dniem przyjazdu do Warszawy, spadła osłaniająca ich pożycie zasłona. Odtąd zwrócono oczy na młodych małżonków: spostrzeżono niebawem nie tylko brak miłości i harmonii, lecz zupełną obojętność w ich stosunku. Panią młodą widziano zawsze samą w towarzystwie tylko matki, pana młodego w gronie przyjaciół. Powstały ztąd rozmaite domysły i wieści, które obłyły się też o uszy rodziców i młodej mężatki. Córka wojewody, zimna i obojętna względem męża, poczuła się srodze dokniętą, i nie mogła zataić dłużej gwałtownego rozdrażnienia, pod wpływem obrażonej miłości własnej. Tego właśnie wieczora wyznała matce, że zawarła związek małżeński stosując się do woli rodziców, chociaż nie czuła nigdy dla narzeczonego głębszego affektu. Przyjmując oświadczenie posła kaliskiego, odpłaciła za okazaną przyjaźń dla jej domu; spostrzegła atoli prędko, że tak zimny stosunek nie wystarcza w małżeńskim pożyciu. Obojętność dla niej męża, aż nadto jawna i rażąca, zwraca uwagę

wszystkich, wystawia ją na obmowy i szyderstwa, zatem stosunek ten stał się dla niej niemożliwy i niepodobnym dalsze pożycie. Wyznanie to zakończyła następującymi słowy: „Nie zniosę dłużej tego poniżenia; proszę cię mamo powiedz ojcu, że żadną miarą żyć z mężem nie mogę i muszę pójść do rozwodu.”

Okrzyknęła się zrazu matka przeciwko nagłemu postanowieniu córki.

— Co mówisz, dla Boga! chcesz rozwieść się z młodym, powszechnie lubianym i szanowanym człowiekiem, dla plotek i kilku słów niebaczących, które poszepnęły złe języki. Zastanów się co czynisz. Poseł kaliski jest ulubieńcem króla i ma wielką przyszłość przed sobą; jest on przytem najlepszym twego ojca przyjacielem i daje nam liczne dowody...

—Ale mnie daje dowody najzupełniejszej obojętności—przerwała córka.—Niech będzie przyjacielem naszego domu, ale nie chcę go mieć dłużej mężem. Zaklinam cię mamo, powiedz to ojcu.

Widząc tak stanowczą rezolucję córki, nie opierała się dłużej matka i zakomunikowała ją mężowi.

Podobnie szybkie i gwałtowne postanowienia nie były nadzwyczajnością w owym czasie. Rozwódzono się bardzo często dla najbliższej przyczyny. Rozwody praktykowane u nas rzadko w XVII-m wieku, upowszechniały się z początkiem XVIII-go w wyższych społeczeństwa sfe

rach. Zły przykład spływający z góry oddziaływał niekorzystnie na stosunki rodzinne niższych warstw społeczeństwa, mianowicie w Warszawie. W pismach publicznych owego czasu, można było spotykać się niemal codziennie z ogłoszeniami żon poszukujących zaginionych mężów i odwrotnie. Tam bowiem gdzie nie było środków pieniężnych do urzędowego poparcia rozwodu, radzono sobie innym sposobem. Mąż lub żona uciekali pewnego poranku z domu i przepadali na długie lata, niekiedy na zawsze bez wieści. Siedlisko złęgo było w Warszawie, gdzie według wiarogodnego współczesnego świadectwa, dziesięć razy więcej było rozwodów, niżeli w Polsce i Litwie całej. Z okoliczności tej, poeta nasz Franciszek Karpiński pisze w swym pamiętniku, jako przy pisaniu intercyz ślubnych oznaczano niekiedy sumę, którą wypłacić będzie winna strona domagająca się rozwodu.

Dosadnie kreśli warunki owych intercyz przedślubnych Krasicki w satyrze: „Żona miodna:”

Przyszło do intercyzy. Punkt pierwszy, że w mieście
 Jejmość przy doskonałej francuzkiej niewieście,
 Co lepiej, bo Francuzka, potrafi ratować,
 Będzie mieszkać, ilekroć trafi się chorować.
 Punkt drugi, chociaż zdrowa, czas na wsi posiedzi,
 Co zima jednak miasto stołeczne odwiedzi.
 Punkt trzeci, będzie miała swój ekwipaż własny.
 Punkt czwarty, dom się najmie wygodny, nie ciasny;

To jest apartamenta paradne dla gości,
 Jeden z tyłu dla męża, z przodu dla jejności.
 Punkt piąty: a broń Boże! Zląkłem się. A czego?
 — Trafia się, rzekli krewni, że z zdania spólnego
 Albo się węzeł przerwie, albo się rozłączy.
 — Jaki węzeł? — Małżeński. — Rzekłem: ten śmierć
 [kończy.

Rozśmielili się z wieśniackiej przytomni prostoty.
 I tak płacąc wolnością niewczesne zaloty,
 Po zwyczajnych obrządkach rzecz poprzedzających,
 Jestem wpisany w bractwo braci żałujących.

Bądź co bądź, nie podobała się wojewodzie inflanckiemu wieść o postanowieniu córki. Cenił zdolności zięcia i obszerne stosunki, rokujące mu świetną przyszłość. Skoro więc stanął przed córką, nie szczędził napomnień i uwag, w myśli, że w płynie na zmianę jej postanowienia. Wyliczywszy zalety zięcia, nakłaniał ją do pobłażliwości i pojednania. Przekonał się atoli wkrótce, że nie przełamie uporu rozdrażnionego niewieściego serca. Rozżalona pani powtarzała ciągle, że żyć nie może z mężem; zatem zaklinała ojca, ażeby mu to oświadczył w jej imieniu. Wojewoda był nader miękkiego serca w stosunkach z niewiastami, mianowicie z żoną i córką. Wzruszony prośbą i łzami, zgodził się na przełożenie żądania córki zięciowi, pozostawiając jego dobrej woli obronę własnej sprawy w obliczu małżonki.

Skoro powrócił wojewoda do salonu, w którym zabawiali się goście, ukazał się niebawem

we drzwiach poseł kaliski. Zwróciły się na niego oczy wszystkich obecnych. W szeregu młodych ludzi, którzy wystąpili w tym czasie w zawodzie publicznym, budził on bez wątpienia największe zajęcie. Widywano go często na pokojach króla i w najpierwszych salonach warszawskich: u księżny kanclerzyny Czartoryskiej, hetmana Ogińskiego, pani kasztelanowej Krakówskiej i wielu innych.

Zanim przystąpimy do opowiadania drugiej części dramatu, odegranego na pokojach wojewody inflanckiego, musimy zaznajomić bliżej czytelników z osobistością bohatera niniejszego opowiadania:

Feliks Walezyusz Łubieński, poseł z województwa kaliskiego, był synem Celestyna, szambelana króla Augusta III-go, i Pauliny Szembekówny. Ojciec umarł wkrótce po urodzeniu syna. Matka w rok później wyszła za mąż, za Potockiego starostę guzowskiego; po nagłym zaś skonie tegoż, wstąpiła po raz trzeci w związki małżeńskie, z Ogińskim miecznikiem litewskim. Urodził się Feliks w domu babki Jadwigi, 1-mo voto Szembekowej, 2-o Kazimierzowej Łubieńskiej, starościny Ielowskiej. Wychowywał się u niej do lat pięciu, poczem stryj ojca, Władysław arcybiskup gnieźnieński, prymas, wziął go do swego domu. Uczył się najprzód w Skierniewicach, pod dyrekcją księdza Pepłowskiego; później w Warszawie uczony ks,

Albertrandi, jezuita, był jego guwernerem. Udarowany bystrą pamięcią uczeń, czynił szybkie postępy w historyi, geografii, rachunkach i geometryi. Pochlebialo to miłości własnej guwenera, gdy mały jego uczeń, w przytomności króla, prymasa i innych znakomitych osób, długie deklamował z pamięci ustępy.

Dwór prymasa odznaczał się przepychem, mnóstwo panów i dworzan uwijało się na jego pokojach; atoli podwójną otaczał się świetnością, jako interrex w epoce bezkrólewia. Skoro wyjeżdżał prymas, dwudziestu czterech dworzan ze znakomitszej szlachty poprzedzało na koniach jego karetę. Po lewej stronie jechał marszałek dworu prymasa, kasztelan Zbijewski, po prawej stronie krucyfer ks. Szaniawski, za nimi dwóch laufrów, dwunastu hajduków, tyluż strojnie ubranych lokai, przy koźle karety na stopniach stało dwóch paziów. W drugiej i trzeciej karecie za prymasem jechali prałaci. Sześćdziesięciu dragonów na koniach zamykało długi orszak, zapelniający całą przestrzeń od prymasowskiego pałacu do zamku.

Tak więc synowiec prymasa otoczony był w dziecięcych latach przepychem prawie królewskim, dworacy pieścili go i psuli pochlebstwami. Po śmierci stryja, opiekunem jego został Młodziejowski, audytor prymasa, później biskup poznański. Oddany do szkół księży jezuitów, w ciągu lat pięciu ukończył tamże kurs nauk

za rektorstwa księdza Wyrwicza. Około 1772 r. wysłał go opiekun dla dokończenia edukacji do Włoch, z polecającemi listami króla Stanisława Augusta.

Zatrzymał się młodzian w Wiedniu, gdzie odwiedził babkę, z domu Łubieńską, Helenę Izabellę hr. Salmour, która była ochmistrzynią Maryi Antoniny (później królowej francuzkiej) i Maryi Józefy (później królowej neapolitańskiej), arcyksiężniczek austriackich. Hrabina przy rozstaniu z wnukiem dała mu list polecający do Wielkiego Księcia Toskańskiego. Przedstawił się więc temu księciu we Florencyi i wyjechał opatrzony jego rekomendacją do Sieny, gdzie wstąpił do akademii. Gubernator miejscowy opiekował się nim troskliwie, zapraszał go na obiady i wieczory. Uczęszczał młodzian do akademii nader krótko; tracąc wiele czasu na zabawy i towarzystwa, nie mógł oddać się gruntownym studyom. Gubernator upoważniony do czuwania nad jego nauką we Włoszech, wysłał go dla dalszego kształcenia do Rzymu. Listy króla do posła polskiego, rezydującego przy Stolicy Apostolskiej, i do kilku kardynałów, otworzyły młodzieńcowi podwoje do salonów książąt Borghese, Doria i innych. Towarzystwo spotykane w pałacach tych panów, wpływało na powierzchowną jego ogładę, ale stało się zarazem przeszkodą do korzystania z nauk. Piętnastoletni młodzian, opa-

trzony znacznym funduszem przez opiekuna, mógł łatwo rzucić się w wir światowych zabaw i odstąpić na zawsze od poważnych studyów. Wychowany atoli w szkole jezuitów, przejęty szacunkiem dla tego zgromadzenia, pragnął włożyć suknię duchowną. Nie gonił więc za rozrywkami młodocianego wieku i przebywał najczęściej w towarzystwie Polaków, poważnych równie umysłowo, którzy kształcili się, naówczas w Rzymie. Było to w miesiącu Lutym 1773 r., na kilka dni przed wydaniem bulli ogłaszającej kassacyę zakonu jezuitów, kiedy młody Łubieński oświadczył generałowi Ricci, że pragnie wstąpić do zgromadzenia OO. Jezuitów. Generał przewidywał, że wkrótce roztrzygnie się los zakonu; odpowiedział więc, że w oczekiwaniu nader ważnych zmian w łonie tegoż, nie może zadość uczynić żądaniu młodzieńca i doradza, ażeby odłożył do czasu spełnienie swego postanowienia.

W kilka dni dowiedział się Łubieński o kassacyi zakonu. Wypadek ten wpłynął stanowczo na dalsze jego losy. Rozstawszy się z myślą włożenia sukni kapłańskiej, postanowił wyciągnąć umysłową korzyść z podróży po Włoszech. Wabiły go niewymownym urokiem pamiętki starego Rzymu. Zaoszczędzone pieniądze obracał na zakupywanie starych monet, medali i mozaik. Zwiedził celniejsze miasta, w tej liczbie Neapol, gdzie wzbogacił szacownemi

nabytkami swą kollekeyę. Kształcił się jednocześnie, odczytując pilnie dzieła o historii, prawodawstwie, oraz zabytkach starożytnego Rzymu. Czytaniem zastąpił poniekąd brak systematycznie prowadzonych studyów. Poczerpnięte z dorywczego czytania wiadomości, nie wzbogaciły w prawdzie jego umysłu gruntownym zasobem wiedzy, ale o wiele podniosły powierzchowne wykształcenie.

Po latach trzech podróży, powrócił Łubieński do kraju z bogatym plonem starożytnicznych pamiątek. Przedstawił się królowi i jak najłaskawiej był od niego przyjęty. Księżę kanclerz Czartoryski zachwycony zbiorem medali, powziął dobre mniemanie o wykształceniu młodzieńca i zaprojektował, aby pracował w jego kancelaryi. Światowa ogłada, w połączeniu z darem wymowy, czyniła go pożądanym gościem w salonach warszawskich, jak księcia kanclerza, Ogińskiej hetmanowej, Humieckiej z domu Rzewuskiej, miecznikowej koronnej, księżny Sanguszkowej marszałkowej W. W. K. L., i pani kasztelanowej krakowskiej. Odtąd droga do zaszczytów i urzędów stała przed nim otworem. Marzenia atoli świętej przyszłości, nie przyćmiły zdrowego sądu młodzieńca; jakoż poczuł brak wiadomości, które są owocem głębszych studyów. Uważał, że otoczony wirem zabaw warszawskich, nie może poświęcić się wytrwałej pracy. Z myślą więc dalszego kształce-

nia się w naukach wśród ciszy i samotności wiejskiej, wyjechał do Szczytnik, majątku swego w sieradzkim.

Młody dziedzic znalazł gospodarstwo zupełnie zaniedbane. Zarządzał dobrami niejaki Jasiński, nietroszczący się nietylko o podniesienie gospodarstwa, ale nawet o utrzymanie w porządku budynków i inwentarza. Stodoły i inne gospodarskie budowle przedstawiały ruiny. Nie było bydła i owiec, pola puszczzone odłogiem nie wydawały plonu; atoli rządca chełpił się, że podtrzymuje honor domu i panicza, jakoż wyprawiał częste dla sąsiadów bale. Łubieński pojechał w okolice Wrocławia, w celu zaznajomienia się z lepszymi warunkami gospodarstwa. Zakupił koniczyne, kartofle, które w kraju naszym były jeszcze nadzwyczajną rzadkością, nauczył się je sadzić i sprowadził do Szczytnik. Jasińskiemu nie podobały się projektowane zmiany, oburzał się przeciwko sadzeniu kartofli i wysiewaniu pszenicy w większej ilości, zatem przepowiadając paniczowi najsmutniejsze, nieodzowne klęski, podziękował za służbę. Dobrowolne usunięcie się starego Jasińskiego, ułatwiło dziedzicowi przeprowadzenie ulepszeń w gospodarstwie. Murował spichrze i stodoły, zakładał ogrody, pasieki, chmielniki, oczyszczał sadzawki i naprawiał drogi. Wolne godziny od obowiązkowych zajęć poświęcał czytaniu książek, mianowicie ekonomicznych i pra-

wnych. Tak przepędził na wsi rok cały, gdy, jak wspomnieliśmy wyżej, powziął myśl ożenienia. Namowy znajomych, nadewszystko zaś serdeczne przyjęcie, którego doznawał w domu państwa Rogalińskich, skłoniło go do prędkiego, niemal nagłego oświadczenia się o rękę ich córki.

Dziewiętnastoletni młodzian, przyzwyczajony od lat dziecięcych do widoku wystawnego, zbytkowego życia, nie zaniedbał przed ożenieniem urządzić dworu na stopę pańską, odpowiednio do ówczesnych wymagań. Wtedy to przyjął kamerdynera francuza Fontaina, strzelca i piwniczego, oraz innych oficjalistów i nadwornych rzemieślników.

W przeciągu czasu, który upłynął pomiędzy oświadczeniem i dniem ślubu, narzeczony więcej myślał o przygotowaniach i urządzeniu domu, niż o osobie narzeczonej. Nowożeńcy, jak napomknęliśmy wyżej, pozostali nadal jak przed ślubem, na przyjacielskiej, lecz obojętnej i zimnej stopie. Poczuli też wkrótce, że nie wybór własnego serca, lecz jedynie tylko zdanie osób trzecich wpłynęło na ich połączenie. W dawniejszych czasach najszczęśliwszemi były częstokroć stadła małżeńskie, kojarzone w podobnych warunkach. Uchwała rodziców lub przyjaciół, nie była żadną rękojmią pomysłnej przyszłości dla młodych ludzi, owianych wpływem romansowych wyobrażeń XVIII-go wieku.

Taki był przebieg zdarzeń, wypełniających młodociane lata kaliskiego posła.

Zwracając się ku poprzedniemu naszemu opowiadaniu, dodamy: że w chwili ukazania się zięcia, wojewoda inflancki uczuł się mocno zakłopotany. Nie trapił się wprawdzie zbyt nie postanowieniem córki. Wiedział, że w razie rozwodu, młoda i ładna jedynaczka może znaleźć nie jednego odpowiedniego konkurenta. Czuł tylko drażliwość swego położenia w obec zięcia, któremu zobowiązał się tak przykre uczynić zwierzenie.

W ciągu całego wieczora poseł kaliski nie widział się z żoną. Skoro rozeszli się goście i wojewoda sam na sam został z zięciem, nie zwlekając długo, poprosił go na stronę i rzekł:

— Nie wiem co to znaczy, ale moja córka wyznała przedemną, że się chce z waćpanem rozwieść.

Zdumiał się zagadniony tak niespodzianie młodzian, ale nie namyślając się długo, odpowiedział:

— Skoro jej się nie podoba żyć zemną, o bierzmy zobopólnego przyjaciela do ułożenia interesów. Nie dozna Jejmość żadnej z mojej strony przeszkody.

Usłyszawszy tak łatwą decyzję, wojewoda odetchnął swobodniej, jak gdyby mu spadł ciężar z serca. Na twarzy zięcia nie dostrzegł żadnego wzruszenia, więc uścikał go serdecznie,

zapewniając o swej przyjaźni, poczem zaprojektował kasztelana przemyskiego na pośrednika do przeprowadzenia rozvodu. Zgodził się zięć na ten wybór; zatem, po krótkiej rozmowie o postronnych przedmiotach, udali się do swych pokojów.

Nazajutrz wyniósł się poseł z domu wojewody do innego mieszkania. W tymże dniu zgłosił się kasztelan w charakterze pośrednika; podziękował za położone w nim zaufanie i zapytał: Jakież mamy spisywać układy?

— Nie wiem, odparł poseł,—poczem dodał: Nie wziąłem nic za moją żonę, kapitału ani procentu, nie mam zatem jej nic do oddania.

Kasztelan, jako przyjaciel Rogalińskich, czuł się w obowiązku przemówienia na ich korzyść, zatem rzekł.

— Jakkolwiek córka wojewody nie wniosła posagu, jednak była waćpana żoną.

— Nie zaprzeczam, ale też i ona niezawodnie przyzna, że miała jak najlepsze utrzymanie.

— Wiem o tem, ale przecie imie waćpana nosić będzie.

— Zostawię jej też wszystkie kosztowności, które jako żonie ofiarowałem.

— Podarowane przez waćpana kosztowności jej są niezaprzeczoną własnością. Spodziewałbym się jednak, że waćpan niezapomnisz i teraz o wygodzie i potrzebach żony.

— Ofaruję dla jej użytku: poczwórną po-

dróżną karete, podwójną miejską, cztery konie z szorami, oraz pozostawiam służbę z liberyą.

Nie poprzestał na tem kasztelan i domagał się usilnie wyznaczenia i podarowania pewnej pieniężnej summy. Poseł kaliski nie czuł się bynajmniej w obowiązku ponoszenia tej ofiary; zgodził się atoli na zapłacenie trzydziestu tysięcy złotych, zastrzegłszy, że nie będzie ponosić kosztów rozvodu.

Wkrótce po tej rozmowie spisano punkta ugody, którą następnie obie podpisały strony.

II.

Powrót z Warszawy na wieś po ukończonym Sejmie. Rozstanie z żoną i przywiązanie posła kaliskiego do jej rodziny. Sprawa podkomorzego kaliskiego z Rogalińskimi w trybunale piotrkowskim. Poseł kaliski staje w sądzie upelnomocniony przez Rogalińskich. Powrót z Piotrkowa do Szczytnik. Reformy gospodarskie i włościańskie, spory o łąkę i najazd. Propozycja Młodziejowskiego, biskupa poznańskiego. Wyjazd za granicę i pobyt w Berlinie.

Poseł kaliski po kilkomiesięcznej nieobecności, powrócił pod koniec 1778 r. do swego majątku. Nie napotymano w sprawie rozwodowej przeszkód, pomimo to zapadł wyrok dopiero w następnym roku. Tym czasem w stosunku małżonków prawie żadna nie zaszła zmiana. Państwo Rogalińscy z córką nawiedzali często Szczytniki; mąż z żoną w najlepszej żyli harmonii i przepędzali długie zimowe wieczory na czytaniu książek. Nawet po otrzymanym rozwodzie, poseł kaliski nie przestał być przyjacielem żony i jej rodziców; nastęrczyła mu się też sposobność okazania nader wymownie w czynie uczucia przyjaźni.

Podkomorzy kaliski pozywał Rogalińskiego do sądu, w sprawie wytoczonej przed dwudzie-

stu laty. Starał się on niegdyś o rękę terażniejszej wojewodziny inflanckiej. W ciągu swatów, bogaty kawaler doręczył wiele drobnych upominków swej bohdance. Pomimo to otrzymał odkosza od ręki panny. Owoż rozgniewany i skąpy dawny konkurent, domagał się zwrotu podarunków lub wynagrodzenia strat, które obliczał na 30,000 złotych. Tymczasem pomienione upominki znajdowały się już w obcych rękach, nie był zaś w możności wojewoda wypłacenia tak znacznej summy. Podkomorzy przeceniał wartość owych podarków, nie podobna więc było w żadne wchodzić układy, nie mając ich w rękę,

Łubieński zamierzył przysłużyć się rodzicom żony i wyprowadzić ich z kłopotu. Nie żałował żadnych starań i nakładów w celu wyszukania i odkupienia z różnych rąk upominków podkomorzego, a poszukiwania, kosztujące go przeszło 100 dukatów, uwieńczone zostały pomyslnym skutkiem. Zgromadziwszy wszystkie drobiazgi podarowane niegdyś wojewodzinie, pojechał z niemi do Piotrkowa i stawił się w trybunale.

Skoro wytoczono sprawę przed sądem, adwokat ze strony Rogalińskich oświadczył, że zapewne wołałby podkomorzy odebrać kosztowności niż pieniądze, nie wątpiąc, że drożej ceni pamiątki młodocianego affektu, które niegdyś złożył u stóp swej panny, jako zadatek i dowód wzajemnej przyjaźni.

Bogaty lecz skąpy podkomorzy, rzekł: „zape-
wne, wolałbym odebrać podarunki niż pienią-
dze, których dzięki Bogu mi nie brakuje”.

Łubieński, stojący z drugiej strony krzesła,
prezydenta, ozwał się: „Czy szczerze mówi pod-
komorzy, że wolałby spotkać się z swemi upo-
minkami, niż pretendować o pieniądze summe?”

Podkomorzy niespodziewając się, aby wszyst-
kie przedmioty zwrócono mu w całości, rzekł
gniewnie: „Wolałbym, gdyby to być mogło....“

Wilga, wojewoda czernichowski, marszałek
trybunału, zwrócił się do adwokata i zagadnął:
„Cóż strona na to powie, czy gotowa jest oddać?“

Łubieński w odpowiedzi na to, przedstawił
marszałkowi registr wszystkich upominków,
upraszając, aby rozkazał odczytać woźnemu.

Rozpoczęło się czytanie w porządku nastę-
pującym.

— Laseczka szylkretowa....

Zatrzymał Łubieński czytającego, odwinął
z papieru laseczkę, położył przed marszałkiem
i rzekł: „Spodziewam się że taż sama?“

Oczy podkomorzego zaiskrzyły się gniewem;
nie dozwoliła mu uczciwość zaprzeczyć, więc
pochwycił tylko czempredzej laseczkę. Czyta-
no zatem dalej:

— Wachlarz ze słoniowej kości, z miniaturą
nader wysokiego szacunku.

Łubieński rozwinął znów z wielką powagą
ów wachlarz i złożył przed prezesem. Podko-

morzy wyciągnął rękę z nietajonem oburzeniem, uprzedzili go atoli deputaci. Wachlarz oglądany przez ciekawych, przechodził z rąk do rąk, przyczem nie obeszło się bez uwag i żartów, które najsrodziej dotknęły podkomorzego.

Czytano dalej: Fontaż dyamentowy, cały z rubinkami, bardzo kosztowny...

Łubieński przerwał znów czytającemu, wyjął z pudełka fontaż z dyksztynów z rubinkami i złożył przed marszałkiem. Podkomorzy nie posiadał się z gniewu. Nie mógł dłużej zapanować nad sobą, zatem wyrwał ów fontaż z rąk marszałkowi i zawołał: „To musi być bies a nie człowiek, odstępuję od sprawy.” To powiedziawszy, wybiegł jak strzała z sali sądowej, wszedł do powozu i odjechał.

Łubieński przedstawił z kolei pierścionki i inne nader miernej wartości drobiazgi; w końcu rzekł:

— Wojewodzina nie chcąc nic z tych wielkich darów zatrzymywać, uprasza JW. Marszałka i prześwietny trybunał, aby i ta reszta oddaną została stronie.

Przedstawione upominki obiegały znów z rąk do rąk; szmer i śmiechy rozlegały się po całej sali. Marszałek rozkazał w skrzynce złożyć owe upominki, dopóki podkomorzy nie uiszczy grzywien należnych sądowi. Sessya zakończyła się z ogólnem zadowoleniem deputatów i widzów, ubawionych komicznem rozwiązaniem sprawy.

Wieść o tak pomysłnie zakończonym procesie rozbiegła się po całym kraju i zjednała posłowi kaliskiemu sławę biegłego jurysty. Radzono go się w rozmaitych interesach prawnych, proszono o napisanie manifestu, instrukcyi dla patrona, intercyzy, testamentu, aktów sprzedaży, kupna lub zastawu. Popularność ta kosztowała go wiele pracy, atoli utorowała drogę do obywatelskich urzędów i zaszczytów. Wybierano go na sejmach do sądów sejmowych i różnych innych publicznych czynności.

Powróciwszy z Piotrkowa do Szczytnik, zajął się gorliwie Łubieński ulepszeniem gospodarstwa. Czytał z zapalem dzieła traktujące o przemyśle i rolnictwie. Dzieło ks. Kluka było pierwszym jego przewodnikiem; później postarał się o inne książki, traktujące o gospodarstwie. Wysiewał w znacznej ilości pszenicę i obfite zbierał plony. Nie zadawalniał się atoli powiększonym dochodem z roli, prowadził handel żelazem, winem, solą, oraz poruszył różne gałęzie gospodarskiego przemysłu. Nie obcą mu też była myśl reformy losu włościan, którą już niektórzy jego poprzednicy, owiani obywatelskiem poczuciem, w czyn wprowadzili. Założył szkołkę robienia płótna dla wiejskich dziewcząt, które z zapalem garnęły się do pracy; zatem w krótkim czasie zaprowadzono warsztaty prawie w każdej chałupie. Zachęcony powodzeniem w tej mierze, założył inną szkołę dla nauk

czytania, pisania i haftów. Nie widziano atoli w tej nauce bezpośredniej korzyści, i niechętnie, prawie z musu tylko, uczęszczano do szkoły, pomimo przedstawień dziedzica. Nie udał się mu również projekt usamowolnienia włościan. Oświadczał im kilkakrotnie, że chce ich udarować wolnością, ale zgodnie i stanowczo odpowiedzieli: „Czego mamy szukać lepiej, kiedy teraz nam dobrze.”

Między innemi zaprowadzonymi w gospodarstwie zmianami, było spuszczenie ogromnego nieużytecznego stawu i urządzenie natomiast łąki, która przyniosła mu nader obfity zbiór siana i potrawu. Wysuszenie to stawu, najnie spodziewanej stało się źródłem wielu kłopotów. Staw ten należał niezaprzeczenie oddawna do Szczytnik, jakkolwiek leżał na obcym gruncie sąsiedniego majątku, Iwanowice. Dziedzicem tychże dóbr był starosta pugnowski. Łubieński szanował podczłęgo w latach sąsiada i dotąd nie miało miejsca żadne pomiędzy nimi nieporozumienie. Niestety, usłudźni oficjaliści przedstawili fałszywie staroście, że woda stawu wprawdzie należała do Szczytnik, ale że grunt jest własnością Iwanowic, zatem nieprawnie kossą zaprowadzoną na miejscu stawu łąkę. Dobry lecz niedołążny starzec uwierzył tej powieści, zagroził Łubieńskiemu pozwami i sądem. Bronił się zapozwany w sądzie ziemskim i wygrał sprawę. Drażniony ciągle i podbechtywa-

ny starosta, wściekał się z gniewu i apelował do trybunału, tymczasem polecił surowo ekonomom, aby nie dopuszczano ludzi szczytnickich do łąki.

Dowiedziawszy się o gwałtownem postanowieniu sąsiada, dziedzic Szczytnik zamierzył przekonać się naocznie, czy w istocie nie dozwalają stróżom pilnować jego łąki.

Starosta pugnowski miał syna służącego wojskowo i pochopnego do zwady i bójki. Owóż tenże wyszedł na czele ośmdziesięciu ludzi i uczynił zasadzkę. Łubieński wyjechał w towarzystwie kommissarza i masztalerza. Znalazł dziesięciu swych stróżów na łące, na wyznaczonem im stanowisku. Aliści ludzie starosty, pod przywództwem jego syna, w liczbie ośmdziesięciu, wysypali się z ukrywających ich zarośli, otoczyli Łubieńskiego i kommissarza, wywijając ze wszech stron pałaszami po nad głowami przeciwników, uzbrojonych tylko laskami. Widząc to ludzie stojący na czatach na łące, pospieszyli w obronie swego pana. Dwaj najsilniejsi i najodważniejsi rzucili się z wściekłością na najeźdźców i w ciągu kilku minut ich rozproszyli. Niejaki Ochocki za jednym zamachem trzech położył na miejscu. Starościc pugnowski umknął na początku bitwy. Dezerterował również, jeszcze przed rozpoczęciem walki, masztalerz Łubieńskiego, pobiegł do Szczytnik i ogłosił we wsi, że pana zabijają. Wysypało się

mnóstwo ludzi na ratunek, z różnemi narzędziami; ale niepotrzebną już była ich pomoc, pomienieni wyżej stróże pod przywództwem barczystego chłopca Ochockiego, stanowczo pokonali przeciwników. Dwudziestu dwóch naliczono rannych; Senkler, komisarz Łubińskiego, miał złamaną rękę. Tak smutnie zakończył się najazd, w skutku najniesłuszniej podniesionej sprawy o grunt po spuszczonej stawie. Zawieziono rannych do Szczytnik, gdzie opatrzył wszystkich starannie miejscowy felczer; poczem Senklera, wraz z rannym stróżem, odesłano do obdukcji do Kalisza.

Łubiński pozwał do sądu przeciwnika o przywłaszczenie gruntu i gwałt. Sprawdzenie sprawy na gruncie i zeznania świadków potwierdziły słusność zaskarżenia. Starosta pugnoński skazany na więź i karę pieniężną, apelował do trybunału. Łubiński nie stawiał się osobiście, lecz powierzył tylko obronę swą adwokatowi, nie wątpiąc o wygranej w tak słusznej sprawie. Tymczasem starosta, mając za sobą kilku deputatów bliskich krewnych i znajomych, wygrał w trybunale. Adwokat napróżno protestował przeciwko jawnemu nadużyciu prawa, — apelował zatem do następnego trybunału. Wtedy to nauczony doświadczeniem Łubiński, stanął w oznaczonym terminie w Piotrkowie. Szczególny wypadek przyczynił się do prędkiego wymiaru sprawiedliwości i zawstydzienia

winnych sędziów. Łubieński zażądał, aby pisarz trybunału złożył na ręce marszałka inkwizycyę, na moey której napisany był wyrok. Żądanie to wywołało popłoch pomiędzy partyzantami strony przeciwnej. Ogólne zaś było zdziwienie, gdy ujrzano inkwizycyę nierozpieczętowaną, chociaż napisano w dekrete, że wydany *lectis inquisitionibus*. W tejże chwili jeden z deputatów, ruszony sumieniem, powstał i publicznie przyznał się do winy, oświadczając, że on znajdował się w gronie sędziów, którzy wydali wyrok nie czytawszy inkwizycyj. Zmięszani przeciwnicy wynieśli się czempředzej z izby sądowej. Na wniosek marszałka wydano natychmiast i napisano wyrok. Skazano starostę pugnowskiego na odsiedzenie sześciu niedziel w wieży i zapłacenie pięciu tysięcy grzywien; nadto przysądzono do Szczytnik grunt po spuszczoneym stawie. Łubieński uprosił, że uwolniono przeciwnika od zamknięcia w wieży.

Przytoczywszy ten ustęp pamiętnika, winniśmy dorzucić słowo, że opinia publiczna piętnowała u nas zawsze podobne nadużycia. Szybko więc rozniosła się wieść o owym pierwszym niesłusznym wyroku piotrkowskiego trybunału, zatem w niedługi m przeciągu czasu wyrażenie: „olizarowski trybunał” poszło w przysłowie, jako oznaczające szalbierstwo lub stronniczość w sądach.

Wróciwszy z Piotrkowa do Szczytnik, ode-

brał Łubieński od opiekuna swego Młodziejowskiego, biskupa poznańskiego, list z osobliwą propozycją. Wiedział on o żywej niegdyś chęci młodzieńca wstąpienia do stanu duchownego, słyszał następnie, że w domu jego od pewnego czasu, najczęstszymi byli gośćmi znani z nauki i bogobojnego życia kapłani; owóż ztąd wysnuł projekt nakłonienia Łubieńskiego do obrania duchownego powołania. Podeszły w latach biskup, czując zbliżający się kres żywota, postanowił zarazem wynagrodzić młodzieńcowi poniesione w majątku straty, w skutku niestarannej opieki. Porozumiał się z Okęckim biskupem chełmskim, obiecując uczynić go koadytorem biskupstwa poznańskiego, w zamian zaś za to otrzymał od tegoż przyrzeczenie, że przedstawi Feliksa Łubieńskiego na swego koadytora. Układ ten następnie przesłał do zatwierdzenia królowi. W kancelaryi królewskiej nie napotkano żadnej przeszkody, doniósł zatem Młodziejowski Łubieńskiemu o pomyslnym skutku zabiegów i zapytał, czy zgadza się na propozycję, która tak obszerne do znaczenia i godności otwiera mu pole. Jednocześnie przysłał dyspensę, na mocy której w ciągu trzech miesięcy mógł otrzymać święcenie kapłańskie.

Nie trafił pomieniony układ do przekonania kaliskiego posła. Ofiarowana infuła nie pochlebiała jego młodzieńczej dumie, przeciwnie, upokarzała go myśl otrzymania w drodze protek-

cyi, bez żadnej zasługi, godności biskupiej. Podziękował więc Młodziejowskiemu i wytłómaczył się zarazem z powodów, dla których nie może korzystać z jego łaski. Wyznał, że uczynił wprawdzie przed kilku laty ślub wstąpienia do zgromadzenia OO. Jezuitów, w skutku atoli nastąpionej niespodzianie kassacyi, rozstał się z myślą powołania duchownego i postanowił na innej drodze dobijać się obywatelskiej zasługi. Sądzi więc, że nie zgadza się z jego osobistą godnością, aby obierał znów teraz stan kapłański, gwoli świetnym widokom, które mu otwiera łaska opiekuna.

Oświadczył to ustnie Młodziejowskiemu za bytnością w Poznaniu. Biskup nie nalegał więcej w tym przedmiocie, owszem podobała mu się szczerość i prawość charakteru młodzieńca. Łubieński przybył do Poznania w celu odwiedzenia sędziwego opiekuna i podziękowania za pamięć o jego losie, ztąd zamierzył puścić się w dalszą podróż do Berlina. Od czasu bowiem pobytu za granicą, cierpiał na ból palca w nodze; koń rozpędzony w galopie nadeptał mu niegdys nogę, odtąd ciągle ból zwiększał się stopniowo i nie pomagały żadne lekarskie środki. Uznano potrzebę operacyi; udawał się zatem Łubieński do Berlina, dla szukania porady najgłośniejszych tamecznych chirurgów.

Młodziejowski biskup dowiedziawszy się o jego zamiarze, napisał list rekommendacyjny

do Zabłockiego, rezydenta polskiego przy dworze berlińskim.

Zabłocki przyjął jak najuprzejmiej rodaka i zaznajomił go z doktorem Crammerem, sztabchirurgiem króla. Crammer w ciągu siedmioletniej wojny, znajdował się ciągle przy boku Fryderyka W-go i zaszczycał się łaską swego monarchy. Sięgał pamięcią epoki młodości króla i panowania ojca jego Fryderyka-Wilhelma. Owóż po dokonanej szczęśliwie operacyi wyrwania paznokcia, zabawiał pacyenta anegdotami, do których obfitego wątku dostarczały wzajemne stosunki króla z ojcem, sposób ich życia, oraz szczególne przygody. Crammer był żyjącą kroniką ostatnich lat czterdziestu, świadkiem wszystkich przygód Fryderyka W-go i wzrostu potęgi Prus. Dumny z zaprowadzonych reform w wojsku i administracyi, sławił przezorność Fryderyka-Wilhelma, chociaż nie przeczył, że był to jeden z najdespotyczniejszych władców. Lubił nawet doktor opowiadać o szaleństwie tego króla-żołnierza, którego ideałem była musztra i subordynacya wojskowa. Nie taił Crammer, że twórca militarnej potęgi Prus, nie cierpiał filozofów i w ogóle uczonych; po śmierci ojca, Fryderyka I-go, oddalił od swego boku wszystkich światłych ludzi i pozostawił tylko letkorów gazet, i z tej okoliczności wstrętu jego do filozofii, opowiadano przygodę następującą:
„Pewien teolog z Halli, nazwiskiem Lange,

nienawidzący filozofa Wolffa, przedstawił królowi, że uczony ten w świeżo wydanem dziele „Systema harmoniae” utrzymuje, że dusza ludzka podobna jest do zegarka, którego czynność zależna jest od pierwszego popchnięcia. Owóż wypada ztąd, dodał teolog, że grenadyery W. K. M. nie są winni, skoro dezercerują, gdyż to jest koniecznym skutkiem pierwszego impulsu, który odebrali z rąk Stwórcy.“

„Relacya Langego pobudziła króla do wściekłego gniewu. Rozkazał donieść natychmiast Wolffowi, że daje mu do wyboru: wynieść się niezwłocznie z jego krajów lub wisieć. Rozumie się, że filozof wybrał pierwsze; przeciwnik zaś jego Lange osiągnął cel intrygi, albowiem król nakazał wszystkim przełożonym kościołów w Brandeburgii kupować jego dzieło pod tytułem: „Światło i prawo.”

Porównywając pomieniony wypadek z innymi, napotykamy nierównie jaskrawsze szczegóły w życiu Fryderyka-Wilhelma. Gdy pewien generał, ulubieniec monarchy, żalił się na dekret sądu, wydany w jego sprawie, udał się król niezwłocznie do sali, gdzie cały trybunał był zgromadzony, i zacząwszy od prezydenta, po kolei wszystkich sędziów okładał kijem. Przejęci przerażeniem, bólem i wstydem, chowali się sędziowie po kątach sali.

Najwięcej opowiedzianych przez Crammera anegdot odnosiło się do stosunku Fryderyka-

Wilhelma względem syna. Wiadomo z jak nieubłaganą surowością karciał ojciec najmniejsze wykroczenie młodego Fryderyka. Znaną jest owa tragiczna przygoda, za którą królewicz o mało nie przypłacił głową, w skutku niebacznie obmyślanego projektu podróży, bez zezwolenia ojca. Rozgniewany Fryderyk-Wilhelm na syna, dopiero na instancję cesarza Karola VI-go zamienił karę śmierci na więzienie; atoli rozkazał ściąć w jego oczach jednego z towarzyszy, przekonanego o współnictwo w zamierzonym przedsięwzięciu.

Srogi ojciec obchodził się z synem jak z prostym żołnierzem i wydzielał mu nader szczupłą pensję na utrzymanie. Królewicz, oprócz wyszarzanego munduru, nie miał innego ubrania. Pewnego razu, na balu u jednego z książąt Rzeszy niemieckiej, zauważył Fryderyk-Wilhelm, że syn stoi smutny na uboczu z głową pochyloną. Zbliżył się do niego i zapytał: czemu nie tańczy? Królewicz spuścił oczy i spojrział na suknie wytarte. Rozgniewany ojciec wyciął mu w przytomności wszystkich mocny policzek i popchnął go na środek sali, mówiąc: „Dalej, dalej, idź do tańca!“ Oczy młodzieńca zabiegły łzami, atoli musiał spełnić rozkaz ojcowski, udał się więc do najbliższej siedzącej damy zapraszając ją do tańca.

Wychowany w tak surowej szkole Fryderyk Wielki, miłował się jak ojciec w wojskowych

ćwiczeniach i karał również srogo najmniejszą niesubordynację. W innych atoli względach nie był bynajmniej podobny do ojca. Lubił uczonych, książki, i pisał wiersze; przejęty bowiem szacunkiem dla uczonych i poetów, wdychał sam do poetyckiej sławy. Mnóstwo charakterystycznych szczegółów, poczerpniętych z młodości i dojrzałego wieku monarchy, krążyło już za jego życia w ustnych opowiadaniach oraz drukowanych książkach. Znał je wybornie doktor Crammer, ale z największą dumą opowiadał anegdoty z epoki siedmioletniej wojny, w której towarzysząc nieodstępnie monarsze, był świadkiem wszystkich jego czynów.

Kiedy już pacjent mógł przechadzać się po mieście, oprowadzał go doktor, pokazywał osobliwości Berlina i przedstawił synowcowi króla, następcy tronu, który panował później pod imieniem Fryderyka Wilhelma II. Zwiedził Łubieński zamek w Sans-Souci, w Charlottenburgu, akademię, bibliotekę i inne publiczne instytucje godne widzenia.

Pomimo jednak usunięcia choroby palca i rozrywek dostarczonych przez doktora, pacjent był smutny i okazywał usposobienie do melancholii. Zwróciło to uwagę doktora, więc przepisał Łubieńskiemu jako lekarstwo, aby jadał zawsze obiady w pewnych tylko wskazanych mu traktyerniach. Posłuchał pacjent rady i tak o tej szczególnej kuracyi pisze:

„Pojechałem na godzinę wyznaczoną i zapewne jak mazgaj siadłem do stołu w zgromadzeniu osób zupełnie mi nieznanym, w momencie jednak poznałem myśl doktora. Nie mogłem bowiem ani jednej łyżki zupy zjeść; jak się zacząłem śmiać od początku obiadu, tak musiałem aż do końca. Zbiór to był w towarzyszach moich wszystkich komedyantów i komedyantek francuzkich, których duszą była jedynie wesołość. Ten rodzaj nadzwyczajny zatrudnienia, chociaż chwilowo niemiły, ale skutkowało. Doktor ani mi jednego dnia nie darował. Odkąd przestałem być ponurym, wskazał mi obiady w innej oberży, gdzie przychodzili sami generałowie, pułkownicy, uczeni z akademii, sekretarze legacyj, urzędnicy cywilni. Tam się już w innym rodzaju daleko lepiej bawiłem i rozmaite potem mi przydatne zabrałem znajomości. Tam nabrałem światła od jurystów i różnych uczonych.”

Tak więc porada doktora Crammera podwójną pacjentowi przyniosła korzyść: dopomogła do odzyskania dawnej wesołości, oraz do rozszerzenia skali jego umysłowego wykształcenia.

Pominęliśmy w opowiadaniu o podróży Łubieńskiego do Berlina jeden ważny szczegół w jego życiu. W przejeździe przez Poznań odwiedził przyjaciela swego Działyńskiego, i tam poznał między innymi siostrę tegoż, młodą wdowę, panią Koźmińską. Piękna pani wpadła

w oko osamotnionemu, tęskniącemu młodzien-
cowi do powabów rodzinnego życia. Nie zapom-
niał o niej w czasie pobytu w Berlinie. Odzy-
skawszy zdrowie i swobodę umysłu, zaczął snuć
projekta odmiany losu; zamierzył urządzić
dom na większą skalę i utworzyć nadworną ka-
pele. Poznał w Berlinie znakomitego skrzypka
Bendę, ugodził go za kapelmistrza i zabrał
z sobą do Szczytnik. W przejeździe przez
Wrocław przybrał do towarzystwa i pomocy
Bendzie drugiego skrzypka, nazwiskiem Mar-
chand. Panowie ci zobowiązali się wyuczyć
kilku wiejskich chłopców i utworzyć wyborną
kapelę.

Owoż w najlepszej myśli, w towarzystwie
dwóch znakomych grajków, Niemca i Fran-
cuza, przed powrotem do Szczytnik, zajechał
do domu Działyńskiego. Tu zastał siostrę przy-
jaciela panią Koźmińską. Proszono Łubieńskie-
go o obejrzenie jej majątku i przyjęcie udziału
w radzie familijnej. Przeciągnął się więc pobyt
jego w Poznańskim nad zakres zamierzo-
ny. Zwiedził folwarki i podał różne proje-
kta podniesienia dochodów, oraz oczyszczenia
pięknej lecz zadłużonej fortuny. Działyński
upewniony o wzajemnej skłonności jednej
jak drugiej strony, swatał Łubieńskiego z sio-
strą. Porozumienie w tej mierze można nawet
było uważać za ukończone, znalazła się atoli
przeszkoda w doprowadzeniu do skutku pro-

jektowanego małżeństwa, albowiem pani Koźmińska musiała niezwłocznie z dwojgiem dzieci wyjechać za granicę. Rozstali się przecież młodzi państwo w nadziei połączenia się po kilku miesiącach ściślejszym, serdeczniejszym węzłem dozgonnej przyjaźni.

Nie przewidywali, że rozłączenie to miało być wiecznem.... Łubicński wkrótce po powrocie do Szczytnik, otrzymał list od Bronikowskiego, plenipotenty pani Koźmińskiej, z fatalną wiadomością: że pani jego, przyjechawszy do Frankfurtu nad Odrą, zachorowała na zgnilą gorączkę i szóstego dnia umarła.

Tak prędko i smutnie rozwiął się projekt małżeństwa, powzięty w domu przyjaciela.

III.

Pobyty matki w Guzowie. Kabała pani Viliams. Śmierć biskupa Młodziejowskiego. Przywilej na starostwo Zagójskie. Kapela i zabawy w Szczytnikach. Żyd swatem. Podróż do Warszawy. Zamek w Poddębicach. Doktor Curtis. Księżna Sanguszkowa Marszałkowa W. W. X. L. Pannie: Lanckorońska i Granowska. Wnuczki księżny. Kawaler Pyrrhys de Varille. Inne osoby dwór księżny w Poddębicach składające. Towarzystwa, zabawy i zwyczaje. Sen panny Tekli Bielińskiej. Wyjazd Starosty Nakielskiego do Warszawy.

Matka Feliksa Łubieńskiego, pani Ogińska Miecznikowa, mieszkała w Guzowie. Z powodu zimnego stosunku z ojczymem, syn nie przebywał nigdy długo w domu matki, lecz odwiedzał ją często, okazując zawsze głębokie synowskie przywiązanie. Po powrocie z Berlina nie długo zabawił w Szczytnikach. Otrzymaawszy list z wiadomością z Warszawy, że opiekun jego Młodziejowski zachorował niebezpiecznie, wyruszył natychmiast Łubieński w myśli odwiedzenia biskupa, zatrzymał się atoli według zwyczaju, w domu matki w Guzowie. Kiedy wieczorem zabawiła się matka z synem opowiadaniem bieżących przygód, tenże wyznał iż na-

uczył się ciągnięcia kabały od pani Viliams sławnej kabalarki, która bawiła przy królu. Owoż pani Ogińska jęła gorąco prosić syna, aby wyciągnął kabałę dla słabego biskupa Młodziejowskiego. Protestował z początku syn, jako nie wierzy w podobne gusła i nie myślał nigdy o odniesieniu z nauki pani Viliams jakiej-bądź korzyści. Uległ atoli w końcu na wyraźny rozkaz matki i rozłożył karty. Wskazała kabała, że biskup tegoż wieczora o godzinie 9 zakończy życie. Posłano niebawem z Guzowa masztalerza do Warszawy, z zapytaniem o zdrowie chorego. Sprawdziła się kabalistyczna przepowiednia co do dnia i godziny śmierci Młodziejowskiego. Łubieński nader przykrego doznał wrażenia i przysiągł, że odtąd nigdy już nie będzie ciągnął kabały.

W skutku zapisu biskupa poznańskiego otrzymał Łubieński 90,000 złotych. Ogiński zaproponował mu, aby nabył od niego prawo na starostwo Zagojskie. Zgodził się Łubieński, przekonawszy się, że matka popiera życzenie ojczy-ma. Ułożono prędko interes i doręczono Starości przywilej, w czasie pobytu jego w Guzowie.

Młody starosta z równą zabiegłością, jak niegdyś w Szczytnikach, zajął się zreformowaniem gospodarstwa w Zagości. Ugodził się z dzierżawcą położywszy mu między innemi warunek, że za 5000 złotych wystawi nowy dom murowany.

Po powrocie do Szczytnik zajął się starosta Nakielski urządzeniem kapeli pod dyrekcją mistrzów, o których już wspomnieliśmy. Do towarzystwa Benda i Marchanda przybył trzeci, ksiądz Baur ex-zakonnik Kanoników Regularnych, mistrz nie tylko na skrzypcach, ale na klawirze, flotrowersie, fagocie. Panowie ci wybrali pięciu zdolniejszych wiejskich chłopców: dwóch do skrzypców, dwóch do dętych instrumentów, jednego do bassetli i fagotu. Dowiedziawszy się o zaprowadzonej szkole muzyki w Szczytnikach, Podczaszy Łubieński przywiózł dwóch jeszcze chłopców dla nauki. Tak więc przy staraniu nauczycieli i pilności chętnych uczniów, złożyła się wkrótce kapela słynna w całej okolicy. Starosta prowadził teraz dom otwarty, marszałkował na sejmikach i pełnił inne obywatelskie posługi. Rozgłos kapeli szczytnickiej sprowadzał często gości z rozmaitych okolic województwa. Benda, Marchand i Baur popisywali się na koncertach. Podczas obiadu wykonywała orkiestra symfonie, wieczorami tańce. Zgłaszano się do Starosty z pokornymi prośbami o wypożyczenie kapeli, z okoliczności ślubów, chrzcin, i t. p. uroczystości. Zapraszano nawet szczytnicką kapelę do Piotrkowa, w czasie odprawiających się sądów w Trybunale. Odtąd też starosta Nakielski cieszył się niepomierną wziętością pomiędzy szlachtą, zatem rej wodził na sejmikach i innych obywatelskich zjazdach.

Sąsiedzi z żonami i córkami przyjeżdżali na wieczory do Szczytnik, gdzie bawiono się zawsze wybornie, przy uprzejmej ochocie gospodarza. Starosta był najpożądańszym z grona młodzieży w całej okolicy. Układano więc nieraz dla niego i za niego projekta, o których mu się nie sniło. Zdarzyło się, że pewnego wieczora, tańczył bardzo wiele z panną Koszutką, siedemnastoletnią, hożą dziewczką, czarującą wyrazem słodyczy i skromności. Wyprowadzano ztąd prognostyk, że panna wpadła w oko Staroście i że niezadługo nastąpi wesele.

Zabawa przeciągnęła się do późnej nocy i niektórzy goście przepędzili nocleg w Szczytnikach. Nazajutrz zaledwie wstał z łóżka Starosta, usłyszał w przedpokoju kłótnię żyda złotnika z gościnnymi ludźmi. Żyd ten sprowadzony był do naprawy srebrnych robót. Zapytany o przyczynę kłótni odpowiedział: „Jak się nie kłócić, kiedy oni głupi, mówią: że JW. pan żenisz się ze szlachcianką Koszutką; ja zaś powiadam, że tak nie jest i że ja mam dla JW. pana z wielkiego domu panienkę, z taką tylko powinienieś się JW. pan żenić.

Roześmiał się starosta i zapytał:

— Jakąż tedy masz dla mnie panienkę?

— Nu, ja nie wiem, jak się to JW. państwo zowie, ale to wielki senatorski dom, księstwo.

— Kiedy nawet nie wiesz jak się zowie, powiedz przynajmniej gdzie mieszkają?

— Mieszkają w zamku wielkim w Poddębicach, to świat tam, nie dwór.

— Gdzie te Poddębice? nie słyszałem nawet o nich.

— Czemu tamtędy J.W. pan do Warszawy nie jechał, to bliżej jak na Lutomirsk; spytać się tylko w Rudnikach, ztąd w prawo się weźmie.

Rozmowa z żydem zabawiła Starostę i mocno utkwiała w jego pamięci. Owoż wybrawszy się w podróż do Warszawy, obrócił trakt na Poddębice.

Było to w jesieni 1780 r. Słońce wskazywało południe, kiedy czterokonna kolasa wtoczyła się na szeroką groblę, ocienioną dwoma rzędami starych rozłożystych drzew. Wychylił się z niej Starosta Nagielski i rozglądał się ciekawie po okolicy. Z pośród białych domków miasteczka strzelał w górę piękny murowany kościół, w pewnej odległości sterczał poważny starożytny zamek, otoczony murem, z basztami po rogach, z piękną wjazdową bramą. Dojeżdżał nasz podróżny do miasteczka, gdy niemiła zaskoczyła go przygoda. Jeden ze sług dostał napadu wielkiej choroby. Zatrzymał woźnica konie i złożono chorego w powozie. Starosta szedł piechotą do drewnianej obszernej oberży, gdzie nadspodziewanie znalazł wszelką wygodę i dwa gościnne pokoje; w jednym z nich umieszczono chorego.

Na zapytanie, jak się nazywa miasteczko i czyją jest własnością? odpowiedziano: Poddębice, majątek księżny Sanguszkowej. Dowiedział się następnie Starosta, że księżna utrzymuje nie tylko felczera, ale i nadwornego doktora. Posłał więc niebawem kamerdynera do zamku, z prośbą o udzielenie pomocy choremu.

Przybył wkrótce doktor Curtis, rodem Włoch ze Szwajcaryi. Zajął się troskliwie pacjentem, zalecił przede wszystkim spokój i dał szczegółową instrukcję kobiecie przeznaczonej do pielęgnowania chorego. Starosta dziękując doktorowi za pospieszne udzielenie porady, chciał wręczyć mu dwa dukaty, ale nie przyjął medyk i rzekł z pewną dumą, że nie potrzebuje innego wynagrodzenia, nad to, które otrzymuje od księżnej. Z dalszego ciągu rozmowy, dowiedział się Starosta że w zamku tym mieszka księżna Sanguszkowa, Marszałkowa W.W. X. L. dziedziczka Poddębic i Szymanowa. Przypomniał sobie dopiero wtedy Łubiński, że prezentował się tej pani w jej domu w Warszawie. Postanowił więc skorzystać ze sposobności odnowienia znajomości dawnej. Doktor Curtis nalegał, aby pojechał z nim natychmiast do zamku. Nie wymawiał się Starosta, przemienił tylko ubranie i udał się w towarzystwie doktora i kamerdynera swego Fontaina na zamek.

Księżna Barbara Sanguszkowa, z domu Duninówna, była wdową przeszło od lat dwudzie-

stu po księciu Pawle Karolu, Marszałku Wielkim L. Rozumna i zabiegła, kierując przez lat wiele sprawami obszernego majątku, mianowicie w epoce małoletniości synów, złożyła dowody praktycznych zdolności, któremi tak często odznaczały się nasze dawne matrony. Dowcip, uprzejmość i gościnność w połączeniu z innymi przymiotami rozumu i serca, zjednały jej powszechny szacunek. Z okoliczności powagi otaczającej tę matronę, zwano ją „dziekanową pań warszawskich.” Księżna przepędzała zimę w Warszawie, gdzie podczas karnawału dawała bale, dla czterech wychowujących się wnuczek. Na całe lato przyjeżdżała zawsze do Poddębic lub Szymanowa, gdzie odwiedzali ją przyjaciele i dawni znajomi. Prawie też zawsze w zamku Poddębickim, podczas pobytu księżny, znajdowali się goście, przesiadujący niekiedy po tygodniach i całych miesiącach.

Doktor Curtis wprowadził Starostę do pięknego staroświeckiego salonu z adamaszkowem obiciem, przyozdobionego zwierciadłami w bogatych oprawach, zasłanego kobiercami perskimi. Uprzedzona o przyjeździe gościa, ukazała się natychmiast księżna, przypomniała, że go widziała w Warszawie i witała serdecznie jak najlepszego dawnego znajomego. Po całogodzinnej rozmowie, Starosta oczarowany był rozumem i uprzejmością gospodyni, czuł się swobodny w jej towarzystwie, niby we własnym

domu. Nie spostrzegł też jak wybiła godzina druga na zegarze. Była to pora obiadowa, w której goście, rezydenci oraz wnuczki księżny schodziły się w jej salonie, z kąd za oznajmieniem marszałka dworu, udawało się całe grono do jadalnego pokoju.

Bawiły obecnie w Poddębicach dwie panie, przyjaciółki księżny: Granowska wojewodzina Rawska i siostra jej Lanckorońska kasztelanowa Połaniecka. Druga z pomienionych pań, znana była w całym kraju. Obok innych słynnych z rozumu i wykształcenia niewiast, zajmowała ona wyłączne stanowisko. Nie brała wprawdzie udziału w publicznych sprawach i w politycznych intrygach swego czasu, ale w stosunkach domowych, rodzinnych niepospolitą grała rolę. Odznaczała się trafnym sądem o ludziach i wypadkach, znała przytem wybornie prawo i stosunki krajowe. Krewni i przyjaciele garnęli się w każdej przygodzie pod jej opiekuńcze skrzydła, znajdowali chętną radę i skuteczną pomoc. Kasztelanowa podejmowała obronę najtrudniejszej, lecz słusznej sprawy, sama pisała instrukcye dla adwokatów, na mocy zebranych przez nią i przedstawionych prawnych dokumentów. Wuj jej Aleksander Dziuli, koniuszy dworu króla Stanisława Leszczyńskiego, podczas długiego pobytu za granicą, zagrożony został zupełną ruiną majątku. Udał się pod opiekę siostrze-

nicy i udzielił jej plenipotencję. Kasztelanowa odebrała zagrabione włości, podniosła dochody i przesłała wujowi, który nie znajdował słów odpowiednich na wyrażenie swej wdzięczności ¹⁾.

Z rodziny księżny znajdowały się przy niej cztery wnuczki: Marya, córka Hieronima Sanguszki Wojewody Wołyńskiego i Cecylii z Potockich, oraz trzy panny Bielińskie: Barbara, Józefa i Tekla, córki Starosty Czerskiego i Krystyny Sanguszkówny. Osierococone po śmierci matek odbierały pomienione panienki wychowanie w domu babki. Księżniczka Marya pozostawała pod opieką starej zasłużonej guwernantki panny Boryczewskiej. Zrędna i pełna kapryśków panna Gietulewiczówna była ochmistrzynią panien Bielińskich.

Do grona domowników zaliczali się zasłużeni i posiwili w domu Sanguszków, dwaj panowie: Pułkownik Miaskowski, niegdyś w młodocianych latach paź księżnej, pozostający przy niej od lat pięćdziesięciu, oraz Pyrrhys de Varille dawny guwerner jej synów.

Pierwszy był typem dawnego dworzanina wielkich panów. Wesoły, dowcipny, udarowany bystrą pamięcią, miał zawsze na zawołanie mnóstwo opowieści, któremi raczył domowni-

¹⁾ Korrespondencya Aleksandra Dzinlego z Kasztelanową Połaniecką znajduje się w zbiorze rękopismów, w bibliotece Ordynacyi Hr. Krasieńskich.

ków i gości. Drugi, jako światły cudzoziemiec, przywiązany gorąco do kraju, w którym doznał polepszenia losu i gościnnego przyjęcia, zasługuje na zaszczytne wspomnienie.

Pyrrhys de Varille przyjechał do Polski 1755 r. Wskutku rekomendacyi ambassadora francuzkiego przy dworze polskim, hrabiego de Broglie, sprowadziła księżna Sanguszkowa Pyrrhysa na guwenera do synów, Józefa i Hieronima. W lat parę po objęciu obowiązku, napisał on książkę, w której tłumaczy się z przyjętego planu względem powierzonego mu wychowania młodych książąt. „Lettre sur l'éducation d'un seigneur polonois” Varsovie 1757. Napotykamy w tem dziełku zajmujące szczegóły, które rzucają światło nietylko na osobistość autora, ale i na system ówczesnej edukacyi. Widzimy tam, że guwener cudzoziemiec, pragnąc odpowiedzieć sumiennie swemu zadaniu, starał się przedewszystkiem o dokładne zbadanie praw i obyczajów kraju. Starszy uczeń Józef, wstąpił do akademii szlacheckiej młodzieży, otworzonej w Warszawie przez księdza Stanisława Konarskiego, gdzie kształcił się głównie w języku ojczystym, w historii i nauce prawa. Guwener uczył go języków, mianowicie łacińskiego i francuzkiego; w celu zaś osiągnięcia podwójnej korzyści, dawał do tłumaczenia uczniowi z łacińskiego na język francuzki i polski: Prawo publiczne królestwa polskie-

go oraz konstytucye (tom 1 ogólnego zbioru); przytem czynił wyciągi dla utwierdzenia w pamięci ucznia ważniejszych ustępów, dotyczących rządu, prawa i administracyi kraju. Wykładał guwerner literaturę starożytną sposobem zraktycznym, czytając z uczniem i objaśniając pnakomitych autorów w wierszu i prozie. Zasługuje na uwagę w tej książce pogląd autora Francuza na kierunek i pożytek systemu edukacyi, przyjętego w owoczesnej akademii księży Pijarów. Z wysokiem przedewszystkiem uznaniem oświadcza autor o zasługach obywatelskich, nauce i gorliwości sterujących zakładem księży: Konarskiego i Orłowskiego. Oprócz języków: polskiego, łacińskiego i francuzkiego, wykładano tam niemiecki i włoski, oraz historję i literaturę w jak najobszerniejszym zakresie. Obok kształcenia umysłu nie zapomniano o ćwiczeniu ciała, zatem udzielano lekcyę tańca, fechtowania i jazdy konnej. Dyrektorowie akademii zwracali największą uwagę na wykształcenie praktyczne młodzieży. Nie obciążano pamięci uczniów przykładami i prawidłami wymowy, lecz zadawano ćwiczenia, w których żądano treściwego i jasnego rozwinięcia obranego tematu, z pominięciem niepotrzebnych retorycznych ozdób.

W pomienionem dziełku o edukacyi, dowiódł Pyrrhys de Varille zamiłowania przedmiotu, bystrego, spostrzegawczego umysłu. Francus

zaledwie lat parę mieszkający w Polsce, ocenik należycie stanowisko społeczne polskiego magnata. W programie wychowania kładzie więc największy nacisk na poznanie historii, prawodawstwa i administracyi kraju. Sam oddał się tak gorliwie studjom nad historią polską, że już 1760 r. wydał na świat dzieło, w którym przedstawia w treściwym obrazie przemiany formy rządu w Polsce, od śmierci Kazimierza Wielkiego do wprowadzenia *liberum veto*, zatem wykazuje nadużycia wolnego głosu i zakończya uwagami nad reformą zaprowadzoną na sejmie 1717 r. Dzieło to w danym czasie zwróciło uwagę wszystkich oświeceńszych umysłów ¹⁾. W nagrodę obywatelskich zasług, na sejmie koronacyjnym przyznano Pyrrhysowi de Varrille szlachectwo polskie.

Po ukończonej edukacyi młodych Sanguszków, dawny guwerner brał żywy udział w ważniejszych politycznych wypadkach. Przeciwnik konfederacyi zawiązanej w Radomiu, napisał: „*Reflexions politiques sur la Pologne*,” gdzie ostrzegając o niebezpieczeństwie, zagrzewa do jednomyślnego działania. Zmuszony w tym czasie do wyjazdu za granicę, pozostawił pomienione pismo w rękach przyjaciela.

¹⁾ Znane w druku pod tytułem: *Compendium politicum seu brevis dissertatio de variis poloni imperii vicibus. Varsaviae 1760.*

Ten opóźnił się z ogłoszeniem drukiem, w skutek zaś rozruchów wywołanych następującymi wypadkami, nie drukował autor swych uwag politycznych w kraju, lecz wydał na widok publiczny 1762 r. w Londynie, pomnożone przypiskami. Jest to zajmujący i ważny przyczynek do objaśnienia wypadków 1767 r.

W chwili, do której odnosi się niniejsze opowiadanie, Pyrrhys de Varille był już w podeszłym wieku, ale zachowywał świeżość i żywość umysłu; uczył księżniczkę Maryę historii i geografii, resztę zaś czasu poświęcał historycznym i politycznym studjom.

W celu dopełnienia obrazu dworu księżnej w Poddębicach, musimy wspomnieć o trzech osobistościach, zajmujących najważniejsze stanowisko w rządzie miejscowych oficyalistów. Marszałkiem dworu był stary kontuszowy szlachcic Dauksza, przywiązany najmocniej do księżny i jej całej rodziny, skrupulatny w zachowywaniu przepisów odnoszących się do służby i porządków domu; nawet w chwilach najlichnieszego zjazdu gości, nie ścierpiał najmniejszego wykroczenia przeciwko przyjętym oddawna zwyczajom, doglądając, aby wszystko we właściwej następowało porze. Każdy ruch jego, każde wymówione słowo, nacechowane było obmyśleniem i powagą. Humor jego przytem był jednostajny, wesoły, szczególnie jednak stosował się do usposobienia księżny:

zatem gdy widział ją zadowoloną lub uradowaną, rozpromieniało się jego oblicze i w ruchach niemal młodzieńczą objawiał żywość.

Na równi z Daukszą stał w łaskach księżny podskarbi Schele, rodem Niemiec, ale od lat młodzieńczych zamieszkały w Polsce; płynnie mówił po polsku i akcentem tylko zdradzał swe pochodzenie.

Trzeci nakoniec, dawniej pokojowiec, obecnie burgrabia, był Tatarzynem czy Chińczykiem z rodu. Pewien generał rossyjski zabrał go do niewoli w bitwie na granicy chińskiej, gdy małym był chłopcem. Generał ofiarował to chłopię księżnej w upominku, wraz z bałwankiem chińskim o kilku miedzianych rękach, w którego dętym wnętrzu przechowywało się jakieś pismo chińskie. Bożyszczce to znajdowało się między osobliwościami w gabinecie czyli w muzeum księżnej w Szymanowie. Owego chłopca Chińczyka zwano księciem, na mocy zapewnienia generała, że wywodzi ród swój z cesarzów chińskich. Twarz podługowata, nos wklęsły, oczy wązko pod powiekami otworzone, świadczyły najwymowniej o jego pochodzeniu.

Wymieniliśmy wybitniejsze postacie składające dwór księżny Sanguszkowej.

Podczas obiadu, marszałek Dauksza pilnował porządku, stojąc za stołkiem księżny, lub przechadzając się po sali jadalnej z założonemi rękami.

Skoro zasiadł Starosta do stołu, ośmielony, jak powiedzieliśmy wyżej, uprzejmością gospodyni, rozmawiał tak wiele, swobodnie i wesoło, jakby znajdował się w gronie dawnych najlepszych przyjaciół. Domyslić się można łatwo, że młody starosta, mając przed oczami cztery ładne panienki, zwracał często wzrok w ich stronę, pomimo najżywszej rozmowy z poważnymi damami, w której brali udział panowie Pyr-rhys de Varille i Miaskowski. Panienki podobały mu się wszystkie i zapewne w razie zapytania, której z nich przyznaje pierwszeństwo, znalazłby się w nader trudnem położeniu, gdyż każda z nich właściwym odznaczała się wdziękiem. Najstarsza miała rok osmnasty, najmłodsza, Tekla Bielińska, liczyła dopiero rok czter-nasty. Starosta nie miał jeszcze czasu do porównania, atoli z prawdziwą przyjemnością wodził często wzrokiem i zatrzymywał go na uśmiechniętych, rozkwitających obliczach sąsiadek. Po obiedzie gdy całe grono opuściło jadalną salę, Starosta skorzystał z pierwszej wy-darzonej sposobności zbliżenia się do panien. W tym celu zawiązał najprzód rozmowę z gu-wernantką panną Gietulewiczówną, poczem przemawiał po kolei słów parę z każdą z wnu-czek księżny. Po uczynieniu atoli tego pierw-szego kroku do dalszej a raczej bliższej znajo-mości, przypomniał sobie Starosta z żalem, że nadchodzi godzina odjazdu. Umówił się więc

z doktorem, że odeszle chorego służącego do Szczytnik, rozkazał kamerdynerowi Fontainowi aby przygotował się do podróży, poczem poszedł do księżny z pożegnaniem.

— Jakto? chcesz mości Starosto odjeżdżać tak prędko z mojego domu! Powinieneś przecie wynagrodzić za to, że nie odwiedziłeś mię dotąd ani razu, chociaż mieszkasz sześć tylko mil od Poddębic.

Wymówkę tę przyjął starosta z najżywszem zadowoleniem i podziękował ukłonem za uprzejme zaproszenie gospodyni. Nie tłumaczył się z uczynionego mu zarzutu, musiałby bowiem wyznać prawdę, że nie słyszał nigdy o Poddębicach i że o nich dowiedział się po raz pierwszy od żyda złotnika z Błaszaków. Podobnie jednak naiwne wyznanie byłoby zupełnie nie w porę.

Gdy panienki wydalily się z guwernantkami do swych pokojów, pozostał gość sam z poważnemi damami i czytał im gazetę. Księżna udała się wkrótce na pacierze, tymczasem Starosta grał po kolei z paniami, najprzód z wojewodzina Rawską, później z kasztelanową Połaniecką w tryktraka. Zabawiano się kartami około dwóch godzin.

Kiedy przed wieczorem wybrały się na przechadzkę wnuczki księżny, w towarzystwie ochmistrzyni i innych panien, Starosta wziął z sobą Fontaina i przyłączył się do ich grona. Zwinny, zręczny Francuz umiał różne sztuki łama-

ne, z którymi popisywał się przed paniami i pannami. Starosta uwijał się w różnobarwnem gronie dziewcząt, widok ich swobodnej, rozkosznej wesołości, pobudzał go do serdecznego śmiechu i płatania niewinnych figlów, w czem szalapat Fontaine dzielnie mu dopomagał. Po przeszło godzinnej przechadzce wróciło młode towarzystwo do domu, w różowem i jak najhałaśliwszem usposobieniu.

Wieczorem pokazywał Starosta różne sztuki paniąkom, później zasiadł z księżną oraz z paniami Granowską i Lanckorońską do stolika i grał partyę w karty. Na tem zakończyły się całodzienne zabawy.

Nazajutrz, według przyjętego zwyczaju, wszyscy domownicy i goście słuchali rano nabożeństwa, odprawianego się w kaplicy zamkowej. Księżna modliła się w pokoju swym, w oknie, wychodzącym na kaplicę, naprzeciwko ołtarza.

Po wysłuchaniu Mszy Św. porozumiał się starosta z Pyrrhysem i Daukszą względem zwyczajów przyjętych w Poddębicach. Stosownie więc do informacyi tych panów, udał się do salonu, gdzie zastał księżnę przy śniadaniu, otoczoną licznem gronem pań i panien. Nie mógł korzystać z towarzystwa panienek, albowiem wkrótce wyprowadziła je guwernantka dla wysłuchania lekcyj. Panna Gictulewiczówna nie wykladała uczennicom żadnego

przedmiotu, lecz zadawała tylko z francuzkich książek pewne ustępy z grammatyki, historyi i geografii. Panienki obowiązane były wyuczyć się na pamięć i powtarzać dosłownie. Po wysłuchaniu lekcyj rozmawiała guwernantka z niemi wyłącznie tylko po francuzku lub niemiec-ku, lecz ani słowa po polsku. Po wypowiedzeniu lekcyi grały panny Bielińskie na klawikor-dzie. Księżniczka Marya Sanguszkówna kształciła się w sposób zupełnie odmienny. Jedynym jej guwernerem był stary Pyrrhys de Varille, nie obciążał jej pamięci, lecz uczył ją opowia-daniem, mianowicie historyi i geografii. Ochmi-strzyni jej Boryczewska nie posiadała innego oprócz rodowitego języka i pilnowała tylko ubrania i zdrowia księżniczki.

Zaproszony Starosta do stołu, siadł w towa-rzystwie księżny, jej gości oraz panów Pyr-rhysa i Miaskowskiego. Stary ten pułkownik, jak napomknęliśmy wyżej, był typem dawnych gawędziarzy, z którymi spotykano się niegdys tak często na zamkach magnatów i w drewnia-nych szlacheckich dworach, przy każdej uczcie i zabawie. Mieli oni na zawołanie mnóstwo opowieści o przygodach panów, księży, miesz-czan lub włościan, o konkurach kawalerów i figlach z pannami, o zalotach żonatych, o mę-żatkach i wdowach, słowem o wszystkich i o tem wszystkim, co składa się na utworze-nie różnobarwnej mozaiki życia. Dowcip tych

młodych lub starych gawędziarzy, swobodny, niewymuszony, aczkolwiek nieraz rubaszny, pobudzał do serdecznego śmiechu najpoważniejsze umysły, bo prawdziwy dowcip jak ton mistrzowskiej muzyki, wywołuje odpowiednie dźwięki w duszy słuchacza. Pułkownik Miaskowski umiał stosować się do otoczenia; owoż w towarzystwie dam poważnych stanowiskiem i obyczajem nie przechodził nigdy granic najsurowszej przyzwoitości. Pomimo to zabawił wszystkich opowiadaniem wrażeń i przygód, zasłyszanych lub doświadczonych w czasie podróży po Niemczech i Włoszech.

Po śniadaniu księżna słuchała według zwyczaju pobożnych medytacyj. Podała więc książkę staroście i prosiła o odczytanie przypadającego na ten dzień rozdziału.

Wszyscy przytomni słuchali z natężoną uwagą, od czasu tylko do czasu przerywała księżna czytanie, czyniąc uwagi i zadając pytania w miejscach, które wymagały objaśnienia. Trwało to całą godzinę, poczem rozeszli się rezydenci i goście.

Około godziny 2 po południu rozległ się głos bębna, oznajmujący porę obiadową. Starosta podążył do salonu księżny. Wskazała pani gościowi miejsce obok siebie, na fotelu, i zawiązała z nim rozmowę następującą:

— Opowiadano mi mości Starosto przed chwilą wiele ciekawości o Szczytnikach. Ka-

merdyner Fontaine mówił moim damom, że macie wyborną muzykę. Wnoszę z tego, że zabawiacie się wesoło i że muszą was nawiedzać goście. Słyszałem atoli z ust waćpana, że często wydalasz się z domu; radabym wiedzieć czem zajmują się wówczas wasi muzykanci.

— Egzercytują się ciągle mościa księżno. Sprowadzam im nóty z Wrocławia i tańce z Warszawy. Gdy jednak wyjeżdżam z domu na czas dłuższy, jak np. na trybunał do Piotrkowa, biorę ich z sobą. Dają tam koncerty z wielkiem zadowoleniem marszałka i deputatów, co jedna mi ich łaskę i wielkie poważanie u braci szlachty.

— Zapewne częste masz waćpan sprawy w trybunale, skoro starasz się o zaskarwienie łaski panów deputatów.

— Nie, mościa księżno; dziękuję Bogu, że dotąd jedną tylko własną miałem sprawę. Unikam swarów i radbym żyć w zgodzie z całym światem. Nie podobna jednak opierać się prośbom i naleganiom przyjaciół. Owoż nie jednokrotnie cudzą popierałem sprawę, lecz zawsze z dobrym skutkiem. Zjednało mi to reputację i zarazem zadowolenie, że przyczyniam się wedle możliwości do wydania sprawiedliwego wyroku.

— Pochwalam zacne sentymenta waćpana. Jeżeli i mnie zaliczasz do rzędu swych przyjaciół, może skorzystam z twej protekcji.

— Wielkie to będzie dla mnie szczęście, mościa księżno, jeżeli pomoc moja okaże się skuteczną w jej sprawie.

— Nie omieszkałam skorzystać zapewne wkrótce z uprzejmości waćpana,—rzekła z miłym uśmiechem księżna; poczem dodała—jak długo zabawisz mości Starosto w Warszawie?

— Nie dłużej nad parę tygodni. Zamieszkawszy od lat dwóch na wsi, zerwałem stosunki z warszawskimi domami, za wyjątkiem tylko księżny Kanclerzyny Czartoryskiej i jej córki pani Hetmanowej Ogińskiej. Jadę teraz głównie do Warszawy dla przedstawienia się Królowi i przypomnienia jego łasce, w interesie przyjaciół.

— Spodziewam się mości Starosto, że przyjechawszy trafem do mego domu, nie zapomnisz o dobrych znajomych, i z powrotem z Warszawy obierzesz trakt na Poddebice.

— Jakżeby mogło być inaczej mościa księżno!

— Mam jedną jeszcze prośbę do waćpana. Musisz mi pozwolić na dni kilka swojej kapeli, bo chciałabym, aby wyskakały się moje pаниenki.

— Natychmiast napiszę do Szczytnik i oddaję na usługi księżnej moją kapelę.

— Ale muszę też przed odjazdem opowiedzieć ci mości Starosto rzecz osobliwą. Wnuczece mojej Tekli przyśnił się dzisiejszej nocy

twój dom w Szczytnikach. Tak żywo zapamiętała rozkład pokojów i wszystkie szczegóły, że odrysowała mi na żądanie.

To powiedziawszy, pokazała księżna papier, na którym panna Tekla Bielińska nakreśliła plan domu. Spojrzał się bystro starosta i na twarzy jego odbiło się zdumienie. Nie mógł przez chwil kilka oderwać wzroku, wpatrując się z wyrazem zadowolenia, poczem zwracając rysunek księżnie, rzekł:—Nie spodziewałem się nigdy, aby przedmioty nieznane i niewidziane mogły tak dokładnie przedstawić się we śnie!

Księżna uśmiechnęła się zauważywszy wzruszenie Starosty. Wkrótce po tej rozmowie ukazał się marszałek Dauksza i uroczystym głosem rzekł:

„Mościa księżno już dano do stołu.”

Starosta podał rękę księżnie i zaprowadził ją do jadalnej sali, gdzie zgromadziły się znane z poprzedniego opisu osoby. Łatwo domyśli się każdy, że wzrok starosty zwrócił się najprzód ku trzynastoletniej pannie Tekli, która w tejże chwili spłonęła rumieńcem, chociaż jeszcze nie wiedziała, że sen jej o domu w Szczytnikach nie jest już dla młodego gościa tajemnicą. Nikt z obecnych nie dostrzegł wrażenia, które odbiło się z szybkością błyskawicy na obliczu dziewczęcia. Zauważył to tylko Starosta, w którego umyśle wyrzył się głęboko ów sen o jego pokojach w Szczytnikach.

Po obiedzie pożegnał starosta księżnę i jej wnuczki i wyruszył do Warszawy. Przy rozstaniu powtórzył przyrzeczenie, że nie zapomni o sprowadzeniu kapeli, i że sam niezadługo odwiedzi Poddębice. Gdy czynił to oświadczenie, czytał w rozjaśnionem obliczu księżny, jej wnuczek i domowników, że może rachować śmiało na życzliwość nowych znajomych i że dla wszystkich pożądanym będzie gościem.

IV.

Pobył starosty Nakielskiego w Warszawie. Codzienne zatrudnienia Króla. Chlubne świadectwo uczonego anglika Wilhelma Cox'a o wykształceniu literackiem Stanisława Augusta. Powrót do Poddębic. Przyjazd kapeli ze Szczytnik. Koncert i tańce. Wrażenia w umyśle Starosty z okoliczności pobytu w Poddębicach.

W szeregu ulubieńców, którzy mieli w dniu każdym wolny dostęp do króla, był starosta Nakielski. Korzystając z łaskawego usposobienia monarchy, przedstawiał swych przyjaciół do wakujących powiatowych urzędów, z pomysłem zawsze skutkiem. Codziennym będąc gościem w zamku, oraz uczęszczając na słynne czwartkowe obiady, miał sposobność Starosta przypatrzeć się zwyczajom i zatrudnieniom monarchy i jego otoczeniu.

Tryb codziennego życia Króla, według opisu Starosty, był następujący:

Skoro obudził się ze snu, przesyłał pewną kwotę do szpitala Dzieciątka Jezus, dla rozdania pomiędzy biednych. Wydatki na cele dobroczynne stanowiły ważną rubrykę w budżecie Króla. Szafowanie atoli zbyt hojne pienię-

dziemi dla ulubieńców i na dzieła sztuki, ściągnęło zarzut marnotrawstwa.

Zaledwie wstał Król z łóżka, wołał lektora księdza Albertrandego, który podczas ubierania czytał mu książki. Nie przeczytano zazwyczaj wiele, albowiem zadawał Król rozmaite pytania, na które uczony lektor udarowany nadzwyczajną pamięcią, odpowiadał zawsze z wielką łatwością. Przekonał się atoli monarcha, że czytanie jednej książki przeciąga się na całe miesiące, znudziło go to; zatem pod pozorem ulżenia Albertrandemu, zalecił mu, aby dobrał sobie pomocnika. Lektor wybrał zastępcę w osobie ks. ex-Jezuity Gawrońskiego. Czytanie od-tąd postępowało porządnie, albowiem nowy lektor nie posiadał wielkiego zasobu wiadomości i nie wdawał się w żadne uwagi i objaśnienia.

Po śniadaniu udawał się Król do swego prywatnego gabinetu, gdzie zazwyczaj większą część dnia przepędzał. Pisał sam listy, rozporządzenia i instrukcye, zatem pracował więcej od wszystkich sekretarzy i urzędników kancelaryi. Około godziny 11 wychodził do sali audyencyjonalnej, gdzie przyjmował posłów zagranicznych, wprowadzonych przez Podkomorzego Koronnego lub Kanclerza.

Kończyła się zazwyczaj audyencya o godzinie 2 po południu, poczem szedł król na obiad, jadł nader prędko, kilka lub kilkanaście minut, następnie powracał do kancelaryi. Odda-

wał się z takim zamiłowaniem pracy, że nie poświęcał nawet dłuższego czasu na słynne z uczonego i wesołego towarzystwa obiady czwartkowe. Zwyczajnymi na nich gośćmi byli: Ogiński, Chreptowicz, Jakóbowski, oraz księża: Naruszewicz, Wyrwicz, i Albertrandi. Król siedział u jednego stołu z gośćmi, atoli przynosili mu z kuchni na osobnych talerzach zapieczętowane potrawy. Chcąc dłużej zatrzymać monarchę przy stole, wypadało na samym początku obiadu rzucić jaką zajmującą kwestyę; jadł bowiem tak prędko, że jeśli nie zawiązano dość ożywionej rozprawy, wstawał po kilkunastu minutach od stołu i wydalał się do swego gabinetu. Księża Naruszewicz i Albertrandi odznaczali się najlepszym humorem, ich też dowcipne opowieści lub przystosowania, rozweselały najwyborniej króla i całe biesiadników grono.

Do pomienionych kilku charakterystycznych rysów z domowego życia Króla Stanisława Augusta, dołączymy świadectwo Wilhelma Coxe'a, znakomitego angielskiego podróżnika ¹⁾). Zwiedzając Warszawę 1778 r., przedstawił się on Królowi, rozmawiał z nim wiele w przed-

¹⁾ Wilhelm Coxe jest autorem kilku wysokiej wartości dzieł historycznych. Podróżował po różnych krajach Europy i wydał między innymi dzieło: „Travels into Poland, Russia, Sweden, and Denmark” 5 vols. (1784) przetłumaczone na francuzki 1786.

(Przyp. aut.)

miocie historii i literatury, mianowicie angielskiej. Ztąd powziął wysokie wyobrażenie o jego wykształceniu i gorącym zamiłowaniu do nauk, literatury i sztuk pięknych. Z okoliczności tej pisze między innymi: „Zna Król ten wybornie naszych najlepszych pisarzy; uwielbienie, z jakim wyraża się o Szekspirze, świadczy dostatecznie o gruntownej znajomości naszego języka i wielkiem poczuciu piękna w poezyi. Zarzucał mię wielu pytaniami w przedmiocie obecnego stanowiska sztuki i nauk w Anglii, oraz oświadczał się z czcią dla naszego Króla, jako protektora nauki i sztuk pięknych.”

Zgadniają się w tem współcześni krajowi jako i zagraniczni pisarze, że osławiony z nieumiejętności rządu narodem Stanisław August, był jednym z najwykształceńszych monarchów. Osobiste przymioty jako obywatela, wyjednałyby mu wszędzie najzaszczytniejsze pierwszorzędne stanowisko;—niedostateczne atoli były dla władcy, który objął rządy państwa w najkrytyczniejszej, brzemiennej niebezpieczeństwami chwili...

Niedługo gościł Starosta w Warszawie. Nie nawidził gry w karty, które, jak wspomnieliśmy wyżej, były najmodniejszą zabawą w owoczesnych salonach. Skoro więc wywiązał się z zobowiązań względem przyjaciół, pożegnał Króla, zajechał do domu matki do Guzowa, następnie stawiał się w Poddębicach.

Zatrzymał się Starosta w oberży, gdzie dowiedział się, że kapela ze Szczytnik dotąd nie przyjechała. Nie wątpił atoli, że wkrótce zjawią się muzykanci; więc zapowiedział gospodyni domu, aby przygotowała dla nich mieszkanie, poczem przebrał się, ufryzował i pośpieszył z powitaniem do zamku.

Starosta zastał wszystkich przy śniadaniu w jadalnej sali. Witano go serdecznie jak znanego oddawna przyjaciela lub blizkiego krewnego.

Skoro udały się panienki z guwernantkami do zwyczajnych zajęć, zaproponował Starosta księżnie, że odczyta głośno pobożne medytacye. Oświadczenie to przyjęła księżna z wdzięcznym uśmiechem. Po odczytaniu owych duchownych rozmyślań, czyniono spostrzeżenia nad pewnymi ustępami, kiedy rozwarły się drzwi salonu, ukazał się w nich kamerdyner Fontaine i poprosił na stronę swego pana, oświadczając, że ma ważną do zakomunikowania mu wiadomość. Rozgniewała mocno ta niedyskrecya Starostę i przeproszał księżnę za niegrzeczność sługi. Nie rozgniewała się atoli pani, owszem uśmiechnęła się łagodnie i rzekła: Nie gniewaj się na niego Starosto, nie darmo jest francuzem; oni sądzą, że wszystko im wolno.

Udał się niebawem Łubiński za kamerdynerem i zapytał, co tak ważnego się stało, że wszedł bez opowiedzenia i wywołał go z pokoju księżny?

Nie znięszął się bynajmniej francuz i odpowiedział: Przyjechały w tej chwili do oberży dwie bryki z muzykantami. Prosił mię, abym zawiadomił JW. pana, że czekają na jego rozkazy. Uśmiechnął się starosta, zadowolony z dowcipnego znalezienia się francuza, który odgadł w tym razie jego życzenia. Postanowił bowiem przygotować niespodziankę dla dam, kazał zatem zaprowadzić się do pokoju marszałka.

Zastali Daukszę przechadzającego się w granatowym kontuszu, z wesołem jak zawsze obliczem.

— Mam do waćpana prośbę, mości marszałku. Przyjechała w tej chwili moja kapela ze Szczytnik. Obstałowałem dla nich w oberży mieszkanie i obiad, chciałbym aby popisali się dziś przy obiedzie przed księżną; proszę więc o posłanie powozu po trzech metrów, oraz dwóch ludzi dla zabrania basetli i innych instrumentów.

Przyjął Dauksza wdzięcznie tę propozycję, nasłuchawszy się bowiem od Fontaina o mistrzowskiej grze Bandy i wybornej kapeli Szczytnickiej, oczekiwał na jej przyjazd z upragnieniem. Polecił więc koniuszemu, aby niebawem wyprawił stangreta z powozem do oberży. Wkrótce atoli po rozmowie z marszałkiem spotkał starosta wchodzącego do sieni Bandy, który nie czekając na koniec, wybrał się spacerem do zamku.

Powitał serdecznie starosta swego kapelmistrza, zapytał czy zastał w oberży wygodne pomieszkanie i obstalowany dlań obiad, poczem zaznajomił go z Daukszą. Pomimo atoli najlepszych chęci, nie mógł Marszałek zawiązać z gościem rozmowy. Benda nie mówił ani słowa po polsku, lecz tylko po niemiecku, francuzku i włosku, żadnego zaś z tych języków Dauksza nie posiadał. Żałował srodze marszałek, może po raz pierwszy w życiu, że nie mógł rozmówić się z cudzoziemcem. Uważał się najprzód w obowiązku zabawienia gościa, powtóre, jako miłośnik muzyki, rad był zaznajomić się bliżej z słynnym mistrzem. Podobała mu się przytem powierzchowność Bendy; oświadczył to staroście i dodał:

— Widzę że poczciwy jest człowiek, chociaż Niemiec.

To powiedziawszy wydalil się na stronę, ale wrócił po chwili z butelką likieru, którym chciał poczęstować Bendę. Podziękował tenże uprzejmie, tłumacząc się, że nie używa żadnych trunków.

Gościnny marszałek posłał kilka butelek wina do oberży dla Marchanda i Baura. Starosta oświadczył Bendzie, że życzy sobie aby zagrano przy obiedzie. Podobało się to Daukszy, wiedział bowiem, że księżna oczekiwała z upragnieniem na przyjazd kapeli. Poruczył staro-

sta urządzenie niespodzianki staraniu Daukszy i wrócił na pokoje księżnej.

Dauksza posłał po owego chińczyka czy tatarzyna, wychowanka księżnej. Jako znający język francuzki służył on za tłumacza. Porozumiawszy się przy jego pomocy z Bendą, udał się Dauksza do magazynu, gdzie był skład rozmaitych instrumentów i pulpitów; w tej liczbie trzy wyższe i pięć niższych. Zaniesli je do jadalnej sali, następnie uradzili, gdzie i jakie sprzęty mają być rozstawione.

Starosta znalazłszy się znów w towarzystwie dam, wytłómaczył się z ręcznie z powodu wywołania go przez Fontaina, lecz nie wspomniał o przyjeździe kapeli. Zapytywany o rozmaite szczegóły z okoliczności pobytu w Warszawie, zaspakajał trafnymi odpowiedziami ciekawość pań. Rozmowa z ogólnem zadowoleniem przeciągnęłaby się dłużej, lecz spostrzeżono, że nadchodzi obiadowa pora, zatem rozeszły się damy, dla zmiany ubrania. Nie zajęło to długiego czasu, nie sadzono się bowiem w domu księżnej na zbytckowe stroje. Nie upłynęło więcej nad pół godziny, gdy całe grono pań i panien zgromadziło się w salonie.

Ukazał się niebawem marszałek, pokręcił z uśmiechem wąsa i rzekł:

— Mościa księżno proszę do stołu.

W drzwiach sali jadalnej stali kamerdynerowie uszykowani w ten sposób, ażeby księżna

nie ujrzała stojących za pulpitemi muzykantów. Nie uszło to jednak bacznej jej uwagi, poznała z rozjaśnionego i uśmiechniętego oblicza Daukszy, że przygotowano dla niej jakąś niespodziankę. Zwróciła się do marszałka i rzekła:

— Powiedz waszmość co się stało?

— Ot, mościa księżno, skoro pan Starosta przyjechał, zaraz weselej nam w Poddębicach.

Kiedy księżna prowadzona przez Starostę stanęła w drzwiach jadalnej sali, za danym przez marszałka znakiem, rozsunęli się kamerdynerowie i kapela zagrała symfonię. Księżna nie mogła ukryć wzruszenia i uściskała Starostę. Panienki spojrzały radośnie jedna na drugą, poczem oblicza ich żywym spłonęły rumieńcem. Wszyscy zasiedli do stołu oprócz Daukszy, który ucieszony widokiem wywołanego wrażenia biegał po salonie i zacierał ręce.

Gdy ukończono symfonię, kapelmistrz Benda grał trio z Marchandem i Baurem, przyczem popisował się kilkakrotnie solo na skrzypcach. Później grali duet: Marchand na klarncie, Baur na fagocie. Najwięcej zachwyciła księżnę gra Bendi, znakomitego skrzypka. Dauksza podczas całego obiadu niezmiernie był ożywiony, gładził czuprynę, pokręcał wąsa i w miarę odbieranych wrażeń, wyrzucał za wyloty rę-



kawy, niekiedy poprawiał pasa, lub podnosił rękę w górę i opuszczał stosując się do taktu muzyki.

Całe towarzystwo tak było rozczarowane muzyką, że nie spostrzeżono jak skończył się obiad. Skoro powstano od stołu, prosiła księżna na czarną kawę trzech metrów. Benda jako wykształceńszy i znający salonowe zwyczaje, zbliżył się natychmiast do stołu. Dwaj inni nieśmieli i pomięszani, podziękowali ukłonem i pozostali we drzwiach. Księżna zwróciła się do Bendy i w najuprzejmniejszych wyrazach winszowała mu wysokiego talentu.

Po czarnej kawie, poleciła księżna Daukszy aby przeprowadził metrów muzyki do wyznaczonego im mieszkania.

— Mówiłem im już o tem mościa księżno, rzekł marszałek, „ale uparte niemcy, chcą wracać do oberży i powiadają, że nie im tam nie brakuje, bo pan Starosta o nich nie zapomina.”

W skutku narady z księżną udał się Dauksza do Łubińskiego i przełożył życzenie księżnej.

Przeznaczono dwa pokoje w oficynie, jeden dla Bendy, drugi dla Baura i Marchanda. Gdy Starosta powtórzył metrom pomienioną propozycję, przyjęli z podziękowaniem i udali się, zabrawszy instrumenta muzyczne, do nowego mieszkania.

Wieczorem ustawiono kapelę w salonie, gdzie zebrali się wszyscy rezydenci, domownicy i rezydentki. Liczne było grono dziewcząt spragnionych tańca, bo oprócz czterech wnuczek księżny, kilkanaście panien jej dworskich i wychowanic. Wśród tak licznego zastępu panien, jeden był tylko tancerz; rozumie się, że przy najlepszych chęciach nie mógł podolać Starosta tak trudnemu zadaniu. Panny więc tańczyły z pannami; udała się jednak zabawa i dziewczęta wyhasały się wybornie, przy dźwiękach kapeli, wykonywającej po mistrzowsku tańce. Powtarzały się co wieczór wesołe tany w ciągu kilkodniowego pobytu Starosty w Poddębicach. Były to może najprzyjemniejsze chwile w jego życiu; nigdy też zapewne nie doznawał tak żywego zadowolenia za sprawą swej kapeli, jak teraz, kiedy serdeczne składano mu podziękowania za dostarczoną rozrywkę piękną muzyką, która najwytworniej-sze mogła zaspokoić żądania. Czuł się też Starosta wynagrodzonym sowicie za wyświadczoną uprzejmą usługę. Doświadczywszy kilkakrotnie smutnych zawodów, jak z okoliczności pierwszego ożenienia, oraz rozwianych przed niedawnym czasem projektów, nowy, serdeczny stosunek zawiązany w gościnnym domu księżny Sanguszkowej, stał się w osamotnieniu jego, jaśniejszej, pomyślniejszej przyszłości wróżbą. Pomimo przywiązania do matki, z powo-

du zimnego stosunku z ojczyzną pozbawiony od lat dziecięcych przyjemności rodzinnego życia, znalazł Starosta w domu księżnej jakby drugą, przybraną rodzinę, gdzie nie szcędzono mu oznak prawdziwej życzliwości. Tak więc wyniósł Starosta z powtórnego pobytu w Poddębicach najmilsze wrażenia.

Wspomnieliśmy już wyżej, że opowiadanie o szczególnym śnie panny Tekli Bielińskiej, zajęło mocno młodego Starostę, w czasie pierwszego pobytu w domu księżnej; to też wyróżniała ją odtąd w gronie sióstr i innych pań, lecz nie układał prawdopodobnie projektu małżeństwa. Panna Tekla, najmłodsza z sióstr, liczyła dopiero rok czternasty. Starosta zabawił się z nią i rozmawiał częściej niż z innymi panienkami, bo upodobał sobie jej dowcip i wesołość pełną wdzięku. W upodobaniu tem atoli, ze względu na wiek dziewczęcia, nie zdradzało się dotąd głębsze, egoistyczniejsze uczucie.

Taki był stosunek Starosty do rodziny księżnej w chwili pożegnania i wyjazdu do Szczytnik, w końcu jesieni 1780 r.

V.

Zjazd gości w Szymanowie 1781 r. Poeta Franciszek Karpiński. Poseł Szwedzki Engeström. Pobyt starosty Nakielskiego w Szymanowie i urządzone tamże przez niego zabawy. Sprawa księżny w Trybunale Piotrkowskim z panią Kossakowską z Potockich kasztelanową Kamińską. Starosta staje w Trybunale jako plenipotent księżnej. Relacya z okoliczności wygranej sprawy. Drażliwy stosunek matki Starosty do księżny Sanguszkowej. Powrót do Szczytnik. List pani Kossakowskiej do Starosty z wymówkami. Odpowiedź na list. Pojednanie z kasztelanową. Wpływ ks. Sanguszkowej na zmianę w usposobieniu Starosty. Wycieczki w ciągu zimy do Guzowa i Warszawy.

Z dwóch letnich rezydencyj księżny Sanguszkowej, najgłośniejszem miejscem był Szymanów, jako położony w pobliżu Warszawy. Każdego lata mnóstwo zjeżdżało się tu gości: Król, Nuncyusz stolicy Apostolskiej, posłowie: rossyjski Stakelberg, angielski Whittworth, szwedzki Engeström nawiedzali często księżnę w Szymanowie. W ciągu lata 1781 r. gościli tu między innymi uczeni: Generał Wojciech Jakubowski, Ks: Pijar Orłowski i poeta Franciszek Karpiński. Z grona dam najczęstszymi były gośćmi: księżna Radziwiłłowa z Nieborowa, Łuszczewska kasztelanowa Rawska z domu Ponińska ze

Strug, z siostrzenicą panną Walewską wojewodzianką Sieradzką. Bawiła tegoż lata w domu babki słynna z osobliwej piękności księżniczka Dorota Jabłonowska, córka Antoniego Wojewody Poznańskiego (później kasztelana Krakowskiego). Starał się o jej rękę Ksawery Braniccki Hetman W. Kor. Wskutku atoli nieporozumień pomiędzy ojcem panny i kawalerem, nie przyszło do skutku projektowane małżeństwo. Panna dostała później ospy, która mocno twarz jej zeszpeciła, jednak nie przestała czarować pięknymi, rozumnymi oczami, jakoż ożenił się z nią następnej zimy ks. Józef Czartoryski Stolnik W. X. L.

Wymieniliśmy w szeregu goszczących osób w Szymanowie Franciszka Karpińskiego, znanego już wtedy i ulubionego poetę. Bytność w Szymanowie tegoż lata łączy się z nader ważnymi wspomnieniami jego życia. Sądzymy więc, że objaśnienie ówczesnego stosunku poety do otaczającego go społeczeństwa, nie będzie zbyt cennym.

Karpiński wydając pierwszy zbiór poezyj we Lwowie, pod tytułem: „Zabawki wierszem i prozą,” dedykował go ks. Czartoryskiemu G. Z. P. Podobały się księciu sielanki, podziękował najuprzejmiej poecie i starał się poznać go osobiście. Powierzchowność Karpińskiego nie mniej jak jego sielanki przypadły do serca uczonemu księciu. Nawzajem poeta przejęty był naj-

głębszym szacunkiem dla męża, pełnego nauki i obywatelskich zalet. Porozumienie więc nastąpiło nader prędko. Karpiński przyjął najchętniej ofiarowaną mu posadę sekretarza. Towarzyszył w podróżach księciu, który uważał go jak przyjaciela, dając mu na każdym kroku dowody zupełnego zaufania. Tak było do czasu przyjazdu do Warszawy na początku 1780 r. Naruszewicz przedstawił Karpińskiego Królowi na obiedzie czwartkowym. Król rzekł: „Waćpana sielanki drukowane dawniej we Lwowie, zaleciły go nam: kochanek Justyny będzie w Warszawie kochany.“ Wkrótce atoli zaszła zmiana w stosunku księcia do poety. Prostoduszny Karpiński, nieznający wymagań społeczeństwa, zachwiał się na swem stanowisku. Miał on jedyną wadę zbytnej szczerości, wypowiadał bowiem w każdej chwili swe przekonanie, bez względu na osoby i stosunki. Tą niewczesną szczerością zadrasnął parę razy miłość własną księcia. Poleciał mu książę, aby ułożył jego bibliotekę. Karpiński odkrył że bardzo wielu brakuje książek. Obraził tem Skowrońskiego sekretarza i faworyta, który miał dozór nad biblioteką. Wyłajany faworyt nie wypadł z łaski, poeta zaś uczuł wkrótce skutki jego gniewu i pogrózek. Przekonał się Karpiński, że stosunek księcia względem niego staje się z dniem każdym chłodniejszy; jakoż zaproponowano mu pewnego razu, czy nie zechce przy-

jąc obowiązku guwenera w domu ks. Hieronima Sanguszki. Odmówił pomimo najkorzystniejszych warunków. Wkrótce atoli otrzymał powtórny propozycję w imieniu znanej nam ks. Sanguszkowej. Pani ta rozciągnęła opiekę nad wnukiem osieroconym po śmierci jej syna Józefa. Matka dziecięcia, Anna z domu Cetnerówna, wyszła powtórnie za mąż za ks. Kazimierza Sapiechę i najchętniej oddała babce syna swego na wychowanie. Zaczyna matrona, troskliwa o przyszłość ukochanego wnuka, myślała o wyborze guwenera. Wtedy to porozumiała się z ks. Czartoryskim i za radą tegoż, czy też z własnego jej natchnienia, wybór padł na Karpińskiego. Bądź co bądź, przyjął poeta powtórny propozycję z bólem w sercu, podejrzewając, że książę chce go się pozbyć.

Było to w porze zimowej, kiedy ks. Sanguszkowa przebywała w Warszawie. Przedstawił się jej poeta; widok uwielbianej powszechnie matrony mocne na nim sprawił wrażenie.

Powitała go księżna ze zwyczajną uprzejmością i oświadczyła, że udaje się do niego z najgorętszą prośbą, aby zechciał opiekować się wychowaniem i nauką jej wnuka. Zauważywszy pomieszanie czy też wahanie poety, dodała: „To dziecię sierotą, bez ojca jest, matka nie wiele dba o niego, jeżeli go pod dozór twój nie wezmiesz, przed Bogiem na ciebie skarżyć się będę.“

Wzruszony gorącą prośbą księżnej przyjął obowiązek guwernera. Bolało go atoli srodze, że książę, do którego najmocniej się przywiązał, uczynił mu sam propozycję porzucenia jego domu. Nie mógł utaić głębokiego żalu i przy pożegnaniu rzekł: „Nietylko uczynkiem, ale myślą nawet nie zgrzeszyłem przeciwko W. ks. Mości, wszelako mię z domu swego jak winowajcę jakiego wypędzasz, a ja przy tobie do śmierci żyć chciałem.“

Wzruszony tem książę, rzucił się ku niemu i zawołał:

— Toż się u mnie zostań, z całego serca proszę!

— Dałem już słowo Sanguszkowej — odpowiedział poeta i ze łzami w oczach wyszedł.

W tydzień po rozmowie przywieziono z Lubartowa dziecię do domu babki. Wezwany Karpiński zastał w salonie księżnej wielu dostojnych gości, w ich liczbie Króla, który wzięwszy na ręce pięknego chłopca, oddał go poccie.

Przeprowadził się guwerner z uczniem do konwiku księży Pijarów. Rektorem był ksiądz Stadnicki, z którym poeta najserdeczniejszą związał przyjaźń.

Siedmioletni Romanek uczył się w konwiku w gronie kolegów, guwerner dopomagał mu i czuwał nad jego moralnością. Z początku zadowolony był Karpiński z nowego stanowiska, cho-

ciaż napotkał przeszkody w przeprowadzeniu porządnego planu edukacyi. Babka grzeszyła zbytniem przywiązaniem do wnuka i żądała, aby przychodził do niej na obiad trzy razy na tydzień. Liczne zebrania w salonach księżnej nie były odpowiednie dla obudzonego i żywą wyobraźnią udarowanego chłopca. Uważał z żalem Karpiński, że rozbawiony uczeń jego zapomina o nauce, oraz zawczasie wzbija się w dumę, pod wpływem pieszczot i pochlebstw otaczających osób. Z okoliczności tej, przytacza poeta w swym pamiętniku następujący szczegół.

W dniu imienin księżnej wypowiedział jej wnuk na powinszowanie czterowiersz:

Wtenczas kiedy będę stary,
 Babuniu, w święto Barbary,
 Powiem ci, wyszło na moje,
 Otóż my starzy oboje.

Przytomny król wziął chłopca na ręce i kazał mu kilkakrotnie powtarzać wiersze. Inni potem za przykładem króla rozrywali go sobie z rąk do rąk. Najniekorzystniej atoli oddziaływał na wyobraźnię dziecka wpływ podrzędnych osób, znajdujących się przy dworze księżnej, które podchlebiały mu najniezręczniejszy i tytułowały go ciągle księciem. Wpływ ten uwydatnił się w stosunku jego do kolegów. Romanek wyznał pewnego razu guwernerowi, że w gronie 85 uczniów konwiktów, jednego

znajduje tylko mu równego księcia Jabłonowskiego. Zgorszony poeta ofuknął chłopca, poczem wykładał mu obszernie o równości obywatelskiej w Polsce. Księżna dowiedziawszy się o tem, odebrała mu zegarki i pierścionki, któremi lubił odznaczać się w gronie kolegów. Nie pomogła jednak ta kara jak i nauka Karpińskiego o równości. Romanek zabawiając się w godzinach wolnych od nauk z kolegami, nazywał jednych swemi lokajami i furmanami, innych w dowód łaski i odznaczenia — dworzananami. Doniósł o tem Karpiński prefektowi konwiktu, zatem uradzili, że wypada pokroczyć pychę ucznia. Powiedzieli jego kolegom, że mogą wybić go nieszkodliwie, jeżeli zadawać sobie będzie z nimi tony. Swawolny Romanek wkrótce dał powód do ukarania. Poturbowany przez kolegów, przybiegł z płaczem do guwenera. Na zapytanie za co go wybili, odpowiedział, że dał jednemu szcztka. Skutkowała pomieniona nauka. Romanek zmienił się do niepoznania w stosunku z kolegami. Karpiński najzupełniej zadowolony był z ucznia i przywiązał się do niego, widząc wzajemne jego przywiązanie. Wszystkie godziny dnia poświęcał dozorowaniu i dopomaganiu w zajęciach uczniowi. Codziennie od pewnego czasu odprowadzał go do domu ks. Czartoryskich, dla zabawy z młodszą córką książąt, w skutku uprojektowanego ożenienia z nią Romanka. Zatruc-

dnienia tak jednostajne i ciągle wyczerpywały jego siły. Poeta poczuł znużenie. Nudził go przytem pobyt w Warszawie, zatęsknił za wiejskiem niebem i swobodą wiejskiego życia. Przykro mu atoli było oswoić się z myślą rozstania z uczniem, który mu dawał dowody najżywszego przywiązania. Tak więc pozostawał pod wpływem dwóch walczących prądów uczucia, aż zagrożony utratą zdrowia, nakłonił się stanowczo do wyjazdu z Warszawy.

Dowiedziawszy się o postanowieniu Karpińskiego, księżna błagała go usilnie, aby nie porzucił jej wnuka. Popierał jej prośbę Król i inne osoby, lecz wszystkim tłumaczył się poeta, że jakkolwiek z najgłębszym żalem, nie może nadal pełnić obowiązku guwernera, zmuszony do wyjazdu z Warszawy dla poratowania zdrowia. W tym więc właśnie czasie przed powrotem do rodzinnego domu, zajechał Karpiński do Szymanowa dla pożegnania księżnej. Zastał go Łubieński i przepędził dni parę w miłym jego towarzystwie. Żywo wtedy biło serce poety na widok zielonych łąków. Nieraz zapewne przesunął się przed jego oczami obraz skromnego, ojczystego domku, który go miał natchnąć wkrótce do napisania przeslicznego wiersza: „Powrót na wieś.“

W szeregu znakomitych gości, które odwiedzały Szymanów, wymieniliśmy posła szwedzkiego Engeströma. Światły cudzoziemiec polu-

bił Łubieńskiego, widząc jego ciekawość i chęć obznajmienia się z dyplomacją, wskazał mu cenniejsze dzieła, które następnie sprowadził Starosta z zagranicy i czytał z wielkiem zajęciem. Stosunek Starosty do domu księżnej był coraz poufalszy i serdeczniejszy. Kapela jego przez całe lato uprzyjemniała domownikom i gościom pobyt w Szymanowie. Urządził tu piękną fontannę i kaskady w ogrodzie, podawał rozmaite projekta zabaw i upiększenia miejscowości. Często w poobiedniej lub wieczornej porze, przejeżdżała się księżna otoczona licznym gronem domowników i gości, na przyozdobionych wieńcami i chorągiewkami statkach, które poprzedzała kapela, przygrywająca na dętych instrumentach. Księżna pokochała Starostę jak własnego syna, zwierzała mu się z swych spraw domowych i okazywała dowody zupełnego zaufania. Starosta zasługiwał ze wszech miar na to, uprzedzając niemal jej myśli i starając się usilnie o uprzyjemnienie pobytu na wsi jej i otaczającym osobom.

Pewnego razu rzekła księżna poufnie:

— Pamiętasz Starosto, że w roku jeszcze zeszłym przyrzekłeś mi swą protekcyę w trybunale piotrkowskim. Przekonawszy się, że jesteś szczerym przyjacielem mojego domu, udaję się do ciebie z zupełnem zaufaniem. Mam sprawę z panią Kossakowską kasztelanową Kamińską. Winna jej jestem 6000 czerwonych złotych

z Lutomirszczyzny. Nie myślałam nigdy zaprzeczać tego długu i święcie wypłacę. Niepotrzebnie nawet udała się do prawa, bo za sześć tygodni zwrócę jej w całości summę. Nie chciałabym jednak zaciągać pożyczki na tak krótki przeciąg czasu. Wyrządzisz mi więc waćpan wielką łaskę, jeżeli ułożysz się z plenipotentami pani kasztelanowej i uprosisz, aby poczekali do sześciu tygodni.

Przyjął z zadowoleniem starosta Nakielski zlecenie księżnej, prosił o oddanie dokumentów dotyczących się sprawy, którą jak najgoręcej wziął do serca i postanowił w jak najprędszym załatwić czasie.

Następnego poranku wyjechał z papierami do Piotrkowa. Po upływie dni kilku był już z powrotem w Szymanowie i przywiózł relację o rezultacie swych starań.

Księżna siedziała przy rannej kawie, kiedy dowiedziała się nie bez zdziwienia, że Starosta wrócił już z Piotrkowa. Wkrótce ukazał się sam i po zwyczajnem powitaniu oświadczył, że na mocy wyroku sądowego, pozostawia się jej jeszcze rok czasu do wypłacenia długu. Zmieszła się tą wiadomością księżna. W pierwszej chwili bowiem pomyślała, że korzystny dla niej wyrok mógł zapaść z krzywdą dla drugiej strony. Wkrótce atoli opowiadanie Starosty rozwiało jej obawy.

— Wyrok mościa księżno zapadł zupełnie zgodnie z prawem. Nikt nie stanął ze strony powódki w sądzie, zatem bez użycia jakiegokolwiek intrygi, odesłano sprawę do przyszłego roku. Rzeczą miała się następnie. Skoro przyjechałem do Piotrkowa, dowiedziałem się, że sprawa ma być nazajutrz sądzona. Nie zaczęziałem plenipotentów pani kasztelanowej, domyślając się, że nie zezwolą tak łatwo na odroczenie terminu wypłaty. Postanowiłem więc, najprzód polecić się łasce panów deputatów, ażeby dopomogli do złagodzenia plenipotentów i nakłonienia do ugody. Zajechawszy do oberży, poleciłem Fontainowi aby postarał się o beczkę dobrego wina i drugą piwa dla potraktowania gości. Niedługo pozostawiono mię samego w gospodzie. Panowie deputaci zgromadzeni na obiedzie u prezesa Trybunału, dowiedzieli się o moim przyjeździe i przyszli mię powitać w całym komplecie. Powrócił właśnie wtedy Fontaine z oznajmieniem, że wino i piwo zakupione. Kazałem czempredzej ściągnąć wino w butelki, zamówić w oberży cztery pieczenie, ciasta i jak najpredzej zastawić na stole. Fontaine przy pomocy lokaja Stanisława spełnił dokładnie polecenie. Tymczasem prosiłem panów braci, aby zasiedli do stołu. Posypały się ze wszech stron pytania o przyczynę mego przyjazdu do Piotrkowa i o nowiny z Warszawy. Odpowiedziałem, że nie przyjechałem

w żadnej innej intencji, jedno dla miłej pogawędki i uściskania dobrych przyjaciół. Otóż na poparcie słów mych, kazałem ponalewać kieliszki, wypilem za zdrowie panów deputatów i prosiłem, aby byli łaskawi i pili. Po spełnieniu atoli kielichów, nastawali mocno, abym powiedział, co mię sprowadziło do Piotrkowa. Dziś powiedzieć waszmościom nie mogę, odrzekłem, jutro dowiecie się o wszystkim. Nadszedł Fontaine z pieczyńiami i ciastami. Prosiłem tedy aby jedli i wybaczyli, że stół jest bez nakrycia. Nie dali się prosić długo, rozchwyтали w oka mgnieniu talerze i noże, w braku zaś dostatecznej onych ilości, ustępowali jedni drugim. Tak więc talerze przechodziły z rąk do rąk, uwijali się panowie deputaci nader szybko, jakoż po spełnieniu trzeciego z kolei kieliszka, pozmiatali wszystko z półmisków, jakby wcale nie jedli obiadu. Zabawiano się przytem i gwarzono bez wytchnienia do godziny 10, aż jeden z deputatów spostrzegł że już późno i zawołał: pozwólmymy staroście odpocząć i wyspać się, bo umęczył się i utrząsł w podróży. Rad byłem niezmiernie z tej propozycyi. Ruszyli się wszyscy od stołu, pożegnali i rozeszli do domów. Nazajutrz wybrałem się z podziękowaniami do deputatów za wyświadczoną mi łaskę. Zastawałem ich ubierających się lub przy kawie, bawiłem więc u każdego bardzo krótko, ani słowa nie mówiłem o inte-

resie, na pytanie zaś czy będę stawać w jakiej sprawie, odpowiadałem: dowiedcie się o wszystkim w izbie. Wychodząc od deputatów mijalem się prawie wszędzie, na schodach (lub w przedpokoju, z plenipotentami pani Kossakowskiej. Wiedzieli ci panowie, że przyjechałem z Szymanowa, więc spoglądali na mnie z ukosa i wbili sobie w głowę, że jakąś wielką ukartowałem kabałę i że wszyscy deputaci przeciwko nim konspirują zemną. W oznaczonej godzinie udałem się na sesyą Trybunału. Przybyłem w porę, albowiem przywołano wkrótce sprawę pani kasztelanowej Kamińskiej przeciwko księżnie Sanguszkowej. Wystąpił mój mecenas, ja zaś prosiłem, aby mi przymówić się dozwolono. Oczekiwano wtedy, że wystąpi ktoś ze strony pani Kossakowskiej, ale nikt nie odezwał się w jej sprawie. Zadziwiło to mocno prezydenta i marszałka, zatem zapytują zniecierpliwieni, kto staje od powódki? Mecenas mój wymienił nazwiska dwóch plenipotentów. Okazało się, że nie przyszli; więc posłano woźnych do ich mieszkania. Wrócili wkrótce z relacją, że nie znaleźli żadnego z tych panów. Oczekiwano jeszcze przez pewien przeciąg czasu, ale wkońcu ogólne powstało szemranie. Rozgniewany marszałek rozkazał wydać kondenmatę, z odłożeniem sprawy do przyszłego roku. Zażądałem natychmiast wyciągu wyroku. Podziękowałem Trybunałowi, ale zarazem oświadczyłem, że

stanąłem w imieniu Księżnej, jedynie w intencji uproszenia przedłużenia terminu do sześciu niedziel. Wkrótce potem pożegnałem się ze znajomymi, podając tę przyczynę prędkiego odjazdu, jakoby miał stawić się niezwłocznie na rozkazy Króla w Warszawie.“

Wysłuchawszy z zajęciem pomienionej relacji, dziękowała księżna staroście za podjęte trudy, oświadczając zarazem, że pragnie uiścić się z długu w jak najprędszym czasie, gdyż obawia się najmocniej, aby ją nie posądzano, że chce korzystać z wyroku Trybunału.

Starosta w celu zaspokojenia księżnej, dodał, że cały Trybunał może zaświadczyć, jako kasztelanowa jedynie z winy własnych plenipotentów otrzymała kondemnatę. Panowie ci uroiwszy sobie, że starosta przeciągnął na swą stronę wszystkich deputatów, uważali sprawę kasztelanowej za przegraną; zatem uradzili, że najwłaściwiej postąpią, jeżeli nie pokażą się na sądach. Pomienionemi uwagami uspokoił starosta drażliwość księżnej, obawiającej się, aby z powodu tak niespodziewanego obrotu sprawy, nie ściągnęła jakiegobądź podejrzenia. Wkrótce atoli stanęła jej na myśli pani kasztelanowa Kamińska. Przypuszczała słusznie, że plenipotenci, w celu usprawiedliwienia się i zasłonięcia od zarzutu, przedstawią okoliczności poprzedzające wydanie kondemnaty, w jak najfałszywszem świetle. Zwierzyła się księżna

z swych domysłów staroscie i pytała, czy nie wypadaloby zawiadomic kasztelanowę o szczegóлах sprawy, oraz o gotowosci wyplacenia w przyspieszonym terminie nalezacych sie jej pieniedzy. Odpowiedzial starosta, ze objaśni kasztelanowę dokladnie wzgledem czynnosci swej w Piotrkowie, oraz ze nie powatpiewa, jako pomyslnem zakonczeniem interesu, usunie powód wszelkiej dalszej niecheci.

Wkrótce po tej rozmowie wezwala księżna podskarbiego i zapowiedziala, ze najpierwsze odebrane z dóbr pieniadze przeznaczza na zaplacenie dlugu pani Kossakowskiej.

Pomienioną uslugę oddal księżnej starosta przed odjazdem swym z Szymanowa do domu, gdzie z powodu dlugiej niebytnosci wiele mial zaleglych spraw do zalatwienia. Zwracalismy wyzej uwage na stosunek starosty do rodziny księżnej. Nie zaszla w tej mierze zadna wielka zmiana od czasu odwiedzin w Poddebicach. Panna Tekla Bielińska, od chwili poznania i owego snu opowiedzianego przez babkę, najpierwsze zajmowala zapewne miejsce w umysle mlodego starosty. Czternastoletnia atoli dziewczeczka, wesola i swobodna jak ptasze, nawet w owych romansowych czasach nie mogla byc podejrzewana o role bohaterki. Nie przypuszczamy tez, aby domyslala sie nawet, ze jej wdzieczna postac stala sie przedmiotem glębszego wrazenia w duszy mlodziencza, z którym za-

bawiała się nader często z naiwną swobodą, w nieznanym innym uczuciu oprócz uczucia życzliwości. Co dotyczy się starosty, jakkolwiek nie myślał jeszcze o wystąpieniu w roli konkurenta, pokładając ufność w przyjaźni księżnej, pocieszał się zapewne nieraz myślą, że znajdzie z czasem urzeczywistnienie młodzieńczych marzeń, w połączeniu z jej wnuczką. Z uczuciem tem atoli ukrywał się tak starannie, że nikt z otaczających osób nie domyślał się wcale, że młodziuchna panna Tekla może być przedmiotem jego zabiegów. Nie wypadało w istocie zwierzać się staroście z przedwczesnych zamiarów, nie miał zresztą tak blizkiej osoby, którejby mógł odkryć z zaufaniem tajemnicę swego serca. Drażliwy był stosunek pani Ogińskiej, matki starosty, względem księżny Sanguszkowej, z powodu interesów majątkowych, które poróżniły niegdyś dom Ogińskich z domem Sanguszków. Ubolewał nad tem mocno starosta, starał się o zatarcie śladu dawnych waśni, nie mógł jednak tak prędko zmienić zimnego stosunku stron poróżnionych i doprowadzić do upragnionego pojednania. Nie tracił atoli nadziei, że potrafi z czasem usunąć źródło wzajemnych niechęci, zaufany w przywiązaniu matki z jednej i w życzliwości księżnej z drugiej strony.

Na tak wyczekującym znajdował się stanowisku starosta, w chwili odjazdu z Szymanowa.

Kapelę pozostawił do rozporządzenia księżnej do końca lata.

Po powrocie do domu, otrzymał wkrótce starosta list od pani Kossakowskiej. Jak było do przewidzenia, plenipotenci najfałszywiej poinformowali swą panią o całym przebiegu sprawy. Znany jest charakter tej matrony: pełna zacnych przymiotów, rozumna, dowcipna, rozmiłowana w życiu czynnem, odznaczała się prawdziwie męską energią i odwagą, co nadawało jej pewną wyłączną cechę w porównaniu z innemi niewiastami. Nie ograniczając się w szrankach działalności domowej, brała żywy udział w publicznych sprawach i żadne postronne względy nie zachwiały jej przekonań i nie zawróciły z wytkniętej i obranej drogi. Otóż jak wszystkie niewiasty tego znaczenia i wpływu, pani kasztelanowa Kamińska była drażliwą wielce w rzeczach dotyczących jej honoru lub nazwiska. Dotknięta do żywego wiadomością o zapadłej kondemuacie w Trybunale, uczuła tem mocniej mniemaną krzywdę, że starosta Nakielski skolligacony był z jej rodziną. Wyrzucała mu więc w tym liście, że on „spokrewniony na nieszczęście z Potockimi, których ona jest naczelnikiem, ważył się występować przeciwko jej najsluszniejszej sprawie i haniebłą otrzymać kondemnatę.“

Starosta natychmiast odpowiedział: że wyrozumiał z ostrego tonu listu, jako był podykto-

wany przez biednych plenipotentów, na których spada cały ciężar odpowiedzialności za niedopilnowanie powierzonej im sprawy. List ten zakończył następującymi słowy:

„Odwołuję się do marszałka i deputatów, którzy jak wiem, sprzyjają JW. pani, niech przed nią zeznają, czy jakiegokolwiek przeciwko niej zrobiłem kroki. Plenipotenci nie pokazali mi się wcale; gdyby byli zgłosili się do mnie powiedziałbym im: po co ma być sprawa, przyjdźcie do Warszawy za sześć niedziel, natychmiast wam wypłacę. Owóż teraz toż samo powtarzam JW. pani: przyslij kogo od dziś za trzy niedziele, ale nie takich jak tamci Ichmościowie, a zaraz im od księżnej zapłacę. Tak tedy bureczka co im się należy, mnie się dostała; nie chcę cudzej własności, oddaj im JW pani, a na mnie bądź łaskawa.“

List ten nietylko rozbroił zupełnie kasztelanową, lecz podniósł nawet wysoko w jej opinii starostę. Odebrwszy w oznaczonym terminie pieniądze, zaufana odtąd w jego sumiennosci, i zdolnościach, chciała mu puszczać dobra w dzierżawę i generalnym uczynić go plenipotentem. Wymówił się starosta, że nie może przyjmować nowych obowiązków, mając wiele do czynienia we własnym majątku. Nie poprzestała na tym dowodzie przyjaźni pani Kossakowska, lecz rozgłosiła sławę starosty podnosząc jego zdolności i prawość charakteru we Lwowie, na Wołyniu i po całej Litwie.

Po tak pożądanem zakończeniu sprawy z kasztelanową Kamińską, nie wydalął się starosta w ciągu jesieni, lecz doglądał gospodarstwa w swych majątkach; przejeżdżał się zatem tylko z Szczytnik do Zagości. Dłuższy pobyt starosty w domu ks. Sanguszkowej, wpłynął wielce na zmiany i ograniczenie wydatków w zarządzie domowym w Szczytnikach. Niejednokrotnie był świadkiem starosta zabiegłości księżnej w interesach majątku oraz utrzymania dworu. Widział jak pani ta wchodziła w najdrobniejsze szczegóły, jak przeglądała i sprawdzała rachunki wydatków. Otóż, jak wyznaje starosta w swym pamiętniku, tak silnie oddziaływał na niego wpływ księżnej, że po raz pierwszy poczuł się do winy zbyt częstego dogadzania próżności i fantazyi; zatem postanowił ograniczyć w budżecie rubrykę wydatków, przeznaczonych wyłącznie na podtrzymanie pańskiego tonu. Niepodobna mu było rozstać się z ulubioną kapelą, jakkolwiek przynosiła znaczny uszczerbek w jego budżecie. Wypadło atoli, że w ciągu następującej zimy, dwaj metrowie: Benda i Marchand zażądali uwolnienia od obowiązków. Pierwszy, w skutku śmierci ojca swego, kapelmistrza króla pruskiego, wezwany został na jego miejsce do Berlina; drugi otrzymawszy korzystniejsze warunki, udał się na dwór hetmana Ogińskiego. Tak więc z rzędu utalentowanych muzyków został jeden tylko

Baur i objął dyрекcyę nad kapelą, złożoną jak wiemy z wykształconych przez Bendę grajków. Wciągu następującej zimy, nie popisował się starosta z muzyką, nie dawał proszonych wieczorów ani obiadów dla sąsiadów, gdyż częste czynił wycieczki do Warszawy. Dom księżny Sanguszkowej był celem jego podróży; unikał atoli starosta ściągnięcia uwagi i podejrzenia, jakoby jeździł w myśli starania się o rękę jednej z wnuczek księżnej. Nie przesiadywał długo w Warszawie i zawsze wstępował do Guzowa, do domu matki; tym bowiem sposobem wpływał na złagodzenie drażliwego stosunku pomiędzy domami Ogińskich i ks. Sanguszkowej.

V.

Wyjazd Starosty do Wrocławia. Rewija wojsk pomiędzy Wrocławiem i Swidnicą. Fryderyk Wielki i rozmowa jego z ks. Kazimierzem Nestorem Sapiehą. Śniadanie u starosty. Następca tronu pruskiego, Margrabia Lafayette i Lord Cornwallis. Opowiadanie Cornwallisa. Powrót do Szczytnik i wyjazd do Poddębic. Zabawy urządzone tamże z okazji przyjazdu ks. Czartoryskiej Stolnikowej. Propozycja ożenienia. Oświadczenie. Pośrednictwo Króla. Ożenienie.

Ks. Sanguszkowa przepędzała naprzemian jedno lato w Szymanowie, drugie w Poddębicach, Starosta więc wybierał się znów do Poddębic. Gdy atoli przedłużał się pobyt księżnej w Warszawie, postanowił uczynić wycieczkę za granicę, wskutku rozgłoszonej wieści o wielkiej rewii wojsk pruskich, mającej się odprawić pod okiem Fryderyka W-go. Wziął Łubieński za towarzysza podróży brata swego ciotecznego, młodego Radolińskiego, i wyruszył do Wrocławia. Tu dowiedział się, że w istocie król odprawi rewiję 40000 wojska, pomiędzy Wrocławiem i Swidnicą; ostrzeżono go atoli, że nie znajdzie tam już mieszkania, z powodu nader licznego zjazdu krajowców i znakomitych cudzoziemców. Wiadomość ta

zaostrzyła ciekawość starosty. Zakupił w mieście pasztety, i z znacznym zapasem różnych wiktuałów puścił się w dalszą podróż.

Nocleg wypadł w domu pocztowym w odległości jednej mili od obozu. W niepewności znalezienia odpowiedniego pomieszczenia, pozostawił tu własne konie; zatem o godzinie czwartej rano wyruszył pocztą i stanął przed piątą w obozie. Błąkali się nasi podróżni wysiadłszy z bryczki, nie wiedząc w którą im wypada zwrócić się stronę, gdy szczęśliwym trafem spotkał starosta znajomego żyda handlarza, od którego niegdyś kupił konie. Żydek niezapominający nigdy rysow i powierzchowności osób, z którymi dobry zrobił interes, poznał natychmiast starostę, powitał uprzejmie i zapytał, gdzie stanął. Dowiedziawszy się, że podróżni pozostawili konie na poczcie, rzekł: W tej właśnie chwili trafia się do wynajęcia mieszkanie, w pobliżu domu, w którym król ma kwaterę, idźcie tam prędko panowie, aby was kto nie uprzedził. Następnie opowiedział im w drodze, że w tym domu stanął gubernator Wrocławia, pragnąc być najbliżej osoby króla. Tymczasem gdy w dniu wczorajszym powracał król z obozu, zapytał gubernatora, co to się znaczy, że nie widział jego namiotu? Zmieszkał się tenże, zatem rozkazał rozbić dla siebie namiot i wyniósł się czempredzej z zajmowanego dotąd mieszkania. To opowiedziawszy,

wysunął się naprzód żydek i pobiegł do wskazanego domu. Zastali tam podróżni wynajęte już dla nich pokoje z obiadem i kawą. Podziękowali serdecznie usłużnemu żydkowi i rozgościli się wygodnie w znalezionem tak szczęśliwie lokalu. Niebawem posłał starosta do pocztowego domu, aby mu przyprowadzono wierzchowe konie.

Niedługo odpoczywali podróżni, wiedzeni ciekawością; w tymże dniu przypatrywali się manewrom wojskowym. Starosta spotkał w tłumie widzów kilku znajomych dobrze polaków: ks. Kazimierza Nestora Sapiełę, Brzostowskiego starostę Puńskiego i Grabowskiego starostę Wołkowyskiego. Pierwszy w młodzieńczych jeszcze latach, znany już powszechnie jako zdolny generał artylerji, był jedną z najwięcej zajmujących osobistości swego czasu. Otrzymaawszy w domu salonowe powierzchowne wychowanie, wysłany dla dokończenia edukacyi za granicę, uczuł potrzebę gruntowniejszego wykształcenia; więc z największym zapalem oddał się mozolnym studjom. W listach pisanych do matki (1773—1776), nacechowanych głębokiem przywiązaniem synowskiem, zdawał jej sprawę z wrażeń i zatrudnień codziennych. Słuchał wykładu nauk matematycznych, przyrodniczych, prawnych i literatury. Wczasy pobytu na wyspie Malcie oddał się z najżywszem zamiłowaniem nauce

artyleryi; po powrocie do kraju kształcił się w tej sztuce przy generale Brühlu. Nietylko więc stosunkom rodzinnym, ale nauce i własnej pracy zawdzięczał Sapiaha otrzymany w tak młodych latach stopień generała artyleryi. Rad był starosta ze spotkania ze znajomymi. Ułożyli się, że w dniu jutrzejszym wyruszą razem za królem dla przypatrzenia się rewii. Nazajutrz w rannej porze zgromadzili się znajomi polacy w mieszkaniu starosty. Zameldowali się gubernatorowi, że pragną pojechać za królem. Pozwolono, lecz spisano ich nazwiska.

Fryderyk Wielki w wojennym rynsztunku, z ołowianemi blachami na opuchniętych nogach, nie mógł o własnej sile dosiąść konia. Wsadzono go wprawdzie nie bez trudu, ale gdy dosiadł konia, jechał wyprostowany, jakby miał lat ośmnaście.

Starosta Nakielski i inni polacy znajdowali się w pobliżu królewskiego orszaku, mogli więc przypatrzeć się dokładnie wszystkim obrotom. Następca tronu pruskiego, książę Fryderyk Wilhelm, spotkawszy starostę, przypomniał sobie, że tenże przedstawiał mu się w Berlinie, przywitał go i zapytał, gdzie mieszka. Dowiedziawszy się, że w pobliżu kwatery królewskiej, książę rzekł: To dobrze, wpadnę do ciebie na śniadanie. Podziękował starosta i oświadczył, że oczekiwać będzie jego przybycia; gdy zaś

oddalił się książę, posłał czempredzej masztalera z rozkazem do kamerdynera, aby przygotował się na przyjęcie gości, którzy przyjadą po rewii na śniadanie. W tymże czasie zauważył król młodego polaka w mundurze generalskim, zwrócił się do gubernatora Wrocławia i zapytał o jego nazwisko. „Książę Sapieha, generał artylerji“ odpowiedział gubernator. Król żądał aby mu przedstawiono młodzieńca. Skoro zbliżył się Sapieha, Fryderyk Wielki rzekł: *Comment, a votre age, vous êtes deja General d'Artillerie?—Oui Sire.—Et que serez vous a trente ans?—Sire, peut-etre votre égal.*—Uśmiechnął się król zadowolony widocznie z tej odpowiedzi i rzekł: *Vous viendrez diner avec moi.*—Sapieha uklonił się i oddalił na stronę, król zaś rzekł do swych generałów: Pomówcie z nim i zobaczcie co on też umie?

Egzamen wypadł z korzyścią dla Sapiehy. Starzy generałowie, wskutku polecenia króla, rozmawiali wiele z młodym generałem artylerji, poczem chlubnie dali świadectwo o jego gruntownej znajomości sztuki wojskowej. Starosta po zakończeniu manewrów udał się do swego mieszkania. Znalazł zastawione na stole szynki ozory, pasztety i inne specyały, które przywieziono z Wrocławia.

Upłynął za ledwie kwadrans po powrocie starosty, gdy wszedł następca tronu pruskiego

w orszaku kilku generałów. Przedstawiał ich po kolei gospodarzowi, którego zwrócili uwagę przed inuemi dwaj znakomici cudzoziemcy, wsławieni w wojnie amerykańskiej.

Jeden z nich, potomek arystokratycznej rodziny francuzkiej, ulubieniec wersalskiego dworu, zasłynął jako najdzielniejszy sprzymierzeniec amerykańców w walce o niepodległość. Porzucił on w młodzieńczych latach ukochaną świeżo poślubioną żonę, naraził się na utratę stanowiska i majątku, występując na pole walki bez upoważnienia i zezwolenia władzy. Dwudziestoletni margrabia Lafayette był wtedy odgłosem opinii publicznej Francyi, która domagała się pośpiesznego działania w obec wahającej się postawy rządu. W lat parę wyrósł młodzian na bohatera. Kiedy powrócił z Ameryki do Francyi powierzono mu wysokie stanowisko w przygotowanej wyprawie (1779 r.). Po latach dwóch walki, imie młodego bohatera zajaśniało niespożytą sławą, w skutku wzięcia do niewoli głównej armii angielskiej, dowodzonej przez Coruwallisa, przy oblężeniu miasta Yorktown.

Drugim znakomitym gościem był właśnie ów nieszczęśliwy dowódzca, lord Tomasz Cornwallis, jeden z najzdolniejszych generałów angielskich, któremu, w skutku tej klęski, odebrano naczelne dowództwo i odwołano do kraju.

Pomienieni generałowie z dwóch przeciwnych obozów, spotkali się po raz pierwszy po owej wojnie, podczas rewii wojsk Fryderyka W. pod Wrocławiem. Generał angielski, liczący przeszło 40 lat wieku, był dobrej tuszy, rumiany i wesoły. Młody republikanin Lafayette o twarzy ściągłej i chudej, zdał się być smutny i zamyślony.

Gdy zasiedli goście około stołu, widok pasztetów i obfitej zastawy dobre sprawił na nich wrażenie. Następca tronu rzekł do starosty: „Nie spodziewałem się tak wysmienitego śniadania w obozie; tem gorzej dla waćpana, bo codziennie odwiedzać go będę.“

Lord Cornwallis, siedzący obok Lafayette'a, zabrał pierwszy głos po księciu i zwracając się do starosty rzekł: „Lubię Polaków, chociaż powinienbym mieć żal do Kościuszki, który mnie wziął z wojskiem w niewolę, gdy czterykroć więcej od niego miałem żołnierzy pod komendą. Był to nadzwyczajny, nieprzewidziany i bolesny dla mnie wypadek ¹⁾.“

To powiedziawszy zatrzymał się na chwilę; poczem przystąpił do opisu miejscowości, gdzie stało jego wojsko oraz nieprzyjacielskie pod

¹⁾ Niniejsze opowiadanie Cornwallisa o Kościuszcze podajemy wiernie podług pamiętnika Feliksa hr. Łubińskiego, bez żadnych z naszej strony komentarzy.
(Przyd. aut.)

dowództwem Lafayette'a. W celu dokładniejszego przedstawienia rzeczy, przestawiał butelki na stole, poczem tak dalej opowiadał: „Wiedząc że Lafayette stoi w odległości mil (angielskich) czternastu, sądziłem, że bez przeszkody przejdę wąwóz i wybiorę najdogodniejsze pole do stoczenia bitwy. Nazajutrz więc równo ze świtem wszedłem do wąwozu. Cisza zalegała wszędzie i w zupełnem zaufaniu zbliżaliśmy się do kresu czyli do wyjścia z wąwozu, kiedy ujrzeliśmy ze wszech stron wierzchołki gór najeżone karabinami. Chciałem się cofnąć, ale równie z tyłu jak z przodu rżęście dawano ognia. Spostrzegłem że jesteśmy jak mysz w łapce; nie można było bowiem myśleć o wdrapaniu się na góry, w obec spadającego gradu wystrzałów. Sądząc że otoczony jestem przez całą armię Lafayette'a, nie chciałem narażać wojska na nieochybną zgubę i postanowiłem kapitulować.

Przyjechał do mnie oficer, oświadczył, że odniesione zwycięstwo przypisuje szczęśliwemu trafowi i nie czynił żadnych trudności przy spisaniu warunków kapitulacyi, zgadzając się na wypuszczenie wojska mojego na wolność. Rozkazałem wszystkim żołnierzom złożyć broń. Układ nasz zawiózł oficer do potwierdzenia swemu generałowi. Wrócił wkrótce: ale ogromne było moje zdziwienie, kiedy ujrzałem podpis Kościuszki. Przekonałem się, że miałem do czynienia nie z główną armią, lecz z małym

oddziałem. Kościuszko przesłał natychmiast raport Lafayettowi, sam zaś wyjechał na moje spotkanie. Miło mi było poznać walecznego polaka. Podarty jego mundur świadczył o trudach wyprawy. Widok kilkuset żołnierzy z jego kommandy, w jak najędzniejszej odzieży, dotknął mnie boleśnie. Nie mogłem utaić wzruszenia i rzekłem do Kościuszki z westchnieniem: „Z takim to wojskiem generale zmusiłeś mnie do kapitulowania?“ Kościuszko odpowiedział: „Powierzchowność nic nie znaczy. Szczęję się z walecznych moich towarzyszy broni. Wczoraj mieliśmy nieuszkodzone mundury. Prowadzono nas noc całą gęstemi krzakami, aby ubiedz nad ranem wasze wojsko i wąwóz obsadzić. Wprzeprawie tak trudnej, nie można było myśleć o zachowaniu w całości mundurów. Żołnierze moi są równie karni i wstrzemięźliwi jak waleczni. Tu widzisz blisko połowę naszych, reszta znajduje się u wąwozu przy waszych bagażach. Jesteśmy znużeni nocnym przyspieszonym marszem i głodem, ale przekonać się możesz generale, że żołnierze moi amerykańskie nie naruszyli wcale waszych zapasów. Ciągnie za mną wojsko generała Lafayette'a. Przesłałem mu warunki kapitulacji i oczekuję jego rozkazów.“

Powtórzywszy pomienione słowa Kościuszki, generał Cornwallis dodał: „Podobała mi się powierzchowność i otwartość Kościuszki. Pra-

wość jego charakteru głęboki budzi szacunek. Przekonałem się wkrótce, że ogłodzeni jego żołnierze nie dotknęli się naszych bagaży. Przybył generał Lafayette i potwierdził naszą umowę. Ułatwiono wojsku mojemu wolne przejście do okrętów. Inne zresztą okoliczności dokładnie wszystkim są znane.“

Cornwallis zwracał się często w ciągu opowiadania do siedzącego obok Lafayetteta, który potwierdzał skinieniem głowy wiarogodność tegoż, co było z wielką pociechą starosty i innych polaków. Następcą tronu słuchał opowieści angielskiego generała z najżywszem zajęciem. Gawęda przeciągnęłaby się długo po śniadaniu, albowiem w najlepszym usposobieniu byli goście, gdy ukazał się adjutant królewski i oznajmił księciu następcy tronu, że król na niego oczekuje.

Powstał natychmiast książę Fryderyk Wilhelm od stołu i żegnając starostę, rzekł: *Eh bien, á demain, nous viendrons dejeuner chez vous.*

Gospodarz podziękował ukłonem i odprowadził dostojnego gościa.

Mieszkając przez cały ciąg rewii w obozie, podejmował starosta cztery razy pomienionych gości. Następcą tronu zostawszy królem pruskim, nie zapomniał o owych śniadaniach i gościnem przyjęciu, zatem okazywał dawnemu znajomemu dowody swej życzliwości.

Kiedy powrócił Łubieński do Szczytnik, zastał już wiadomość o przyjeździe ks. Sanguszkowej do Poddębic. Zapraszała go księżna, aby przyjechał i dopomógł do przyjęcia i rozweselenia gości. Spodziewano się tam między innymi ks. Czartoryskiej z Jabłonowskich, Stolnikowej. Ks. Sanguszkowa pragnęła gorąco uprzyjemnić ukochanej wnuczce pobyt w jej domu.

Starosta wysłał najprzód Baura z kapelą, następnie zajął się przygotowaniem fajerwerków, naładował nimi ogromną furę i stawił się sam w Poddębicach.

Fajerwerki były jedną z najulubieńszych zabaw na dworach naszych panów. Za panowania Zygmunta III słynął z niepospolitego talentu przyrządzania fajerwerków, inżynier i artylerzysta Andrzej Dell Aqua, który napisał nawet obszerny traktat o różnych sposobach przygotowania i puszczania sztucznych ogni. Był on ulubieńcem Zamojskich, Sieniawskich i Zbaraskich, którym budował zamki i fortece, w czasie zaś uczt zabawiał gości najwymyślniejszymi fajerwerkami. Przedstawiano wtedy między innymi ludzi uzbrojonych w ogniście pociski, za pomocą przymocowanych rakiet do nóg, do rąk i do głowy, dyabłów lub smoków zionących płomieniem i t. p. W XVII. wieku popisywano się również często z sztucznymi ogniami. W dzień imienin Króla Augu-

sta III 1762 r. przedstawiano między innymi w transparenecie Minerwę, siedzącą na tronie. Jowisz podawał jej piorun do rąk, gdy z rozwartej u stóp jej przepaści piekielne furye zionęły ogniem.

Przyjechał Starosta do Poddębic już z ułożonym programem rozrywek. Uprzejma prośba gospodyni, chęć usłużenia jej, oraz przypodobania się wnuczkom księżnej, mianowicie pannie Tekli, była bodźcem dla starosty do energicznego rozwinięcia działalności. Zanim przyjechała ks. Stolnikowa, przygotował i postrajał łodzie przeznaczone do pływania po rzece Nurze. Upatrzawszy nad brzegami rzeki świeżo skoszoną i równą łąkę, powziął myśl urządzenia na niej szlichtady oraz innych zabaw, które następować miały z kolei, dzień po dniu, przez cały czas pobytu gości. Każda z tych zabaw miała być niespodzianką, był to bowiem powszechny, najmodniejszy wówczas zwyczaj.

Niespodzianki były w owych czasach nieodzownym warunkiem dobrej zabawy. Urządzano je na dworach magnatów i uboższej szlachty, na większą lub mniejszą skalę, stosownie do możliwości gospodarzy; ale uprzyjemnienie rozrywek, zależało w wielu względach od dowcipu czyli wyłącznego talentu osoby, zajmującej się przygotowaniem zabaw.

Wczasy bytności ks. Stolnikowej w Poddębicach wywiązał się starosta z swego za-

dania z ogólnem zadowoleniem domowników i gości. Illuminacye i fajerwerki w ogrodzie, szlichtada i wiejskie tańce na łące, gonitwy do celu, nakoniec żywe obrazy, uprzyjemniały naprzemian dwutygodniowy pobyt ks. Stolnikowej. Codziennie urządzał starosta nowe przedstawienie, lub nową jakąś niespodziankę. Ks. Sanguszkowa podziwiała jego zręczność i uprzejmość i niejednokrotnie wyrażała mu swą wdzięczność. Nazajutrz po wyjeździe wnuczki, w pokoju, który był lożą do zamkowej kaplicy, po wysłuchaniu Mszy Św. księżna pozostawszy sam na sam z Łubieńskim, rzekła:

— Cóż mój starosto, nie chciałeś być biskupem, masz już lat dwadzieścia cztery, nie myślisz się to żenić?

— Chybabym żonkę z rąk waszej księżnej mości dostał, inaczej mi to przez myśl nie przeszło.

Księżna uśmiechnęła się uprzejmie i po chwili namysłu rzekła:

— A o której myślisz?

— O pannie Tekli,... odpowiedział natychmiast starosta.

— Jakto, co mówisz?

— „O pannie Tekli,” powtórzył stanowczym głosem.

— Ale jakie też masz oczy, przecież Basia, nawet Marysia są piękniejsze... — Mówiła księżna z uśmiechem i badawczo spoglądała na młodzieńca.

— Pytałaś mi się mością księżno, którąbym sobie za żonkę wybrał, otóż wyznałem z całą szczerością wdzięcznego serca. Wiem, że tamte może są piękniejsze, wszystkie trzy zarówno dobre, ale na żonkę przełożyłbym zawsze pannę Teklę.

— Ależ ona najmłodsza z sióstr, dopiero kończy lat piętnaście.

— Poczekam do woli waszej ks. mości.

— Nie wiem co na to powie ojciec Teklusi, pan starosta Czerski?

— Mało go znam, chociaż bywałem w jego domu za życia nieboszczki żony. Zajęty był zawsze i niepokazywał się prawie nigdy na pokojach pani starościny. Ale jeżeli wasza ks. mość i panna Tekla zezwolą, to nasadzę Króla na pana starostę.

— Masz moje zezwolenie starosto. Rozmówię się z Teklą, chociaż wprawdzie śmiesznem mi się wydaje, że mam mówić o zamęźciu z takim dzieckiem. Jutro dowiesz się o jej odpowiedzi, skoro po Mszy św. przyjdiesz do mojej łoży.

Na tem zakończyła się rozmowa tak pełna znaczenia i nadziei w życiu starosty. Przedmiot jej wypadł dla niego tak niespodziewanie, że nie miał czasu na rozważanie, o ile nadzieje jego są uzasadnione i czy nie dozna zawodu lub rozczarowania, wskutku tak prędkiego oświadczenia.

Podczas obiadu nie dostrzegł żadnej zmiany

w zachowaniu się swej bohdanki. Dopiero wieczorem przekonał się, że rozmowa jego z księżną nie jest już tajemnicą dla panny Tekli. Pierwszy bowiem raz zdała się być pomieszaną, odpowiadała i spoglądała nieśmiało, chociaż nie unikała towarzystwa starosty, co było pomyslną dla niego wróżbą.

Nazajutrz po Mszy św. wezwała go księżna do łoży i zapytała:

— Cóż, nie rozmyśliłeś się starosto, nie odmieniłeś oświadczonej mi w dniu wczorajszym intencji?

— Owszem mościa księżno, nie zmieniło się w niczem i nie zmieni stałe moje w tej mierze postanowienie.

— Jeśli tak, przyznaję się, że starałam się wybadać to dziecko.

— Domyslałem się, bo wczorajszego wieczora niechętnie i nie tak poufale jak dawniej panna Tekla zabawiała się zemną.

— Otóż przekonałam się, że jest dla ciebie przychylną, ale odwołuje się we wszystkim do mnie i do swego ojca. Powiedziałam, że co do mnie, przychyłam się i błogosławię w zastępstwie niezującej matki, oraz że napiszę z instancją do ojca.

Starosta upadł do nóg księżnie, poczem zapytał, czy może pomówić z panną, zanim wyjedzie do Warszawy w celu przedstawienia się jej ojcu.

— Możesz, nawet powinienes sam rozmówić się z panną. Ułożę wszystko tego jeszcze poranku, gdy przyjdzie z guwernantką do mego sypialnego pokoju, przed kawą. Upatrzyisz tę chwilę starosto i zgłosisz się do mnie, poczem wyjdiesz za niemi do drugiego pokoju; kiedy zaś guwernantka oddali się do drzwi, rozmówisz się z panienką.

Zastosował się ściśle starosta do otrzymanej instrukcyi i przy wyjściu z sypialnego pokoju księżnej, oświadczył się zapłonionej i pomięszanej dziewczycy. Nie zatrzymywał jej długo uszczęśliwiony młodzian, albowiem w spłoszonym wejrzeniu i pomięszaniu, odbijajacem się w jej obliczu, wyczytał dowód wzajemności.

Pewien zezwolenia panny, postanowił starosta udać się niezwłocznie do jej ojca; jednocześnie miał wstąpić do domu swej matki z prośbą o zezwolenie i błogosławieństwo. Tegoż wieczora oświadczył swój zamiar księżnie, składając zarazem najserdeczniejsze podziękowanie przy pożegnaniu. Nazajutrz otrzymał listy, jeden od księżnej do starosty Czerskiego, drugi od panny Tekli do ojca i wyruszył w podróż, zmierzając najprzód do Guzowa.

Matka przyjęła z rozrzewnieniem wiadomość o postanowieniu syna. Ucieszona widokiem jego przyszłego szczęścia zapomniała o niesnaskach, które, jak wspomnieliśmy wyżej, wynikły wskutku interesów majątkowych, różniących jej męża

z ks. Sanguszkową. Starosta zastał samą tylko matkę w domu, mógł więc, korzystając z nieobecności ojczyma, rozmówić się z nią swobodnie w sprawie upragnionego ożenienia. Rozczulona matka przyrzekła, że pojedzie niebawem do Poddębic, w celu uroczystego poparcia oświadczeń syna i podziękowania księżnej.

Wyruszył wkrótce Łubieński z Guzowa do Warszawy, gdzie miał ostatnie do przełamania lody, na drodze prowadzącej do celu życzeń. Ojciec panny, Franciszek Bieliński starosta Czerski, trzymał się w wielu względach staroswieckich zwyczajów, przyczem słynął z oryginalnych fantazyj w stosunkach domowych i towarzyskich. Wiedział o tem starosta Nakielski; jako więc roztropny i przezorny konkurent, nie dowierzał do końca swemu szczęściu i nie chciał stawiać na kartę, nie wyczerpawszy pierwiej wszelkich środków, które mu miały zapewnić wygraną. Owóż zanim przedstawił się ojcu panny, udał się do Króla z prośbą o poparcie jego sprawy.

Przyjął uprzejmie Król Łubieńskiego, wysłuchał go i rzekł:

— Dobrze, natychmiast poszlę po starostę, oświadczę się w twojem imieniu, powiem, że jestem twym opiekunem, oraz że pomiędzy mną i nim zachodzi jakieś powinowactwo; spodziewam się, że pochlebię mu tem i dopomogę do załatwienia interesu. Ala pamiętaj, przedstaw się sam staroście jutro około południa.

Stosownie do zlecenia króla, zameldował się Łubieński w mieszkaniu Franciszka Bielińskiego o godzinie oznaczonej. Usposobiony wybornie, wskutku pośrednictwa królewskiego, przyjął Starosta Czerski przyszłego zięcia z otwartymi rękami i pytał, jak myśli długo zabawić w Warszawie; poczem oznajmił, że odpisze księżnie i córce na listy i takowe mu doręczy

Uszczęśliwiony tak pomyslnem rozwiązaniem sprawy w ostatniej instancyi, objechał w tymże dniu starosta Nakielski wszystkie znajome domy w Warszawie. Przygotowywano się wtedy właśnie do mającego wkrótce rozpocząć się sejm 1782 r. Przyjaciele i znajomi namawiali go aby przyjął urząd poselski, ale nie dał żadną miarą nakłonić się, postanowiwszy nie brać w tym czasie czynnego udziału w publicznych sprawach.

Dzień powrotu starosty do Poddębic był dniem powszechnego wesela.

Zastał już tam matkę, która według staroświeckiego zwyczaju, przyjechała dwornie z oświadczeniem i bawiła dni kilka, podejmowana z wielką uprzejmością przez księżnę. Po przeczytaniu listów starosty Czerskiego, księżna Sauguszkowa i pani Ogińska pobłogosławiły młodej parze, której odtąd składali życzenia wszyscy, jako narzeczonym, z wyjątkiem jednej tylko kapryśnej guwernantki, panny Gietulewicz, niezadowolonej stąd, że bez jej pośrednictwa i prawie bez jej wiedzy, zawiązało się i ułożyło małżeństwo jej uczennicy.

Zgodnie z życzeniem księżnej ślub miał odbyć się w Szymanowie, dokąd wkrótce z całym przeniesiono się dworem. Już wyznaczono nawet dzień ślubu, gdy w skutku nagłej słabości narzeczonego, musiano odłożyć termin do kilku tygodni. Tymczasem zbliżył się czas otwarcia sejmu. Ks. Sanguszkowa troskliwa o bieg spraw publicznych, nie opuszczała nigdy żadnego sejmu; pośpieszyła zatem z rodziną i całym dworem do Warszawy. Tamże więc, w pałacu jej, w kaplicy, stanęła młoda para u ołtarza, w przytomności biskupów Szembeka i Okęckiego i w orszaku najbliższych członków rodziny.

W trzy dni po ślubie wyprawiła księżna suhte wesele, na ktorem znajdowało się przeszło dwieście osób. Król rozpoczynał bal z panią Starościną Nakielską.

W parę tygodni później, młodziuchna mężatka opierając się na rękę uszczęśliwionego małżonka, przebiegała pokoje domu, który przed laty dwoma tak żywo przedstawił się jej we śnie. Rysunek domu w Szczytnikach, nakreślony wtedy przez nią, tak jak w sennej odbił się wyobraźni, natchnął starostę uczuciem, które stało się zadatkiem ich dozgonnej przyjaźni.

CZEŚĆ DRUGA.

I.

Wstęp.—Sejmik województwa sieradzkiego w Szadku.—Feliks Łubieński Starosta Nakielski obrany posłem.—Przyjazd do Warszawy. — Deputacya do Króla. — Działalność Łubieńskiego w epoce czteroletniego sejmu. — Sprawy domowe.—Siostrzenica księdza Albertrandego.—Dalsze przygody w zawodzie publicznym 1790—1792 r.

W opowiadaniu o młodości Feliksa Łubieńskiego czerpaliśmy głównie wątek z pierwszej części pamiętnika, obejmującej przeważnie szczegóły z życia domowego. Młody poseł kaliski z 1778 r. nie brał w następnych sejmach bezpośredniego udziału aż do 1788 r. Odtąd rozszerzają się ramy pamiętnika Starosty Nakielskiego, zatem możemy podać ważniejsze ustępy z jego publicznego zawodu.

Epoka poprzedzająca sejm czteroletni odznacza się niezwyčajnem rozbudzeniem umysłowego ruchu. Myśl o reformie społecznej przejawiająca się coraz częściej w pismach statystów XVIII wieku, ogarnęła w końcu całą oświeceniową warstwę narodu. W rozprawach owoczesnych dotknięto najżywotniejszych kwestyj: podniesienia oświaty i zmiany formy rządu. Najświetlejsi mężowie zgadzali się w myśli o urzą-

dzeniu skarbu, powiększeniu podatków i siły zbrojnej, oraz o zniesieniu nadużyć, wypływających z wolnej elekcyi i ogłoszeniu sukcesyjnego tronu. Odczuwano powszechnie potrzebę podniesienia rolniczej i mieszczańskiej ludności. Los atoli zbioru praw Andrzeja Zajmojskiego, odrzuconych jednomyślnie na sejmie 1780 r., był przestrogą dla statystów, którzy powodowani najzacieńszem uczuciem, ale nie rachując się z czasem i okolicznościami, marzyli o gwałtownem przeprowadzeniu pożądaney reformy. Postanowiono więc ograniczyć się na ostrożnem, postępowem lecz powolnem działaniu.

Na czele umysłowego ruchu w pomienionej epoce stanęli obywatele znani z wysokich zdolności i gorliwości o dobro kraju. Zdało się wszystkim na schyłku 1787 r., że najspodobniejsza nastąpiła pora do przeprowadzenia najważniejszych i najpilniejszych reform w prawodawstwie i administracyi. Król pod naciskiem opinii publicznej zwołał uniwersałem sejmiki, mające poprzedzić sejm według zwyczaju. Najświeślejsi obywatele, zarówno z starszego i młodszego pokolenia, ubiegali się o godność poselską. Hasłem owego postępowego obozu było zawiązanie konfederacyi czyli skonfederowanie sejmujących stanów, w celu zabezpieczenia się przeciwko intrygom stronnictw i zerwaniu sejmu. Dążność ta nie zgadzała się z widokami Króla i jego partyi, która zatem starała się u-

silnie na sejmikach o przeprowadzenie wyborów swych kandydatów.

Wspomnieliśmy wyżej, w opowiadaniu o młodości Starosty Nakielskiego, że Król ofiarował mu krzesło Kasztelanii Sieradzkiej. Nie przyjął Łubieński; jakoż dowiedziano się niebawem, że czyni zabiegi względem mandatu poselskiego w województwie Sieradzkim. Od czasu ostatniego sejmu 1786 r. podejrzywano go u dworu o opozycyjne dążności. Nie był on wprawdzie czynnym członkiem tego sejmu, ale zbierali się często posłowie na narady w jego mieszkaniu. Obawiano się go więc jako wpływowego, zdolnego do kierowania stronnictwem. Przyrzekli Łubieńskiemu poparcie na sejmiku, przyjaciele: Podkomorzy Sieradzki Bleszyński, Chorąży Cielecki i Podsedek Walewski. W celu skuteczniejszego działania, wysłał poufnych swych Lenartowicza i Kijewskiego, aby częstowali szlachtę na odpustach i zapewnili się o jej życzliwości. Panowie ci wywiązali się zrzęcznie z poruczonego im zlecenia, złożyli pożądaną relację o usposobieniu szlachty, ale zarazem donieśli, że Małachowski Kanclerz W. K. wysłał jednocześnie Siemińskiego, Turskiego i Jabłkowskiego, aby utworzyli partycję, w celu przeszkodzenia Łubieńskiemu do otrzymania mandatu.

W oznaczonym czasie, szlachta z województwa sieradzkiego zebrała się tłumnie w staro-

żytnem miasteczku Szadku, gdzie już w XIV wieku odbywały się zjazdy w terminach wieców sądowych. Stawił się też Łubieński jako kandydat do godności poselskiej. O okolicznościach wyborów i o sejmiku tak w pamiętniku swym pisze:

„Żona moja ufna w przywiązanie szlachty, a może też i w obawie, wiedząc jakie knują przeciw mnie spiski, napała się koniecznie być na sejmiku. Musiałem tedy najlepszych rębaczy przy niej postawić, sam zaś po wyniesieniu Najświętszego Sakramentu, udałem się do wielkiego ołtarza i tam stanąłem między Cieleckim i Walewskim. Po zagajeniu i obraniu Marszałka sejmikowego, odczytaniu kandydatów, których znalazło się ośmiu a czterech tylko można było obrać, sejmik zaczynał nabierać postać gotującej się potyczki. Utworzyła się partya Siemińskiego, Turskiego i Jabłkowskiego, do której dezertował odemnie Siemiątkowski, mój i księżnej Sanguszkowej plenipotent; rozumiał w dumie swojej, że faworytem kanclerza a przez to dworu stanie się, rachował, że szlachta mnie opuści a za nim pójdzie. Czapki tedy ich partya zaczęła wkładać. Wiedząc, że to jest poprzedzające hasło porwania się do szabel, wykomenderowałem Sulimierskiego i Lenartowicza, żeby na ręce porwali moją żonę i zanieśli na chór. Nie stracili ani jednej chwili i ledwo ją tam zobaczyłem, gdy już szable przeciw mo-

im wydobyto; ale za ręce połapani, sami zagrożeni zostali od schodzących z chóru. Zabrałem głos usiłując pojednać umysły. Ofiarowałem, iż jeżeli wolą jest obywateli województwa, któremu od tylu lat służę, dla zgody wolę odstąpić od pretensyi poselstwa, niż żebym miał być przyczyną zawichrzenia. Urzędnicy ruszyli się z miejsc swoich, zbliżyli się do Marszałka, perswadując zgodę, jedność; ale żaden z pretendentów gdy ustępować nie chciał, znaleziono niby środek, że zgodzono się na to, aby przystąpić do kreskowania, jakoby już jednogłośnie był obrany za pierwszego posła, atoli niech wszyscy ośmiu pretendentów pójdą do zakrysty i między sobą na siebie kreskują. Przyzwoliłem, a gdy nie tylko ja widziałem ale i strona przeciwna, że siedm ósmych części jest za mną, odezwałem się, że jeżeli wola będzie mnie obrać, to nie odstąpię chorążego Cieleckiego i podśędka Walewskiego. Cały kościół aż zatrzęsł się: zgoda! Poszliśmy dla cercmonii tylko do zakrysty. Naturalnie na mnie wszystkie kreski, a większość na Cieleckiego i Walewskiego; z tamtych pięciu utrzymał się tylko Siemiński. Wróciliśmy do kościoła, oddano kreskowanie Marszałkowi, który z assesorami przejrzał i ogłosił. Vivat, okrzyki zwyczajne, mowy moje i Siemińskiego z podziękowaniem. Obiad u mnie, czyli u mojej żony, dla wszystkich, aby pojednały się zaraz partye przy kielichach. Miałem jedną tyl-

ko przykrość: po obiedzie, po pijanemu, niejaki Czepowski porwał się do szabli na ojca; biegłem rozbroić, gdy szlachta schwyciła mnie jak pióro i na stół postawiła, oraz bijących się rozzerwała. Chcieli syna Czepowskiego rozsiekać, ledwo mogłem obronić go, zamykając w komorze, z której kazałem go drugimi drzwiami wypuścić i wywieźć zaraz do domu. Poszedłem potem do żonki, która była z urzędnikami; tam mi Marszałek wręczył laudum elekcyi i przyrzekł nadesłać instrukcye. Moja żona nazajutrz jeszcze zaprosiła na obiad do Rzepiszowa; z woli albowiem księżnej wziąłem od niej w dzierżawę dobra Lutomirszczyznę, Rzepiszów zaś był niedaleko Szadku, miejsca sejmikowania. Tam były stodoły litewskie, mające na przestrzał w podłóż klepiska. Miała tam moja żona nazajutrz jeszcze dwieście osób, a ja poleciwszy jej wszystko, prosiłem żeby za mną kredens, kuchnię przysłała i sama się wybrała, urządziwszy w domu podług instrukcyi na piśmie.”

Tak więc po otrzymaniu mandatu poselskiego udał się starosta do Warszawy. Odwiedził mieszkającą tamże babkę żony ks. Sanguszkową, poczem pośpieszył z powitaniem do Króla. Doznał nadspodziewanie uprzejmego przyjęcia, ale oświadczył Król, że właśnie przed godziną dowiedział się od Kanclerza o jego wyborze; w końcu rzekł: dziękuję ci, żeś dopuścił przynajmniej Siemińskiego.

Po krótkiej nader audyencji u Króla, powrócił Łubiński do domu. Tymczasem rozbiegła się już wieść po Warszawie, że pomimo zakazu królewskiego obrano Starostę Nakielskiego posłem z województwa Sieradzkiego. Wiadomość ta podniosła go w oczach stronnictwa postępowego, które wówczas tak przeważnie wzięło górę nad innemi, że nawet ludzie odmiennych lub wątpliwych przekonań, oświadczały się dla niego ze współczuciem.

Przybyli najprzód do Warszawy posłowie z Kujaw i Łęczyckiego, później z innych ściągali się województw. Jak na sejmiku sieradzkim, tak prawie wszędzie, utrzymali się przy mandatach ludzie znani z światła lub wyższych zdolności. W instrukcyach doręczanych posłom, wyrażano wszędzie żądanie ustanowienia podatków odpowiednio potrzebom kraju i powiększenia siły zbrojnej.

W miarę przybywających posłów z prowincyi ożywiała się Warszawa niezwyčajnym ruchem. Codziennie odbywały się narady w domach: Stanisława Małachowskiego Referendarza K., Hugona Kołłątaja Referendarza L., Ignacego Potockiego Marszałka i innych. Pomienieni mężowie byli najczynniejszymi członkami partyi tak zwanej patryotycznej. Złączył się z nimi Łubiński poseł Sieradzki. Mieszkanie jego stało się wkrótce ogniskiem, czyli zbiorowym punktem dla przybywających do

Warszawy dygnitarzy i posłów. Odwiedzali go między innymi: Rybiński biskup Kujawski, Marszałek Ignacy Potocki, Hetman Branicki, Szczęsny Potocki, Walewski Wojewoda Sieradzki, ks. Józef Czartoryski, ks. Stanisław Jabłonowski. Trzej ostatni byli jego krewnymi. Walewski winien mu był wdzięczność za wyświadczoną przysługę w nader krytycznym zdarzeniu: kiedy odbywał uroczystość wjazdu na województwo, niechętni rzucili się do szabel i zagrozili rozsiekaniem, gdy Łubieński zasłonił go własnymi piersiami i szablą.

W gronie młodych ludzi, którzy po raz pierwszy wystąpili na widownię publiczną, znajdował się Tadeusz Czacki, polecony listownie Łubieńskiemu, przez ciotkę jego żony panią Strażnikową Czackę. Zamiłowany w naukach młodzian przebywał często w domu Starosty, znalazł bowiem wiele u niego książek, mianowicie w przedmiocie prawa i administracyi, czerpał w nich wtedy podstawę do dalszych naukowych badań. Zgromadzali się też u Łubieńskiego znani z światła i wymowy członkowie sejmu: Stan. Małachowski poseł z Sandomierskiego, Działyński z Poznańskiego, Michał Brzostowski z Trockiego, Rzewuski z Podolskiego, Wejssenhof z Inflant, Grabowski, Matuszewicz i inni. Tadeusz Czacki przedstawił Łubieńskiemu młodego posła Jana Krasieńskiego Starostę Opinogórskiego, odznaczającego się

niepospolitemi zdolnościami i świetną wymową. Odwiedzali go niekiedy lecz nieśmiało i na krótko członkowie przeciwnego obozu: Mikorscy, Roźniecki i inni.

Skoro zbliżał się termin otwarcia sejmku, według dawnego zwyczaju zgromadzano się na narady prowincjami w refektarzach klasztor-nych. Najczynniejsi atoli członkowie zebra-wszy się w mieszkaniu Łubieńskiego, uprosili go, aby spisywał protokół obrad nad projektem skonfederowania sejmujących stanów. Wtedy to uchwalili jednomyślnie, że w celu przeprowadzenia najważniejszych projektów większo-ścią głosów, wypada koniecznie przystąpić do konfederacyi, następnie redakcyę aktu powie-rzono Łubieńskiemu. Wymawiał się od tej czynności, atoli uległ w końcu powszechnemu żądaniu i zabrał się do opracowania aktu. Po odczytaniu i jednomyślnem przyjęciu tegoż, o-brano Marszałków sejmku: Stanisława Mała-chowskiego i Kazimierza Sapiehę. Odtąd obra-dy nad rozmaitemi projektami odbywały się codziennie w kilku domach, mianowicie: w po-niedziałki u Ignacego Potockiego, we wtorki u Walewskiego wojewody sieradzkiego, w śro-dy u ks. Stolnika Czartoryskiego, w czwartki u Stanisława Małachowskiego, w piątki u ks. Czartoryskiej G. Z. P., w soboty u Rybińskiego Biskupa kujawskiego. Po uchwaleniu i podpi-saniu aktu konfederacyi, przystąpiono do wy-

boju delegacyi do Króla. Wybór padł na Łubieńskiego i Rzewuskiego pisarza pol. kor. Pierwszy podjął się drażliwej missyi doręczenia aktu Królowi, atoli z wielką przykrością; wiedział bowiem, że wystawi się na niechęć monarchy, od którego odbierał dowody przychylności od lat młodocianych.

Akt konfederacyi, w chwili przedstawienia Królowi, opatrzony był przeszło stu podpisami. Nie chciał Król z razu przyjąć delegowanych jako wybranych nieprawnie przed rozpoczęciem sejmu. Łubieński prosił o posłuchanie prywatne. Przyjął ich Król, ale zaledwie poseł Sieradzki przemówił słów kilka, przerwał mu i zawołał: Wiem że zbieracie się pokątnie i coś knujecie! Nie zmięszał się tem Łubieński i pomimo kilkakrotnych oznak oburzenia ze strony Króla, wyłuszczył spokojnie w długiej mowie cel zebrań i żądanie posłów, poczem doręczył akt konfederacyi. Rozgniewany najmocniej Stanisław August, chciał zrazu rzucić na stół podany mu dokument; atoli po chwili namysłu przeglądał uważnie, lecz nie mógł utaić zdziwienia, że znajduje na akcie podpisy osób, które do własnego zaliczał obozu. W zakończeniu posłuchania oświadczył Król, że niniejszy dokument uważa tylko jako projekt przedstawiony mu poufnie; zaleca zatem delegowanym, aby wrócili do swoich i przełożyli w jego imieniu: niech zastanowią się nad skutkami konfederacyi,

przyzwawszy na pamięć przykłady z dziejów. W dniu następnym, jako w wigilię otwarcia sejmu, mieli stawić się delegowani na wezwanie Króla.

Druga audyencya równie jak pierwsza była bezowocną. Skoro stanął Łubieński przed Królem, tenże wymawiał mu, że w domu jego zbierają się członkowie opozycyi na narady i dodał:
— Wszystko nadaremnie, projektsię nie uda, ani można podobnego aktu konfederacyi przyjąć.

Kiedy w końcu długiej przemowy zawezwał poseł sieradzki Króla aby przystąpił do konfederacyi, otrzymał odpowiedź odmowną.

Nadszedł dzień otwarcia sejmu. Cała izba poselska za wyjątkiem zaledwie piątej części była skonfederowana. Stawił się Łubieński rano na wezwanie Króla. Na zapytanie co zamierzają dalej czynić, odpowiedział, że skonfederowanie izby jest faktem spełnionym; upraszał zatem Króla, aby stanął na czele i nie odzierał się od reprezentantów narodu w tak ważnej chwili. Stanisław August na to: „Niechże się dzieje co chce, ja zezwolić nie mogę.” Łubieński udał się do izby poselskiej, Król do senatu. Uchwalono, aby delegowani powtórnie zanieśli prośbę o przystąpienie monarchy wraz z senatem do konfederacyi i o połączenie się z izbą poselską. Udał się więc niebawem Łubieński do senatu i przełożył pomienioną prośbę. Król przerwał z gniewem i zapytał:

— Czyż cała izba poselska przełożyła konfederacyą nad sejm walny?— Następnie dodał:— Nie może być, ażeby wszyscy tego samego co wepanowie byli zdania, a ja łączę się z tymi, którzy są za walnym sejmem.

Na to poseł odrzekł:

— Kilkunastu za ledwie posłów nie przystąpiło do konfederacyi, jak przekonywają podpisy na akcie.— Poczem dołączył Królowi dokument mówiąc: — „Widzisz Najjaśniejszy Panie podpisy, które świadczą jak małej części sejmujących branknie. Nie śmielibyśmy stanąć przed W. Kr. Mścią jako delegowani, gdybyśmy przez całą prawie izbę nie byli do tego wezwani.

Król przeglądał podpisy i zniecierpliwiony rzekł:

— Cóż to, nawet infantscy posłowie są z wami?.. Chociaż mówicie, że tak mało pomiędzy wami posłów, którzy przy prawie i wolności obstają i nie chcą łączyć się węzłem konfederacyi, ale chcą walnego sejmu, ja z nimi trzymać będę i nie przyjmę aktu tego sejmu, zwłaszcza z sekretnymi kreskami!—To powiedziawszy, skinął ręką, jakby dając znać, aby oddalili się.

Wtedy Łubieński rzekł:

— Z żalem tedy odchodzimy od tronu Waszej Królewskiej Mści. Wrócę do izby skonfederowanej i opowiem wiernie, że W. Kr. Mść nie chcesz łączyć się z nami. Izba sama będzie zmuszona rozpocząć działania i cały naród wezwie do skonfederowania.

Tak rzecz swą zakończywszy, uklonili się i zabierali się do wyjścia posłowie, gdy Król pochwycił za rękę Łubieńskiego i z rozrzewnieniem rzekł:

— Że ja też nigdy od narodu zrozumiany być nie mogę. Nie mówię, że nie chcę być z wami, ale wymażcież te sekretne kreski!

— Nie możemy tego uczynić, jakoż głosowanie sekretne jest jednym z najważniejszych punktów.

Tu odwołał się Łubieński do tłumaczenia przedstawionego przy pierwszej audyencji. Kreskowanie sekretne położono jako konieczny warunek, z uwagi, że niektórzy deputowani, posiadający obszerne majątki pod obcym panowaniem, w razie jawnego głosowania, nie mieliby zupełnej swobody objawienia swego zdania.

Kiedy delegowani uklonili się i zabierali powtórnie do odejścia, król ich zatrzymał i rzekł:

— Niechże i tak będzie, zamawiam sobie rozmówienie się z marszałkami.

— Wasza Królewska Mość raczysz ich wezwać łaskawie?

— Wezwę podług zwyczaju izbę.

Tak zakończył się ów przedsejmowy dramat. Król przyciśnięty żądaniem znakomitej większości reprezentantów narodu, przystąpił do konfederacyi.

Nie będziemy powtarzać znanych z kąd inąd szczegółów obrad sejmowych. Nie napotyka-

my w pamiętniku Łubieńskiego nowych lub rzucających nowe światło spostrzeżeń. Najobszerniejszy ustęp poświęca on opisowi czynności deputacyi do spraw zagranicznych, oraz do spraw skarbowych, których sam był członkiem. Powierzono mu wydział zagranicznych korespondencyj z ambasadorami: w Wiedniu, Berlinie, Dreźnie, Hadze, Kopenhadze, Sztokholmie. Towarzysz Łubieńskiego w deputacyi, porozumiewał się z ambasadorami: w Petersburgu, Konstantynopolu, Londynie, Paryżu, Rzymie, Madrycie. Korespondenci mieli ogrom pracy przed sobą; trudność ich stanowiska wynikała po części z braku wprawy, nie sposobili się bowiem wyłącznie do dyplomatycznego zawodu. W skutku następującego wyboru nowych ambasadorów, narzeka Łubieński, że uwzględniano więcej związki familijne niż prawdziwe zdolności w wyborze osób. W szeregu tym wyznaczono Łubieńskiego w poselstwie do Konstantynopola. Izba chciała tym sposobem wynagrodzić go za podjęte trudy. Oprócz pensyi rocznej 100,000 złotych, ambasador pobierał od Turków codziennie po worku czyli 500 zł., przytem kilka baranów, pewną miarę ryżu, nadto przywiązane były dochody z okoliczności protekcyi nad okrętami, za którą hojnie opłacali się kupcy ambasadorom. Nie chciał atoli Łubieński opuszczać żony i dzieci, więc przedstawił na swe miejsce Potockiego,

Starostę Szczerzeckiego, który najchętniej podjął się poselstwa.

W ciągu opowiadania o sprawach publicznych, autor pamiętnika zwraca się częstokroć do wspomnień domowych; między innymi przytacza przygodę następującą:

Dawny guwerner Łubieńskiego, uczony ksiądz Albertrandi, pozostawił pod opieką jego żony, siostrzenicę swą pannę Konstancję. Państwo Cześnikostwo Pstrokońscy przywieźli w tymże czasie syna swego jedynaka, ukształconego młodzieńca, i uprosili Starostę Nakielskiego aby rozciągnął nad nim opiekę. Tak więc młoda para znalazła jednocześnie gościnne przyjęcie w domu państwa Łubieńskich. Wzorowe wychowanie kawalera i panny było rękojmnią, że opiekunowie nie doznają z ich przyczyny żadnej przykrości. Wkrótce atoli doświadczyli zawodu. Kiedy pewnego razu wracał Starosta późno wieczorem z klubu, zbliżył się jeden ze służących do niego i z uśmiechem rzekł:

— Jutro będziemy mieć w domu wesele...

— Jakież to wesele?

— Panna Konstancya weźmie ślub z panem Pstrokońskim.

— Zkąd ci ta bajka przyszła do głowy?

— Oj nie bajka, wszak to nie pokryjomu; zapowiedzi już wyszły u Św. Krzyża, słyszeliśmy. Jutro mają raniutko wyjść i nie powrócą

aż po ślubie. Niech się pan zapyta, jeśli mi nie wierzy...

Zaniepokojony Łubicieński kazał przyprowadzić świadków. Przybyli niebawem i potwierdzili zeznanie służącego.

W dalszym ciągu tak autor pamiętnika o tej przygodzie pisze:

„Posłałem po starego Kossakowskiego, który służył jeszcze u Marszałka Bielińskiego i miał niegdyś pod komendą sześćdziesięciu ludzi, teraz miał tylko czterech i zasłużony chleb u ojca mojej żony. Gdy przyszedł kazałem mu aby od samego rana pilnował, a jeżeliby Pstrokoński za bramę chciał wyjść na miasto, aby go grzecznie zapytał, czy był dziś u mnie i czy zyskał pozwolenie wyjścia. Zapewne odpowie, że nie; wtedy panie Kossakowski powiesz: W takim razie jesteś pan w moim pokoju aresztowany.

„Skoro Kossakowski wyszedł, posłałem Barańskiego z rozkazem do fornała ze Szczytnik, żeby zajechał o godzinie piątej zrana. Sam zaś usiadłem, żeby napisać list do państwa Cześnikowstwa Pstrokońskich, uwiadamiając ich przez syna, że chociaż byłem z niego kontent, ale sądziłem za mój obowiązek odesłać go do nich, aby jako rodzice w tak ważnej materii ożenienia syna sami decydowali, przechodzi to bowiem władzę opiekuńczą moją. Winienem oddać sprawiedliwość panience, w której się pokochał, że była jak najlepiej edukowana.

„Przygotowawszy tak wszystko, opowiedziałem mojej żonie. Ubolewała równie ze mną, przywiązała się do tej panienci, warta bowiem była tego; zdecydowała się jednak oddać ją zaraz! Albertrandemu, żeby później nie ściągnąć na nas narzekania rodziny.

„Nazajutrz rano wszystko się sprawdziło. Kossakowski wychodzącego o piątej godzinie Pstrokońskiego aresztował. Zaraz przyszedł do mnie z raportem. Wezwałem do siebie kawalera, a posłałem do fornala aby zajeżdżał. Nie miałem serca robić wymówki dobremu młodzieńcowi, już i tak zmartwionemu. Powiedziałem po prostu: Skoro dowiedziałem się z boku, boś mi się nie zwierzył, że chcesz się żenić, zaraz kazałem konie zaprządz, żeby ten akt stanowczy na całe życie nastąpił za błogosławieństwem szanownych rodziców wacpana. Oto jest list odemnie do nich zapieczętowany. Wsiadaj wacpan z ekonomem moim natychmiast i pospieszaj do rodziców. Zapłakał tylko biedny młodzian, uścisnąłem go, ludzie już moi rzeczy upakowali. Wyszedłszy wsiadł zaraz, nie widział panienci bo jeszcze spała, przed szóstą już był za Warszawą. Napisałem list do Albertrandego; natychmiast przyjechał. Przełożyłem mu wszystko co się stało, a probował, o dziesiątej obiecał zgłosić się po siostrzenicę. Udał się wprost do księży Missyonarzy i wyklócił się z nimi, że wazyli się ogłaszać zapo-

wiedzi i byliby zapewne i ślub dali dwojgu tak młodym ludziom, nie zapytawszy się czy rodzice lub opiekunowie na to zezwalają. I tak skończył się bez hałasu ten romans. Pstrokońscy synowi żenić się nie pozwolili, tyle tylko wiem. Od tego czasu już żadnego z tej pięknej pary nie widziałem, ale wiem, że się nie pobrali. Wszyscy ich w moim domu żałowali.”

Wspomnieliśmy wyżej, że Łubieński oprócz obowiązku korespondenta w deputacyi interesów zagranicznych, miał udział w pracach deputacyi spraw skarbowych. Utworzono ten wydział w celu ułożenia nowego budżetu i podania projektów opodatkowania. Pierwszem zadaniem członków deputacyi było zebranie wiadomości o zamożności kraju, o rozwoju handlu, rękodziel i fabryk, oraz przedstawienie dotychczasowego stanu skarbu. Sumienne dopełnienie tej czynności połączone było z wielu trudnościami, z powodu braku materiałów i pewnych statystycznych danych. W przeglądaniu archiwów dopomagał gorliwie Łubieńskiemu młody Tadeusz Czacki, który wtedy właśnie zaczął gromadzić materiały do przyszłej pracy w zakresie historii prawodawstwa.

Kiedy zapadła uchwała przedłużenia sejmu, udał się Łubieński na sejmik relacyjny. Po wtórnie wybrany posłem brał udział we wszystkich ważniejszych czynnościach. W skutku atoli zbiegu nieprzewidzianych okoliczności, nie

znajdował się w Warszawie w chwili zaprowadzenia konstytucyi. Wyznaczono pierwsiastkowo dzień 8 Maja, jako termin ogłoszenia ustawy. Na parę tygodni przedtem wyjechał poseł sieradzki do domu, w celu załatwienia naglących interesów. Wróciwszy do Warszawy 5 Maja dowiedział się o zaszłej zmianie i o ogłoszeniu konstytucyi.

Po rozpoczęciu działań wojennych, wyznaczony na mocy rozporządzenia sejmu na komisarza sejmowego cywilnego, znajdował się w tym charakterze przy Kościuszcze. Wraz z odroczeniem sejmu i przystąpieniem Króla do konfederacyi targowickiej, ustąpił Łubiński z pola spraw publicznych i osiadł w Szczytnikach, w zamiarze zajęcia się opuszczonem gospodarstwem; wkrótce atoli następujące z kolci wypadki i wstrząśnienia polityczne nie dozwoliły mu spoczywać długo w zaciszy domowego ogniska.

II.

Pogłoski o wojnie z Prussami 1793 r. Łubieński wybrany w deputacy do króla pruskiego wyjeżdża do Berlina, następnie do Frankfurtu. Audyencya u Króla. Jeńcy francuzcy. Frankiści z Warszawy we Frankfurcie. Wyjazd z Królem do obozu pod Moguncyą. Zdobyte tej twierdzy. Powrót przez Pragę do kraju. Król Pruski w Szczytnikach w końcu 1793 r.

W epoce agitującego się sejmku w Grodnie 1793 r. rozniosła się wieść po kraju o wojnie z Prussami. Łubieński znajdował się wtedy z rodziną w Szczytnikach. W obawie o zdrowie słabej wówczas żony, nie czekając na rozpoczęcie się rozruchów, wyprawił ją Starosta czempędziej do Pragi Czeskiej, sam zaś postanowił nie wyruszać z majątku, w myśli zabezpieczenia się przeciwko klęskom wojny. Przekonano się atoli wkrótce, że wieści o wojnie były płożne. W skutek ułożonego pomiędzy mocarstwami drugiego podziału kraju, wojska pruskie zajęły Poznańskie, Kaliskie, Sieradzkie, Łęczyckie, Kujawskie, oraz część Mazowieckiego. Na sejmikach kilku zajętych województw wybrano Łubieńskiego, jako znanego osobicie Królowi Pruskiemu, aby udał się do niego w deputacyi.

Odebrał około 300 listów i uchwały sejmikowe od województw z upoważnieniem działania w ich imieniu, w celu wyjednania pewnych przywilejów. Nie wymienia w pamiętniku treści instrukcyi ani żądań, które miał przedstawić Królowi. Pisze tylko, że nie mógł się wy mówić od tego poruczenia, otrzymawszy dowód zaufania tak wielu obywateli, poczem podaje szczegóły dotyczące pomienionego poselstwa i podróży:

„Przybrałem sobie za sekretarza godnego bardzo młodego kawalera, pana Łubę, syna starosty Stawiszyńskiego, i ruszyłem do Poznania, pragnąc się skombinować z tamecznymi obywatelami; zastałem ich też samą myślą zajętych. Obrali z Poznańskiego: duchowni księdza Miaskowskiego, szlachta Unruga starostę Hamersztyńskiego, Bronikowskiego i Ziemięckiego. Przybywszy do Berlina nie zastaliśmy Króla, który był naczelnym wodzem koalicyi Niemiec i Austryi przeciwko Francyi. Ministrowie grzecznie nas przyjęli, ale powiedzieli, że to missya do samego Króla, bez jego rozkazu traktować nie mogliby z nami. Pojechalismy tedy do Frankfurta nad Menem, ja z Łubą na Pragę, a ksiądz i trzej kalwini inną drogą. Zdrową żonę i dzieci zastawszy, wziąłem z sobą jeszcze i Łubieńskiego szambelana do Frankfurta. Jadąc przez Karlsbad, przez tę godzinę com zabawił, kupiłem dwa gile uczone

i chłopcem odesłałem mojej żonie, jeden dla niej, drugi dla kasztelanowej Połanieckiej. Ledwo z ceraty je rozpakowano, zaraz ze wszystkich radością te dobre ptaszyny śpiewały. Bogu podziękowałem, dowiedziawszy się, że mogłem jej tę pociechę przy tylu zmartwieniach sprawić. Przybyłem na dzień umówiony do Frankfurtu nad Menem. Przyjechali i Poznaniańskie mała co później. Stałem *dans la maison Rouge*, a dowiedziawszy się, że Król ma zajmować pierwsze piętro, a połowę drugiego Luchesini, wziąłem dla siebie drugą połowę tegoż piętra. Zbrali się zaraz u mnie przybyli koledzy. Uradziliśmy żeby natychmiast posłać sztafetę do Króla z uwiadomieniem o naszym przybyciu i oczekiwaniu na jego rozkazy. Król wtedy zamyslał o oblężeniu Moguncyi bronionej przez Francuzów. Odpisał, że będzie sam w niedzielę we Frankfurcie i da nam audyencyę. Unrug prosił mię na sessyi, abym mu ustąpił mowy do Króla. Uważając na wiek jego, ustąpiłem mu chętnie z zastrzeżeniem, że ks. Miaskowski pierwszy od duchowieństwa mówić będzie. Król jak przyrzekł przed 10 z rana przyjechał, zaraz po mnie posłał, jak najlaskawiej przyjął, wypytał się po co przyjechaliśmy i kto przybył. Przytomnemu Luchesiniemu oddałem mowę, jakie mieć będą Miaskowski i Unrug, żeby przygotował odpowiedzi. Na 11 godzinę kazał nam przyjść na audyencyę. Przybyliśmy. Na

mowę ks. Miaskowskiego Król odpowiedział po francuzku, zapewniając protekcyę wszystkim religijnym wyznaniom. Staruszek Unrug zapomniał w środku mowy i dużo się zmieszał, cofał, nagle przypomniawszy sobie, tak przyskoczył do Króla, że ten aż się rozśmiał. Miał Król mowę w kapeluszu napisaną i po niemiecku z kapelusza czytał. W ogólnych wyrazach wszystko obiecywał, a przeto nic, do mnie zaś obrócił się i rzekł po francuzku: Już widzieliśmy się z sobą. Poznanianie pożegnali Króla, prócz ks. Miaskowskiego, był tedy wezwany na obiad, ze mną, z szambelanem Łubieńskim i Łubą.

„Po obiedzie kazał mnie Król przyjść za godzinę. Obchodził więźniów francuzkich, było ich do 3,000 zamkniętych w podwórzu i zabudowaniach wielkiego browaru. W bramie siedział bardzo ułomny Francuz, nie zdejmując kapelusza, tylko zadarłszy głowę do góry krzyknął na Króla: a cóż to za baryła! Król udał jakoby nie słyszał, obchodził wszędzie, pytał czy mają dostarczoną żywność? Nie odkrywali głowy, choć wiedzieli, że to Król; odrzekli: Nic nam nie brakuje. Gdyśmy z tego gmachu wychodzili, ów Francuz ułomny jeszcze na tem samem miejscu siedział. Król widąc, że nie zapomniał, bo odwrócił się do mnie i do Luchesiniego, i wskazując na niego, po francuzku rzekł: „Jakiż to piękny wizerunek równości!”

„Wrócił Król po tej przechadzce do domu, przybiegały albowiem raz wraz kuryery z obozów; kazał mnie tylko, abym udał się z nim do teatru. Pilnowałem zatem godziny; ale Król poszedł do łoży burmistrzowej frankfurckiej, a ja musiałem sobie kupić bilet, żeby się wynudzić na niemieckiej komedyi. Wyszedłem wczas i poczekałem na Króla. Ukazał się wkrótce, mając przy sobie jednego tylko feldjegra. Szliśmy piechotą, gdy przysunął się do mnie jakiś podejrzaneyminy szubrawiec, i koniecznie chciał się zbliżyć do Króla. Kiwnąłem na feldjegra, żeby szedł z tamtej strony. Sam zaś nie spuszczać z oka tego podejrzanego człowieka, wysuwałem się raz w tył, drugi raz naprzód, starając się zasłonić Króla. Szczęśliwie weszliśmy do oberży, a feldjeger nie puścił dalej tego szubrawca. Król w sieni ścisnął mię za rękę i rzekł: „Widziałem coś dla mnie zrobić.” Odrzekłem: „Moją powinność.”

Nazajutrz po opisanej w pamiętniku wycieczce do teatru, Łubieński odpoczywał jeszcze w łożku, kiedy zameldował mu służący, że przyszło dwóch Polaków i chcą widzieć się z nim. Ubrawszy się czempredzej, kazał ich poprosić; zatem weszli dwaj nieznajomi i oświadczyli na zapytanie, że są deputowanymi od dwustu nieszczęśliwych rodzin, które przybyły tutaj z Polski na wezwanie ich sławnego naczelnika Franka, aby przytomnymi byli jego śmierci.

Wiadomo, że założyciel sekty soharystów czyli anti-talmudzistów, Jakób Józef Lejbowicz, przewany później Frankiem, urodzony na Podolu, nawiązał do zasad nauki Sabbatiego czyli Szabsa-Cwi w Turcyi, gdzie ożenił się i zajmował się przez pewien przeciąg czasu handlem. Pod wpływem pomienionej nauki zamarzył o utworzeniu nowej sekty; w tym celu wyruszył na Wołoszczyznę i wkrótce udał się do Polski, gdzie najobfitsze znalazł żniwo. Prześladowanie jednak, jakiego doznał ze strony wiernych Talmudowi żydów, oraz myśl zapewnienia opieki dla siebie i swych zwolenników, skłoniła go do uczynienia wyznania wiary, zbliżonej do chrześcijaństwa, następnie do przyjęcia chrztu ś-go. Za przykładem przywódcy ochrzciło się bardzo wielu Frankistów. Wkrótce atoli przekonano się, że naczelnik sekty rozsiewa pomiędzy uczniami zasady niezupełnie zgodne z nauką chrześcijańską. Wysłano go do Częstochowy i trzymano tamże lat kilka pod strażą. Uwolniony około 1770 r. udał się do Czech, Morawii, następnie do Wiednia. Cesarzowa Marya Teresa wyznaczyła mu miejsce zamieszkania w Brünn w Morawii. Tam mieszkał lat kilka. Po wstąpieniu na tron Józefa II powtórnie przyjechał do Wiednia, lecz zmuszony do wydalenia się z Austryi, osiadł około 1788 r. w okolicach Frankfurtu. Książę Izemburski przyjął go uprzejmie i wynajął mu

własny pałac w Offenbachu ¹⁾. Przed skoncem rozpiisał naczelnik sekty listy do swych zwolenników z wezwaniem, ażeby pośpieszali, pragnie albowiem w ich przytomności zamknąć powieki. Było to w końcu 1791 r. Tłumy Frankistów wyruszyły z Warszawy i z różnych okolic Polski i podążyły do Niemiec. Umarł Frank 9 grudnia 1791, pochowano go dnia 12 grudnia. Frankiści więc wzmiankowani w pamiętniku przebywali jeszcze po stracie mistrza ośmnaście miesięcy w Niemczech; Łubieński albowiem znajdował się we Frankfurcie w pierwszej połowie Lipca 1793 r., jak okazuje się z przytoczonych szczegółów. Łubieński pisze, że zapytani o przyczynę długiego pobytu w tych okolicach, oświadczyli: że mistrz przyrzekł im przed skoncem, jako po kilku tygodniach zmartwychwstanie; oczekiwali więc na spełnienie tej przepowiedni. Prosilili obecnie Starosty, aby wstawił się za nimi do Króla pruskiego o wydanie im paszportu na przejazd z powrotem do Polski. Wydalili się oni z kraju bez paszportów, pomimo zakazu rządu Rzeczypospolitej, gdyż znaczne wywieźli z sobą kapitały zagranicę. Łubieński uczynił zadość ich żądaniu. Na obiedzie u Króla opowiedział mu

¹⁾ Najobszerniej opisał przygody Franka H. Skimborowicz w dziełku: „Żywot, skon i nauka Jakóba Józefa Franka.” Warszawa 1866.

przygodę Frankistów, oraz historię ich sekty. W dniu następnym otrzymali paszport na przejazd do Polski. Napomknęliśmy wyżej, że Fryderyk Wilhelm II zamierzył udać się do obozu pod Moguncyę, oblężoną przez wojska pruskie i sprzymierzone. Mężnie broniła się załoga pod dowództwem generała Franciszka Poiré (w niemieckich rapportach piszą d'Oyré lub Doyré). Naczelnym wodzem armii Reuu i Mozelli był wtedy Mikołaj Houchard, mianowany na miejscu Custine'a, któremu oddano na krótki przeciąg czasu dowództwo nad armią północną.

Na początku miesiąca Lipca 1793 r. w epoce panowania terroryzmu we Francyi, Custine, w skutku podejrzenia o zdradę, stracił zaufanie rewolucyjnego rządu; następnie przypisano jego intrygom klęskę armii reńskiej, chociaż 14 Lipca odwołany do Paryża, znajdował się zdala od teatru wojny. Na wieść o poddaniu się Moguncyi Prusakom 22 Lipca, konwencya wydała akt oskarżenia przeciwko Custine'owi. Podejrzany, jakkolwiek nie przekonany o zdradę, padł waleczny generał ofiarą terroryzmu. Mylnie więc w pamiętniku napisał Łubiński, jakoby generał francuzki Custine, raniony został przy oblężeniu Moguncyi. Pomijając ten szczegół, podajemy zresztą w całości ustęp, w którym opisuje Łubiński wycieczkę swą do obozu pruskiego w towarzystwie Króla:

„Przysłał Król po mnie, albowiem wyjeżdżał

do obozu pod Moguncyą; kazał mnie tamże udać się. Nazajutrz tedy pojechałem; dano mnie kwaterę nad szynkownią. Przyszedł zaraz adjutant królewski z uwiadomieniem, że otrzymał rozkaz oprowadzania mnie wszędzie, i że konie mieć będą ze stajni królewskiej. Prosiłem go, abym mógł zaraz objechać aprosze (przykopy). Ledwo zdążyłem się przebrać, powrócił z końmi; pojechałem. Nie widziałem nigdy zblizka jak zdobywają fortecę, zwłaszcza tak umocnioną jak Moguncya. Adjutant powiedział mi w drodze, że dopiero ostatniej nocy zrobiono najbliższą baterię i spodziewają się, że nad wieczorem nadejdzie najcięższa do szturmury artyllerya, dla tego Król sam przyjechał. Dojechawszy do aproszów zsiadliśmy z koni i ukrytą drogą, pochyleni, od bateryi do bateryi, raz wraz widząc kule z fortecy dosięgające słabo, zasypujące ziemią, doszliśmy do ostatniej. Ciekawość przemogła rozsądek, wlałem na wierzch bateryi chcąc przypatrzeć się lepiej. Z zadziwieniem widziałem Króla z jednym tylko strzelcem, małym galopem jadącego, przynajmniej na 500 kroków przed baterią, gdy ogień sypał się ze wszystkich armat, żeby roboty popsuć. Ledwo karku nie złamałem: oficer heski komenderujący baterią porwał mnie za poły sukni z tyłu, nie wiem jak wyratowałem się rękami. Powiedział mi: Czy nie widzisz, jak kule zwróciły się na moją baterię, skoro ciebie

spostrzeegli? Gburzysko proste było, ale pełnił swoją powinność. Otrze pawszy się z mojego upadku, krytą drogą wróciliśmy do naszych koni. Ledwie ujechaliśmy paręset kroków, bystre oko adjutanta spostrzegło, że park ciężkiej artylleryi nadchodzi; udaliśmy się tedy do mostu na pontonach rzuconego. Znowu nieroztropność popełniłem: nie czekałem nadejścia parku, dla przypatrzenia się fortecy broniącej się i atakowanej, wlażłem w ponton. Tam bardzo dobrze widziałem przez perspektywę; kule niedaleko padały, ale nie dosięgały. Zapomniałem się tak, że park artylleryi wszedł na most pływający; dobrze skarany byłem, bo mnie z półtóry godziny tak ponton wyhuśtał, że rozumiałem, iż duszę oddam. Przeszli przecież, ledwie wydobyłem się z pontonu i powlokłem bardzo zmordowany. Wróciwszy do kwatery, na wpółrozebrany natychmiast o 10 zasnąłem. Noc była ciemna, a nie uważałem, że okno mego mieszkania wychodziło ku stronie fortecy. Około drugiej po północy gwałtowny huk armat i światło, jakby się piekło otworzyło, wyrwały mnie ze snu. Pewnie przez całe życie tak prędko się nie ubrałem. Zbiegłem zaraz na dół do szynkowni, żeby się dowiedzieć czy nie nasz obóz atakowany, jak to było przeszłej nocy. Zastałem pełno żołnierzy z regimentu Warnwera spokojnie zapijających wino; była to najwaleczniejsza kawalerya austryacka, ale zebra-

na z samych rozbójników i kontrabandzistów. Zapytałem ich jak mogą spokojnie siedzieć słysząc taki attak? Odpowiedzieli: „Nie ma tam po co jechać, jest tam artyllerya saska, która tych Francuzów zaspokoi i nie da im kroku postąpić; albo nie widzisz jak raz wraz puszcza ją race na szance, dla oświecenia gdzie nieprzyjaciel. Trwał ten piekielny ogień do dwóch godzin. Dzionek zaczął się robić, posłałem Barańskiego do stajni królewskiej; nadszedł też tam adjutant i wsiedliśmy na konie, aby udać się na miejsce napadu.”

Po powrocie do obozu, dowiedział się Łubieński z ust Luchesiniego o wzięciu Moguncyi. Nazajutrz, po podpisaniu kapitulacyi, pożegnał nasz deputat Króla i pośpieszył do Pragi, w celu zabrania żony.

Dopełniając opowiadanie Łubieńskiego o zdobyciu Moguncyi, dodamy, że dnia 19 Lipca generałowie francuzcy Beauharnais i Houchard usiłowali po dwakroć przebić się przez armię związkowych, lecz odparci z wielką stratą musieli zaniechać myśli odsieczy. Wiadomość o klęsce armii Houcharda skłoniła oblężonych Francuzów do kapitulacyi. Podpisał takową komendant Moguncyi, generał Poiré, dnia 22 Lipca.

Po wyjściu załogi francuzkiej, z rozporządzenia Króla pruskiego szukano po domach dzień cały ukrywających się klubistów. Karano

wszystkich podejrzanych kijami na hauptwachu i przy bramie Münsterskiej. Dnia 1 Sierpnia wystawiono ogromne rusztowanie, poczem spalił na niem kat drzewo wolności. Prezydent Raze i klubista Standenheim, którzy niedawno spalili przywileje szlachectwa, musieli teraz z rozkazu władzy podłożyć ogień pod stos pomieniony.

W pierwszych dniach Sierpnia znajdował się już Łubiński w Pradze, lecz z powodu słabości żony, przeciągnął się do kilku tygodni pobyt jego w tem mieście. Wróciwszy do kraju w końcu września, zastał już wszędzie w zabranych województwach rządu pruskie. Wkrótce po przyjeździe do Szczytnik, spotkała go niespodzianka i nie małego nabawiła kłopotu. Fryderyk Wilhelm zapragnął zwiedzić świeżo przyłączone do Pruss prowincye polskie, zatem przyjechał do Poznania 10 Października. Spotykali go obywatele deputowani z miasta z kluczami i żydzi po turecku przebrani. Dowiedziawszy się, że Łubiński mieszka w Szczytnikach, oświadczył, że udając się do innych znaczniejszych miejscowości kraju, wstąpi do niego po drodze. Doniesiono o tem niebawem Staroście. Nie wiele pozostawało czasu do namysłu; porozsyłał więc czempredziej do obywateli zapraszające listy, sprowadził z całej okolicy lampy, latarnie, na oświecenie dworu i niezbędne przy każdym większem wystąpieniu fajerwerki.

W dniu oznaczonym przybyła najprzód kuchnia królewska, za nią generałowie i adjutanci, nakoniec o godzinie 11 z rana Król z Luchesinim. Zjechało się w tym dniu około stu obywateli; listę ich podał gospodarz Królowi, który udał się natychmiast do przeznaczonych dla niego komnat, zdjął podróżne i włożył inne ubranie. Przejrzawszy podaną mu listę, podkreślił Król ośmnaście nazwisk osób, które pragnął mieć u swego stołu. Pozostali goście mieli obiadować w starym dworze wraz z generałami pruskimi. Gospodarz więc udał się z prośbą do Króla, aby pozwolił, że żona sama towarzyszyć mu będzie przyobiedzie, on zaś zajmie się podejmowaniem innych gości. Zgodził się Król, choć widocznie nie był zadowolony z tej propozycji; rozweselił się atoli przy stole zniewolony uprzejmością gospodyni. Po obiedzie wydalili się Król na parę godzin do swego apartamentu, a p. Łubieńska udała się do starego dworu, gdzie najliczniej zjechali się goście. Dowiedziawszy się o tem Król, oświadczył, że chce odwiedzić gospodynię i obecne damy. Nadszedł wkrótce i bawił się tamże do wieczora; prawił grzeczności damom, rozmawiał z obywatelami i patrzył przez okno na chłopów tańczących i włączących na drzewo po premia.

Tymczasem w ogrodzie oświecono teatr, wystawiony na przyjazd Króla w kształcie pogańskiej świątyni. Skoro ukończono przygotowania,

gospodyni zaproponowała Królowi przechadzkę. W jarzącym blasku lamp świątyni, dzieci postrojone za bożków stały na piedestałach, za każdym jedna z dam. Deklamowały dzieci wiersze, co bardzo podobało się Królowi. Przechadzano się następnie po illuminowanym ogrodzie; w zakończeniu udali się wszyscy na plac, na którym puszczono fajerwerki. Król zadowolony był z tych przedstawień i z całego przyjęcia; oświadczył chęć udania się na spoczynek, pożegnał gospodarzy i gości. Odprowadzono go ędo oficyny, gdzie urządzono sypialnię. Wkrótce atoli po rozstaniu, odniesiono gospodyni z rozkazu Króla dywanik rozłożony przy jego łóżku i wazony kryształowe z kwiatami; przyczem oznajmiono, że obawiał się Król, aby ludzie jego nie popsuli.

W dniu następnym znajdował się Król jeszcze w Szczytnikach na obiedzie. Przy pożegnaniu zaprosił Łubińskiego, aby za dni dziesięć pośpieszył na jego spotkanie do Piotrkowa. W tymże czasie, jak donoszą gazety, jeździł Król pruski do Nieborowa, do księcia Radziwiłła, Wojewody Wileńskiego, ztąd zaś po solennej uczcie udał się do Skierniewic, dla odwiedzenia Prymasa.

W kilka miesięcy po owej podróży Króla pruskiego, w zwiedzanych przez niego miejscowościach rozlegał się szcęk oręża i gwar wojny.

III.

Deputacya do Króla pruskiego 1795 r.—Hoym minister zarządzający Szlązkiem.—Graf Massau.—Blumenthal.—Audyencya u Króla.—Wizyty ministrów.—Obiady u Króla.—Uwolnienie jeńców polskich.—Powrót na wieś.—Nowe kłopoty i wyjazd do Berlina 1796 r. w interesie starostwa guzowskiego.—Przyjęcie u dworu.—Obiad u ministra morskigo handlu i finansów.—Spotkanie ze sławnym graczem Michałem Walickim. — Kupno Guzowa. — Wspomnienia z 1798 roku.

Po upadku powstania Kościuszki mnóstwo Polaków zappełniało więzienia pruskie. Znany był powszechnie stosunek dawnej osobistej znajomości Łubieńskiego z Królem pruskim; zwrócono więc znów oczy na niego, jako na jedyne go z grona obywateli, który mógł w danej chwili najskuteczniej wstawić się za uwięzionymi ziomkami. Nie wymawiał się starosta od tej obywatelskiej usługi, i jako deputowany z prowincyj polskich pośpieszył do Berlina. Nim przedstawił się Królowi, starał się Łubieński zaczerpnąć potrzebne wiadomości o obecnym losie uwięzionych. Oświadczone mu atoli, że napróżno zgłosił się do stolicy, gdzie nie wiedzą o jeńcach polskich, gdyż prowincye

przyłączone do Pruss pozostawały w tym czasie pod bezpośrednimi rozkazami ministra Hoyma, zarządzającego głównie Szlązkiem. Tak więc przekonał się Łubieński, że wypadnie mu wrócić się do Wrocławia; skorzystał atoli z pobytu w Berlinie i zawiązał z niektórymi dygnitarzami stosunki. Zaprzyjaźniwszy się z Boemem zarządzającym ministerstwem sprawiedliwości, otrzymał od niego informację względem postępowania w interesie uwolnienia jeńców. W szeregu zabranych znajomości, zapewnił sobie Łubieński przychylność hrabiego Massau, marszałka dworu, oraz Rejtza, kamerdynera i faworyta królewskiego, poczem udał się do Wrocławia.

Minister Hoym przyjął uprzejmie Łubieńskiego, pozwolił mu odwiedzać więźniów, czynił nadzieję uwolnienia, zastrzegał atoli, że muszą być dopełnione pierwej wszelkie formalności. Spostrzegł się wkrótce starosta, że sprawa przeciągać się może bez końca, i że Hoym ludzi go grzecznymi słówkami. Ostrzeżono go, że kilka lat najmniej upływie, nim sąd wyda wyrok w sprawie obwinionych więźniów; postanowił więc powrócić do Berlina i udać się wprost do Króla. Obywatele z kilku województw nadesłali Łubieńskiemu plenipotencyę do zaniesienia w ich imieniu prosby do tronu. Oznajmił o tem Hoym'owi przy pożegnaniu. Minister nad spodziewanie przyjął uprzejmie

to oświadczenie, przyczem zwierzył się z ciężkich osobistych kłopotów. Zaszło właśnie w tym czasie nieporozumienie pomiędzy ministrem zarządzającym Szlązkiem a rządcą Pruss południowych. Wyznał to Hoym szczerze i dodał, że głównie z obawy knowań nieprzyjaciół, nie może uwolnić uwięzionych; przyrzekł atoli, że nie tylko przeszkadzać nie będzie, ale owszem poprze jego starania w Berlinie. Upraszał w zamian Łubieńskiego, aby podjął się pośrednictwa w jego sprawie i zaczekał dni parę, w celu przygotowania pewnych dokumentów. Starosta uczynił zadość jego żądaniu. Jakoż w dniu wyjazdu przedstawił mu Hoym swój interes, wraz z dowodami świadczącymi o jego niewinności i o fałszu rozsianych w Berlinie potwarzy. Przekonał się Łubieński, że słusność jest po stronie ministra; zatem zobowiązał się, że przy wydarzonej sposobności nie zaniecha przedstawić jego sprawy Królowi. Przy rozstaniu doręczył Hoym Łubieńskiemu polecające listy do swych przyjaciół w Berlinie.

Przyjechawszy powtórnie do stolicy Pruss, udał się nasz deputat do znajomych ministrów, ale nigdzie go nie przyjmowano. Dzięki niedyskrecyi opłaconego szwajcara, dowiedział się, że nieprzyjaciele Hoym'a rozgłaszają, że Łubieński, deputat rebellizantów, uczynił z ministrem znowę we Wrocławiu. Jeden tylko z dawnych znajomych, Boem, przyjął go życzliwie

i radził, aby udał się wprost do samego Króla. Wypadało postarać się o otrzymanie audyencyi. Przypomniawszy sobie wtedy o zawiązanej poprzednio znajomości z faworytą Króla, żoną kamerdynera Rejtza. Odwiedził tę panią i opowiedział o całym toku swej sprawy, o napotykanych zawadach i przeszkodach, o nieprzychylności ministrów, zatem upraszał ją o wyjednanie mu audyencyi u monarchy.

Pani Rejtz wzięła interes Łubieńskiego do serca i rzekła: Powiem mu o wszystkim, bądź spokojny.

Protekeya damska okazała się najskuteczniejszą. Nazajutrz o godzinie dziesiątej rano przybył adjutant do mieszkania Łubieńskiego z wezwaniem, aby stawił się na pokojach królewskich o godzinie jedenastej.

Spotykał Łubieńskiego i wprowadzał do Króla graf Massau marszałek dworu. Pojął on za żonę córkę dawnego znajomego starosty, Blumenthala, który był ministrem skarbu jeszcze z czasów Fryderyka W. Opowiadano o nim anegdotę następującą: Wsławił się ten dygnitarz podczas siedmioletniej wojny zarządzając kassą Pomorzan. Król w wielkiej potrzebie pieniędzy, żądał pożyczania pewnej kwoty. Blumenthal otrzymawszy rozkaz Fryderyka W., posłał swą dymissyę i zarazem oświadczył, że kluczy od kassy nie odda, chyba mu gwałtem odbiorą. Król nie przyjął dymissyi i nie domagał się więcej wydania pieniędzy.

Wprowadzony przez marszałka Łubieński i powitany łaskawie przez Króla, oświadczył, że przybył z prośbą za uwięzionymi współziomkami we Wrocławiu, przyczem pokazał plenipotencyę obywateli. Król oddał doręczone mu pismo marszałkowi dworu, następnie wzięwszy ołówek, na tymże dokumencie napisał: „Łubieński, delegowany od szlachty Pruss południowych, ma być policzony między przysłanymi w dyplomacyi.” Potem zwrócił się do hrabiego Massau i rzekł: „Podczas pobytu w Berlinie ma być codzien u mnie na obiedzie.” W końcu audyencyi, w odpowiedzi na załączoną prośbę, dodał: „Zobaczę, co będzie można zrobić dla nich.” Marszałek rezolucyę Króla ołówkiem napisaną przedstawił Fünkenstejnowi prezesowi ministrów.

Wróciwszy do swego mieszkania, znalazł Łubieński bilety ministrów, którzy w wigilię przyjąć go nie chcieli. W tymże dniu znajdował się na obiedzie u Króla. Spotkał się tam z dawnym znajomym, Krasickim biskupem warmińskim. Szanowny książę naszych poetów powitał najserdeczniej znanego mu od lat dziecinnych starostę, poinformował go względem zwyczajów dworskich i obiecał służyć za przewodnika. Zmuszony do występowania w kole dworu i ministrów, delegat nasz najął karete z odpowiednią liberyą oraz mieszkanie na najpiękniejszej ulicy pod lipami. Krasicki prezen-

tował go królowej panującej, królowej wdowie po Fryderyku W., następcy tronu i jego żonie, ks. Ludwikowi bratu następcy, księżętom Henrykowi i Ferdynandowi, stryjom Króla, oraz ministrom pruskim i zagranicznym. Tak upłynęło dni kilka na prezentacjach, poczem zabrał się gorliwie do popierania sprawy uwolnienia więźniów.

Podzielono jeńców na dwie kategorye, to jest oficerów i prostych żołnierzy; w szeregu tych ostatnich mieściło się wielu, którzy nie mieli nigdy broni w ręku, jak np. rekruci lub włościanie przypadkiem zabrani z podwodami lub transportami. Zgodzono się po niewielu staraniach na wypuszczenie jeńców z drugiej kategoryi, których liczono przeszło pięciuset. Nie tak atoli łatwo postępowała sprawa dwustu oficerów i urzędników policzonych do pierwszej kategoryi. Zażądano od każdego z nich po szczególe tłumaczenia i obrony. Zajął się tą czynnością starosta, przy pomocy towarzysza deputacyi, szambelana Michała Łubieńskiego-Boem, zarządzający wydziałem w ministerstwie sprawiedliwości, dał wiele dowodów przychylności; pomimo to, sprawa przeciągnęła się długo, gdyż formalności były liczne i zawile.

W ciągu tego czasu znajdował się codziennie Łubieński na obiadach u Króla; wieczory przepędzał u członków rodziny królewskiej, najczęściej u księcia Ferdynanda, z którego córką

ożenił się ks. Antoni Radziwiłł. Nie zapomniał starosta o przyrzeczeniu danem ministrowi zarządzającemu Szlązkiem, przedstawiał przy każdej sposobności pożyteczną jego działalność i opisywał kwitnący stan prowincyi; jednocześnie zapewniał ministrów o życzliwości dla nich Hoyma, o wyrażanej przez niego wdzięczności i szacunku. Świadcstwo Łubieńskiego zdało się wszystkim niepodjejrzanem, wiedzano bowiem, że wrócił bez żadnego skutku z Wrocławia, i że Hoym nie popierał bynajmniej urzędownie interesu uwolnienia więźniów. Dzięki zręcznemu pośrednictwu Łubieńskiego, minister rządzący Szlązkiem odzyskał zaufanie i łaskę dworu. Donosił o tem staroście z najżywszem podziękowaniem, zatem chcąc spłacić dług wdzięczności, podawał sposoby uwolnienia reszty uwięzionych. Starania Łubieńskiego popierał również swym wpływem Radziwiłł, zięć księcia pruskiego Ferdynanda. Uwolniono wszystkich jeńców za wyjątkiem Stokowskiego, którego Król z listy przedstawionych do ułaskawienia wykreślił własną ręką. Miał do niego osobistą urazę za to, że przejął pewnego razu jednego z kuryerów, którzy codziennie biegali z Berlina do Błonia, z owocami przeznaczonemi dla Króla.

Tak więc starania starosty nakielskiego požądany odniosły skutek. Mnóztwo ojców rodzin oraz młodych obywateli wróciło do domowego

ogniska. Łubieński zadowolony z dokonanego zadania pośpieszył do żony, która już od 1794 r. mieszkała razem z dziećmi w Zagości, położonej w kordonie austriackim. Powrócił obecnie z Berlina z tą myślą, że po trudach publicznego życia, odpocznie czas dłuższy na łonie rodziny i zajmie się spokojnie podniesieniem opuszczonego gospodarstwa. Niespodziewanie atoli interesa rodziny, mianowicie matki, wyrwały go na pewny przeciąg czasu z wiejskiej zaciszy. Wkrótce po przyjeździe do Zagości dowiedział się, że rząd pruski zabiera starostwo guzowskie na rzecz skarbu. List matki wzywającej pomocy syna wieść tę potwierdził. Pani starościna wypuściła dobra na Litwie synowi Michałowi Ogińskiemu, została więc tylko przy jednym Guzowie. Ogiński, [w krytycznem majątkowem znajdując się położeniu, nie wypłacał dzierżawy matce; równie drugi syn, Prot Potocki, nie mógł jej w niczem dopomóc. Całą nadzieję pokładała teraz tylko w Łubieńskim. Pośpieszył na jej wezwanie i przyrzekł, że dołoży wszelkich starań, aby ją utrzymać przy Guzowie.

Prezydentem Kamery warszawskiej był Hoym, daleki krewny ministra zarządzającego Szlązkiem. Udał się do niego starosta i przypomniał, że go poznał we Wrocławiu. Zmieszał się Hoym, gdy mu przedstawił Łubieński interes, który go do niego sprowadza. Wyznał

z żalem, że zapóźno zgłasza się, gdyż starostwo guzowskie odebrane na rzecz skarbu i komu innemu już darowane. Na zapytanie zaś komu, odpowiedział z widocznem zakłopotaniem, że podobno ministrowi Hoymowi. Przyczem wyznał, że nigdy nie zezwolilby na to on ani jego krewny, gdyby wiedzieli, że pani Ogińska jest matką ich przyjaciela; oraz że wiadomość ta zmarłowi niezawodnie obdarowanego, który zaciągnął względem Łubieńskiego dług wdzięczności. W końcu atoli oświadczył, że nie nadesłano dotąd komissarzy do Guzowa dla odebrania dóbr. Ta ostatnia wiadomość pocieszyła Łubieńskiego; prosił aby zatrzymano się z tą czynnością, dopóki nie otrzyma decyzji ministra Hoyma, co nastąpi zapewne w ciągu tego tygodnia.

Po opisanej rozmowie pojechał starosta nakielski niebawem do Wrocławia. Minister przyjął go jak najuprzejmiej, oświadczył również z żalem, że nie wiedział o stosunku Łubieńskiego do pani Ogińskiej, dodając, że w takim razie nie przyjąłby nigdy tej łaski królewskiej. Zagadniony, czy nie odprzedałby starostwa, które otrzymał jako dziedzictwo z rąk Króla, odpowiedział: Nie śmiałbym, Król mógłby to wziąć za złe, zresztą nie wiem czy udarowani sprzedawać mogą. Na to Łubieński rzekł: Jeżeli zgadza się pan minister, postaram się w Berlinie o zezwolenie Króla; dziś prosiłbym tylko

o napisanie do prezesa kamery Hoyma, aby mojej matki nie rugowano nagle z Guzowa i pozostawiono jej czas do przeprowadzenia inwentarza i domowych sprzętów.

Przychylił się minister chętnie do żądania Łubieńskiego, kazał niebawem napisać instrukcję względem objęcia na rzecz jego Guzowa, z mocnem zastrzeżeniem, aby nie czyniono żadnej przykrości pani Ogińskiej.

Tak ułożywszy interes z Hoymem, pośpieszył starosta do Berlina. Nie utrudniano obecnie Łubieńskiemu dostępu do Króla, który go zaprosił znów na obiady. Tam codziennie spotykał się z Krasickim biskupem warmińskim. Nie zapytywał go Król o przyczynę przyjazdu do Berlina, więc nie śmiał narzucać się z przedstawieniem osobistego interesu, lecz udał się do ministrów z prośbą o dozwoleństwo obdarowanemu sprzedaży Guzowa. Ministrowie atoli wręcz oświadczyli, że nie wiedzą jaka będzie w tej mierze wola monarchy i czy donataryusze mogą odprzedawać dobra. Odpowiedź ta zniewoliła starostę do czekania sposobnej chwili i przełożenia prośby samemu Królowi. Tymczasem starał się o zapewnienie przychylniej opinii ministrów.

Pewnego razu rzekł Król do starosty: „Jutro nie będziesz u mnie na obiedzie, ale za to dostaniesz lepszy u ministra morskiego handlu i

finansów.” Wróciwszy do domu, zastał bilet z zaproszeniem na obiad. Ucztę tę tak opisuje:

„Znalazłem, jak Król powiedział, potrawy z owoców i zwierząt, których nigdy pierwej i potem nie widziałem. Lecz to mniej mnie interesowało niż towarzystwo osób ze wszystkich narodów: to podróżujących panów, to wielkie handle lub fabryki prowadzących Anglików, Holendrów, Francuzów, Szwajcarów, Amerykanów i z Indyów wracających. Konwersacya była bardzo interesująca, już mi się drugi raz taka nie trafiła, żal było odjeżdżać.”

W czasie pobytu w Berlinie zawiązał Łubieński wielostronne stosunki. Poranki przepędzał zazwyczaj w gronie prawników, od których czerpał wiadomości dotyczące praw pruskich i administracyi. O godzinie 11 przed południem odwiedzał go zazwyczaj biskup Krasicki, z którym jeździł na obiady do Króla. Po obiedzie oddawał wizyty lub zwiedzał biblioteki, gabinety i inne publiczne instytuta.

W gronie goszczących wówczas w Berlinie Polaków znajdował się słynny gracz Michał Walicki, znany z awanturnicznych przygód w młodości i później z hojnych zapisów w celach dobroczynnych. Potomek dawnej szlacheckiej rodziny, ur. w r. 1746 w województwie Mińskim, syn niezamożnych rodziców, pozostawał pod opieką wuja Buczyńskiego, z którego opowiadania czerpał Bułharyn szczegóły do

opisu przygód Walickiego ¹⁾. Liczył młodzian lat 18 kiedy wyprawił go wuj do Wilna i Warszawy, opatrzywszy na drogę pewną kwotą pieniędzy. Długo najbliżsi krewni nie wiedzieli o jego losie i miejscu pobytu; dopiero około 1790 r. rozbiegła się wieść po kraju, że nagle Michał Walicki zjawił się w Warszawie, jako pan bogaty, zdumiewający przepychem brylantów i innych kosztowności. Dzieje młodości pokryte mgłą tajemnicy dodawały uroku tej zagadkowej postaci. Różne na tle jego awanturnicznych przygód tworzono powieści. Bułharyn i Rzewuski najobszerniej rozpisali się o Walickim. Nie zgadzają się atoli w wielu szczegółach, zkąd powątpiewać się godzi o autentyczności źródeł. O przygodach młodości Walickiego, zda się nam najwiarogodniejszą powieść Bułharyna, jako poczerpnięta z ust wuja i opiekuna. Według tego, zawdzięczał młodzian pierwsze w świat wystąpienie pomocy księcia Sapiehy, który udając się do Wiednia wziął go za towarzysza podróży. Co do dalszego losu Michała Walickiego, wszyscy zgadzają się na to, że nadzwyczajnej zręczności w grze bilardowej i ogromnemu powodzeniu w kartach zawdzięczał zebrany tak prędko majątek. Magnat Węgierski, ks. Esterhazy, miał być drugim prote-

¹⁾ W pamiętniku, pod tytułem: *Wospominanija, otrywki iz widiennawo, słyszannawo i ispytannawo w żyzni. Peter. 1844—1849.*

ktorem Walickiego. Poznał go w Wiedniu i polubił; następnie zawiózł do Paryża, gdzie do najpierwszych wprowadził go salonów. Gra w karty była najulubieńszą i najmodniejszą zabawą owych czasów. Grano wszędzie—w najwytworniejszych, królewskich salonach, zarówno jak w przybytkach ubóstwa a nawet nędzy. Opowiadają, że młody gracz nasz, przywieziony przez ks. Esterhazego do Paryża, prezentowany za pośrednictwem ks. Polignac'a królowi Ludwikowi XVI i Maryi Antoninie, stał się wkrótce ulubieńcem całego dworu. Grał w karty z księżętami, z Królem i Królową, i ciągle zbierał w grze tryumfy, bo szczęście nie odstępowało go na chwilę. O podróżach Walickiego po innych krajach, mianowicie po Niemczech i po Włoszech, nie posiadamy pewnych, wiarogodnych szczegółów. Wiadomo tylko, że we Włoszech kupił tytuł hrabiego. W czasie pobytu w Polsce, w epoce sejmu czteroletniego, postarał się o godność Podstolego koronnego. Kiedy wyjechał powtórnie z Polski, nie wiemy; atoli wyczytujemy w pamiętniku Łubieńskiego, że 1796 roku znajdował się już w Berlinie, gdzie grał znów w karty, zdumiewał Prusaków bogactwem swego zbioru i hojnemi ucztami. Łubieński zaprezentował go u dworu i tak o tem pisze:

„Raz na wieczorze u następcy tronu, widząc, że żona jego przypatruje się pięknym porcelanom,

powiedziałem, że jeszcze piękniejsze malowanie francuzkie. Zapytała zadziwiona, czy mógłbym jej co w tym rodzaju pokazać? Powiedziałem, że sam nie mam, ale jest Polak w Berlinie, co ma całą historję naturalną Buffona malowaną na porcelanie. Gdy zapytała się, czy nie możnaby widzieć i czy nie sprzedałby tego zbioru, odrzekłem: Wątpię żeby chciał sprzedać, ale pokaże, jeżeli jej Królewiczowska Mość pozwoli mu przywieść i zaprezentować się. Z największą ochotą, odpowiedziała królewiczowa. Na tę rozmowę Król przyszedł i rzekł: To niech jutro przyjedzie o 11 z rana. Królewiczowa dodała: Poszlę po niego karete.

„Zaraz nazajutrz odwiedziłem Walickiego; przyjął tę wiadomość z największą wdzięcznością, dawno pragnął, aby mógł być prezentowany u dworu. Ofiarował i klejnoty swoje pokazać, które miał bardzo piękne, a wygrał na dworze Królowej francuzkiej, najwięcej od hr. d'Artois, później Karola X. Posłał zaraz po tragarzy z kosztami i zabrał dwadzieścia tuzinów porcelany na ośmdziesiąt osób. Przed godziną 11 pojechałem do Królewicza z oznajmieniem, że wkrótce stawi się Walicki; prosiłem oraz adjutanta, aby kazał wpuścić tragarzy z porcelaną i pokazać gdzie mają złożyć. Nadjechał wkrótce Walicki, prezentowałem go królewiczowej i następnie Królowi, który później przybył. Bardzo podobały się im porcelany. Zapy-

tali go czyby im nie odstąpił? ale najuprzejmiej odpowiedział: Zachowam je, jako najmilsze pamiątki Paryża. Król wtedy do mnie rzekł: Chciałbym, aby na tydzień mi pozostawił, każę albowiem w mojej fabryce zrobić taki garnitur na podarunek dla królewiczowej. Powiedziałem Walickiemu; zezwolił aby zostały do woli królewskiej. Wyszedł zaraz potem Walicki i przyniósł klejnoty. Admirowali więcej gust w ułożeniu aniżeli wartość, chociaż było zapewne za 30,000 dukatów; bardzo zatem dobrze widziany odjechał, mnie zaś dziękował za wstęp utworowany mu do dworu.”

Odtąd przepędzał starosta wieczory w towarzystwie Walickiego u królowej i u księżny Ferdynandowej; o godzinie 11 odwoził go do resursy, gdzie grał w karty. Pownego razu zaprosił tenże Łubieńskiego na wspaniałe śniadanie, które dawał co miesiąc dla Berlińczyków. Gdy okazał mu zadziwienie, że tak wielkie ponosi wydatki, Walicki pokazał księgi rachunkowe i rzekł: „Jakże mam żałować dwustu dukatów raz na miesiąc na śniadanie, gdy oni dają mi co każdy tydzień 300 dukatów. Dotąd mi ciągle szczęście sprzyja.”

W dopełnieniu pomienionych szczegółów z życia Walickiego dodamy, że wkrótce po owem spotkaniu z Łubieńskim, powrócił do Polski. Mieszkał za rządów pruskich w War-

szawie i kupił dom przy ulicy Długiej. Słynny gracz zamięłowany był nietylko w brylantach, ale i w dziełach sztuki, mianowicie w obrazach; to też zebrał piękną galeryę z utworów celniejszych mistrzów. Bogaty zbiór jego osobliwości odznaczał się wielką różnorością: obok pięknych emaliowanych tabakierok, porcelany i t. p. podziwiano drogie kamienie, w szeregu których szczególną zwracał uwagę szafir zmieniający swój kolor przy zachodzie słońca; z okoliczności tegoż pani Genlis napisała romans, znany w polskim przekładzie pod tytułem: „Szafir czyli talizman szczęścia.” Po kilkoletnim pobycie w Warszawie przeniósł się Walicki do gubernii Grodzieńskiej, gdzie kupił majątek Jeziory, później osiadł w Wilnie we własnym domu na Bakszcie. Nazwisko Walickiego zespoliło się ze wspomnieniami, świadczącemi o jego hojności i dobroczynności. W r. 1806 założył fundusz dla ośmiu swych krewnych, przeznaczając na ich utrzymanie 12,000 złotych rocznie; sumę tę oparł na majątku Jeziory. Później przeznaczył na mieszkanie tychże uczniów dom swój na Bakszcie ¹⁾. Uniwersytetowi darował bogaty zbiór minerałów, konchi innych osobliwości, których wartość miała wynosić do

¹⁾ Fundusz ten wcielono od 1834 r. do wileńskiego szlacheckiego instytutu.

dwóch milionów złotych. Umarł 1828 r., pochowany na cmentarzu Bernardynów ¹⁾.

Takie były koleje życia słynnego z osobliwych przygód człowieka, który równie w Berlinie jak niegdyś w Paryżu otrzymał wstęp do dworu i pożądanym wszędzie był gościem.

Wspomnieliśmy wyżej, że w interesie Guzowa wypadło Łubieńskiemu odnieść się do samego Króla. Wkrótce nastąpiła się mu sposobność do przedstawienia prośby. Pewnego razu oświadczył Król, że w dowód swej przychylności chce mu darować jakie starostwo. Zagadniony w ten sposób Łubieński odpowiedział: „Przyjąłbym z wdzięcznością od Waszej Królewskiej Mości starostwo guzowskie dla mojej matki.” „Nie mogę, odparł Król, bo już zahypotekowane na rzecz ministra Hoyma, ale wybierz inne.” Łubieński na to: „Zachowam wdzięczność w sercu mojem, ale nie mogę przyjąć łaskawego daru Waszej Królewskiej Mości, nie chcąc stracić zaufania ziomków.” Spodobało się to Królowi i rzekł: „*Vous agissez en brave homme desinteressé*”. Wtedy starosta powtórzył prośbę o dozwole nie Hoymowi sprzedaży Guzowa. Król wydał natychmiast przychylne rozporządzenie.

Nadarzyła się wkrótce Łubieńskiemu powtórnie sposobność skorzystania z zawiązanych

¹⁾ Przechadzki po Wilnie i jego okolicach Jana ze Śliwina, str. 222—223. Wilno 1856.

stosunków w Berlinie. Zaproponowano mu kupno intratnego starostwa Koskiego. Otrzymał ten majątek w darze hrabia Brühl, dawny gubernier następcy tronu, nie mając atoli zamiaru mieszkać w Polsce, chciał sprzedać pod nader korzystnymi warunkami, żądając tylko 40,000 talarów i na lat kilka rozkładając wypłatę. Spisano już układ z Łubieńskim, gdy dawny dzierżawca Kosk, regent Szymanowski, zgłosił się do niego z prośbą, aby na rzecz jego zakupił starostwo. Uniósł się szlachetnością starosta i przelał swe prawa na Szymanowskich, którzy wkrótce odprzedali Koski za 90,000 talarów.

Na mocy układu z ministrem Hoymem otrzymał Łubieński Guzów w zamian za Szczytniki. Powróciwszy do kraju zajął się szczerze gospodarstwem, najprzód w Zagości, następnie w Guzowie, który objął po śmierci matki. Ze zmianą stosunków politycznych pod panowaniem pruskim, gospodarstwo przedstawiało jedyne pole do rozwinięcia działalności. W skutek utraty intratnych starostw i nowych nałożonych na własność ziemską ciężarów, zachwiał się byt nawet wielce zamożnych niegdyś rodzin. Jedyne w pracy i oszczędności znajdowano środek ratunku. Raz atoli jeszcze za czasów pruskich zmuszony był starosta Nakielski do wystąpienia na widowie publiczną. Było to po śmierci Fryderyka Wilhelma II-go, zaszłej 16 listopada 1797 r. Nowy monarcha Fryderyk Wilhelm III,

podczas koronacyi w Królewcu mianował wielu ze szlachty baronami i hrabiami, w tej liczbie Działyńskiego, i Łubińskiego. Otóż obywatele województw pozostających pod panowaniem pruskim zwrócili się do nich, aby pojechali w deputacyi z powinszowaniem wstąpienia na tron Królowi. Nie mógł wymówić się Łubiński od tej posługi i udał się z towarzyszem do Berlina.

Skoro deputaci otrzymali posłuchanie, Działyński, jak sam sobie życzył, przemawiał do Króla, ale zmieszany obecnością mnóstwa osób, uprosił Łubińskiego, aby wystąpił z przemową do królowej. Nie podaje treści tych mów w pamiętniku, ale zapisał pewną okoliczność, która niemałego nabawiła go kłopotu. Kiedy królowa odpowiadała na jego mowę, spostrzegł starosta w naszyjniku jej i w dyademie klejnoty z koron, które widział niegdyś w skarbcu krakowskim. Nie mógł ukryć wzruszenia i pomieszania, co nie uszło uwagi królowej; zatem po skończonej audyencyi zapytała przez hrabiego Massau o przyczynę. Rozumie się, że zagadniony Łubiński nie chciał z początku wyznać prawdy; atoli nie przestała królowa na pierwszym tłómaczeniu i tak nalegała usilnie, że w końcu przyznał się szczerze, jako przyczyną jego pomieszania było zauważane podobieństwo klejnotów w jej naszyjniku do zdobiących korony, które złożone były niegdyś w Krakowie.

„Poprzestała królowa na tem tłumaczeniu,”— pisze Łubiński,— „rozkazała odnieść klejnoty do skarbcza, i odtąd już ich nigdy nie używała. Wieczorem bardzo łaskawie ze mną rozmawiała i odnowiła obietnicę odwiedzenia mię na wsi, gdy przyjedzie z Królem do Warszawy.”

Z okoliczności zapowiedzianych odwiedzin, wróciwszy do Guzowa musiał przygotować się starosta na przyjęcie królowej. Przyjechał Król pruski z żoną w maju 1798 r. do Warszawy. Łubiński przedstawiał żonę królowej. Przyjęła ich nader uprzejmie i zapytała, czy daleko mieszkają od Nieborowa? przyrzekła bowiem księżnie Radziwiłłowej, że przyjedzie do niej na obiad. Odpowiedział, że dobra jego są na trakcie, i że poczta jest w jego wsi, położonej pół mili od Guzowa, w którym sam mieszka. Zwróciła się wtedy królowa do pani Łubińskiej z zapytaniem, czy nie zechcą przyjąć jej w tej wsi, jak będzie jechała do Nieborowa? Następnie, otrzymawszy uprzejmą odpowiedź rzekła: „Eh bien, e'est une partie arrangée, nous dejeunerons chez vous;” poczem zwracając się do starosty, dodała: „Dites un mot à ma grande maitresse, madame Voss.”

Zapowiedziała swój przyjazd królowa nazajutrz t. j. na 13 maja. Nie mając więc czasu do stracenia, nakupił Łubiński mnóstwo owoców i wyjechał z Warszawy natychmiast po balu wydanym dla Króla. Pośpieszyli do wsi, gdzie

miało być śniadanie. Wybrawszy najpiękniejszą miejscowość, rozbito dwa namioty dla królowej i jej orszaku, oraz szałas dla ludzi, którzy wyjść mieli na jej spotkanie. Namioty ustrojono kwiatami i drzewami pomarańczowemi. Na stole zastawiono obficie owoce, konfitury, cukry i t. p. Nadszedła królowa w orszaku ochmistrzyni i pani dworu o godzinie 10-tej. Spotykały ją dzieci z koszykami owoców. Skoro zatrzymał się powóz, zwróciła się do ochmistrzyni pani Voss i zapytała: Czy wysiadziemy?—Jak nie wysiąść, kiedy tak piękne zastawiono śniadanie? odrzekła Vossowa. Wysiadła więc królowa z powozu, powitała uprzejmie gospodynię i jej dzieci, zjadła z upodobaniem owoce i zabrała wszystkie pomarańcze do karety. Chłopi zebrani w szałasach wysłali z grona swego dwie Polki i dwie Niemki z zaproszeniem do królowej, aby przypatrzyła się ich tańcom. Zbliżyła się więc do nich i zabawiła się widokiem ochoczych tanów i oglądaniem kwiatów, gdy tymczasem pani Vossowa i inne damy z orszaku sprzątały z wielką skwapliwością zastawione na stole przysmaki. Tak zajęły się panie śniadaniem, że zapomniały o obiedzie w Nieborowie. Sam więc gospodarz Łubieński uważał za obowiązek ostrzedz ochmistrzynię dworu, że królowa spóźni się do Nieborowa, gdzie obiecała się na godzinę drugą. Spostrzegła się pani Vossowa dopiero, że

już wpół do trzeciej, zatem zmieszana pobięła do królowej i dała hasło odjazdu.

Z ustępem tym zamykamy szereg wspomnień z czasów rządów pruskich w Warszawie. Pomijamy szczegóły z domowego życia, dotyczące osobistych lub rodzinnych stosunków autora pamiętnika, jako nie budzące ogólnego zajęcia.

IV.

Wypadki z końca 1806 r. Deputacya z Warszawy do Cesa-
rza Napoleona. Przyjęcie deputacyi w Poznaniu. Przyjazd
Napoleona do Warszawy. Przedstawienia panów i dam war-
szawskich. Zabawy. Ustanowienie Komissyi Rządzącej na po-
czątku 1807 r. Feliks Łubieński dyrektorem wydziału Spra-
wiedliwości i Wyznań. Działalność Łubieńskiego za czasów
dyrektoryatu. Konstytucya Księstwa Warszawskiego. Łubień-
ski Ministrem Sprawiedliwości. Król Saski w Warszawie
w końcu 1807 r.

Ważne wypadki zaszły w końcu 1806 roku
skruszyły potęgę militarną Pruss, — dzieło Fry-
deryka W-go. Napoleon, po walnem zwycięż-
twie pod Austerlitz, utworzył z mnóstwa księstw
niemieckich Związek Reński pod opieką Fran-
cyi. Rozdawca koron królewskich i książęcych
stał wtedy u szczytu sławy. Pogromca Au-
stryi postanowił z kolei upokorzyć Prussy, któ-
re, zaufane w siłę swej armii, nie chciały podpi-
sać się na proponowane przez niego warunki
przymierza. Zawiązały Prussy nową koalicję i
rzuciły rękawicę zwycięzcy z pod Austerlitz.
Fryderyk Wilhelm III w przededniu walki nie
tał obaw w poufałych zwierzeniach; dodawała
mu atoli serca żona, piękna, pełna rycerskiego

animuszu królowa, która przebiegała na koniu szeregi wojskowe i zagrzewała do walki z nieprzyjacielem. Na początku Października wystąpiły wojska pruskie do boju, ożywione najlepszym duchem, nadzieją zwycięstwa. W d. 14 tegoż miesiąca, w bitwach pod Jeną i Auerstädem większa połowa armii pruskiej dostała się do niewoli, poległo na placu 25,000 ludzi, reszta rozproszona. W dziesięć dni po odniesionem zwycięstwie zajęli Francuzi stolicę Pruss; w ciągu jednego miesiąca od rozpoczęcia kampanii, poddały się najobszerniejsze twierdze nad Elbą i Odrą. W dniu 5 Listopada przednie straże Francuzów znajdowały się już w Poznaniu, dnia 9 t. m. stanął tam z głównym sztabem marszałek Davoust i przyjmował deputacye polskie. Najlichniesza z tych deputacyj udała się do Berlina i przedstawiła Napoleonowi d. 19 Listopada. Zwycięzca uczynił obietnicę ogłoszenia niepodległości w Warszawie, kładąc warunek zebrania siły zbrojnej wynoszącej do 40,000 ludzi. Generał Dąbrowski otrzymał rozkaz organizowania siły zbrojnej. Tymczasem marszałkowie Davoust, Lannes i Murat posuwali się pośpiesznie z wojskiem ku Warszawie. Gubernator Köhler wydał d. 26 Listopada pożegnalną odezwę do mieszkańców; tegoż wieczora wymaszerowało wojsko pruskie, a we dwa dni później weszły już wojska francuzkie pod dowództwem księcia Bergu, Joachima Murata szwagra Napo-

leona. Tak więc w ciągu niespełna dwóch miesięcy od rozpoczęcia wojny, cały kraj po Wisłę, zwany wówczas Prussami Południowemi, znajdował się już w rękach Francuzów.

W kilka dni po wnijsciu wojsk francuzkich do Warszawy, ksiązę Bergu jako namiestnik Napoleona, wydał dekret znoszący rząd pruski w prowincyach polskich zwanych Prussami Południowemi. Na miejsce kamery i regencyi utworzono dwie izby: najwyższą wojenną i administracyi publicznej, oraz najwyższą sprawiedliwości. Do składu izb wstąpili sami Polacy. Prezesem pierwszej mianowany Ludwik Gutakowski, dyrektorem czyli wice-prezesem Michał Kochanowski; prezesem drugiej hr. Ossoliński, dyrektorem kasztelan Gorzeński.

Feliks Łubiński znajdował się wówczas w majątku swym w Guzowie. Wybrano go do deputacyi, której polecono wyjechać niezwłocznie na spotkanie Napoleona. Na drugi dzień po utworzeniu izb najwyższych administracyi i sprawiedliwości, przyjechał generał francuzki do Guzowa, z poleceniem od księcia Bergu do Łubińskiego, aby stawił się w Warszawie.

Namiestnik Napoleona mieszkał w pałacu Brühlowskim. Łubiński, przyjechawszy do Warszawy, zameldował się księciu Bergu przez adjutanta. Posłuchanie było nader krótkie: oświadczył tylko ksiązę Łubińskiemu, że wybrany w deputacyi do Cesarza ma pośpieszać

jak najprędzej na jego spotkanie; aby zatem udał się do Gutakowskiego, z którym porozumie się względem instrukcyi i innych szczegółów

Do deputacyi, oprócz Gutakowskiego i Łubieńskiego, wyznaczono Aleksandra Potockiego i generałów Giełguda i Gorzeńskiego. Cesarz przenosił się z miejsca na miejsce tak szybko, że nikt, nawet ksiązę Bergu, nie mógł wskazać gdzie znajduje się w danej chwili. Deputowani więc puscili się w podróż, nie wiedząc gdzie im wypadnie zatrzymać kroki. Głoszono, że Napoleon znajduje się już w pobliżu Warszawy i prawdopodobnie w Błoniu. Podążyli tam i zatrzymali się na noc; aliści przybył za nimi żandarm z wezwaniem do generała Giełguda, aby powracał i objął komendę nad formującym się wojskiem, innym zaś deputowanym polecono, aby udał się do Łowicza. Wyruszyli nazajutrz, ale i w Łowiczu nie było słychać o Napoleonie; postanowili więc czekać na dalsze rozporządzenie lub pewniejszą informację. Tymczasem za radą Łubieńskiego wezwano na miejsce Giełguda do deputacyi Jana Łuszczewskiego, przebywającego natenczas w Guzowie. Stawił się wezwany tegoż wieczora w Łowiczu. Wszyscy deputowani zadowoleni byli z przyjazdu nowego członka, łączyła ich bowiem dawna koleżeńska znajomość z czasów sejmu czteroletniego. Rozmawiał do późnej nocy Łubieński z Łuszczewskim, wypytując o szczegóły

pobytu w Guzowie, o żonę i o dzieci, kiedy nagle usłyszeli silne pukanie do drzwi. Otworzono i ujrzano na progu generała Dąbrowskiego. Zaledwie wymienili kilka słów powitania, generał wyraził zadziwienie, że dotąd pozostają deputowani w Łowiczu i nie spieszą na spotkanie Napoleona, mówiąc: Cesarz na was tylko czeka w Poznaniu, i pojąć nie może, że dotąd Polacy naprzeciw niemu deputacyi nie wysłali. Wkrótce wyjeżdża do Warszawy, mnie tylko wysłał przodem z Wybickim. To rzekłszy pożegnał znajomych. Nie chciał zatrzymać się ani na chwilę, tłumacząc się, że ma nader pilne zlecenia.

Deputowani złożyli naradę i wypadło, że równo ze świtem wyruszą pocztowemi końmi do Poznania. Nikt z nich wyjeżdżając z Warszawy nie myślał o tak odległej podróży, gdyż spodziewali się, że spotkają Cesarza w Błoniu. Okazało się, że jedyntylko Łubieński miał przy sobie pięć dukatów w złocie; pożyczył więc u kupca Zawadzkiego zł. pol. 600 na opędzenie wspólnych kosztów podróży. Gorzeński, jako mający liczne stosunki w Poznaniu, zobowiązał się, że otrzyma tam fundusz na zaspokojenie wydatków z powrotem.

Zatrzymali się nasi podróżni w Kutnie, gdzie udali się na śniadanie do znajomego obywatela Rzątkowskiego podczaszego plockiego. Podczaszy był okazałej postaci i nosił się w polskim

stroju. Powziął myśl Łubieński zaproszenia go do przyjęcia udziału w deputacyi i zwierzył się z niej kolegom. Zaprotestował zrazu Gutakowski, twierdząc, że nie mają upoważnienia do wybierania nowych deputowanych. Przekonał go atoli wkrótce Łubieński tym argumentem, że widok polskiej sukni uświetni deputacyę w oczach Francuzów, nieprzyzwyczajonych do tego stroju. Zmieszał się Rzątkowski otrzymawszy tak niespodziewane wezwanie, przyjął atoli chętnie i pośpieszył za innymi do Poznania.

Stanęli deputowani na miejscu o północy. Całe miasto zapchane było wojskiem; zaledwie znaleźli nocleg w jakiejś brudnej szynkowni, gdzie przesiedzieli noc całą na stołkach, oczekując z niecierpliwością nadejścia poranku. O godzinie siódmej udał się Łubieński z kolegami do pałacu Działyńskiego. Tu dowiedzieli się, że w istocie już od dni kilku spodziewano się ich przyjazdu. Wskazał Działyński wyznaczoną dla nich kwaterę, i napisał list do marszałka dworu cesarskiego, z doniesieniem o przybyciu deputowanych z Warszawy. Odebrano odpowiedź o godzinie dziewiątej, z wezwaniem stawienia się na audyencyi u Cesarza o godzinie jedenastej. Oto ciekawsze szczegóły przyjęcia zapisane w pamiętniku Łubieńskiego:

Napoleon mieszkał w gmachu po-jezuickim, przeistoczonym na dom rządowy za czasów pruskich. „W pierwszym salonie, pisze Łubień-

ski, zastaliśmy marszałka dworu, który nas bardzo grzecznie przyjął, nadto wielu generałów, adjutantów i t. d. Oświadczył natychmiast marszałek, że zamelduje nas Cesarzowi. Czekaliśmy kilka minut z generałami, wszystkich oczy zwracały się najwięcej na Rzątkowskiego, ubranego w suknie polskie, z ogoloną głową. Wróciwszy wezwał marszałek deputację. Posunąłem się chcąc drzwi otworzyć, ale bardzo grzecznie powiedział: *C'est le devoir de ma charge*. Odstąpiłem natychmiast i puściłem przed sobą Gutakowskiego, za mną postępował Gorzeński, po nim Potocki, Łuszczewski, Rzątkowski. Rozumieliśmy, że tam Cesarz będzie; atoli nie było w salonie nikogo prócz Talleyranda ministra spraw zagranicznych. Zamieniliśmy ukłony; powiedział, że Cesarz czeka nas w gabinecie. Posunąłem się znowu z myślą otworzenia drzwi, ale Talleyrand, postępujący powoli z powodu sparaliżowanej nogi, rzekł: *C'est à moi de vous introduire*. Otworzył tedy i rzekł: *Entrez, Messieurs*. Tymże weszliśmy porządkiem, a za nami minister spraw zagranicznych, sam tylko z Francuzów; po potrójnym ukłonie, po każdym czyniąc po kilka kroków, zbliżył się do Cesarza. Stał Napoleon w pośrodku ściany, okolonej przynajmniej czterdziestu chorągwiemi zabranemi Prusakom. *Tropheum* ładne i wspaniałe, ale z prostotą bez żadnych bogactw ustrojone. Żaden z generałów, których widzie-

liśmy przed chwilą, nie był tak skromnie ubrany. Tabakierkę miał w rękę, którą często otwierał. Skłonił z łaskawym uśmiechem głowę. Gutakowski staruszek jak mógł powiedział mowę; nie poddawałem mu, żeby nie zwiększać jego zmieszania. Cesarz, widząc utrudzenie Gutakowskiego, nieco przed końcem przerwał, i obracając się do mnie, rzekł: *Vous êtes des Varsoviens?* Odpowiedziałem: *Nous sommes des Polonais, qui viennent vous rendre leurs hommages.* Na to odrzekł: *Oui, oui, vous êtes des Varsoviens.* Wyznaję, że zniknęły wtedy natychmiast marzenia, jakie mogłem tworzyć względem przywrócenia Polski. Uważałem z nacisku, z jakim powiedział to po raz trzeci, że nie chciał wymówić słowa „Polska”; jak mi potem mówiono dla tego, ażeby nie ściągnąć przeciw sobie Austryaków, gdyby nas jako od Polski przysłanych przyjmował, i cofnąłem się ze trzy kroki. Gdyby rzecz odemnie samego zależała, byłbym z najgłębszem uszanowaniem ukłonił się i wyszedł; skoro nie mamy być uważani jako od kraju wysłani, ale tylko od miasta. Widziałem po Talleyrandzie, który trzy kroki stał za mną, że zrozumiał co znaczyło moje cofnięcie i posunął się bliżej ku mnie, może z myślą zatrzymania. Cesarz tymczasem mówił o rzeczach mniejszej wagi, zapytywał czy spokojnie przejechaliliśmy, czy wojsk nieprzyjacielskich niema, czy księżę Bergu w Warszawie, czy Rosyianie są jeszcze

w kraju? Tak mówiąc przybliżył się do mnie. Gdy mu na żadne z powyższych pytań nie odpowiedziałem, rzekł wskazując na Rzątkowskiego: *C'est un senateur?* Odrzekłem: *Il est de la noblesse polonaise comme nous.* Ale on powtórzył: *C'est un senateur.* Nie dziwuję się, umysł jego był uderzony podobieństwem stroju do ubioru Radziwińskiego wojewody gnieźnieńskiego, który mu się prezentował w deputacji z poznańskiego."

Następnie czynił Napoleon kilka zapytań, mianowicie względem dróg, przepraw, magazynów, oraz gotowości Polaków do boju, poczem pożegnał skinieniem głowy. Talleyrand pełen uprzejmości odprowadzał deputowanych: i żegnając się we drzwiach rzekł: „Cesarz kazał mi oświadczyć, że będziecie u niego na obiedzie o piątej wieczorem.”

Skoro o oznaczonej godzinie stawili się deputowani na pokojach cesarskich, zastali już zgromadzonych marszałków i dygnitarzy. Pomimo zbliżającej się pory obiadowej nieustannie uwijali się urzędnicy z raportami. Nie odstępował Cesarza książę Bassano razem z czterema sekretarzami. Kiedy podano do stołu, ukazał się niebawem Napoleon pogrążony w zamysleniu; ale rozjaśniło się jego oblicze, gdy powiódł okiem po sali. Nawet przy obiedzie nie zażywał wypoczynku, lecz wydawał różne polecenia generałom, którzy natychmiast wstawali

od stołu. Wspaniała była zastawa, wielka ilość potraw i wina; ale wszystko odbywało się z pośpiechem, jak w obozie. Potrawy podawano jedne za drugimi jak pocztą; kto nie chciał być głodny, musiał uwijać się z jedzeniem. Łubińskiemu dostało się miejsce przy Talleyrandzie. Wypytywał go minister o obecne usposobienie Polaków; atoli w ciągu krótkiej rozmowy nie wspomniał ani słowa o zamiarach Napoleona względem Polski, unikając widocznie tak drażliwego przedmiotu. Po obiedzie rozmawiał Cesarz z Łubińskim, mianowicie pytał się, wielu ma synów i czy młodzież staje w szeregach wojskowych? Odpowiedział, że ma siedmiu i jednego zięcia, i że wszyscy są obecnie w Warszawie. „I ja pośpieszę tam natychmiast,” odrzekł Cesarz. W końcu rozmowy Łubiński zapytał: czy nie ma Jego Cesarska Mość do przesłania jakich rozkazów? Wtedy Napoleon zawołał koniuszego i rozkazał dać deputowanym konie ze stajni, przeznaczonej na usługi dworu. Przy pożegnaniu powtórnie oświadczył, że wkrótce sam przybędzie do Warszawy.

Dnia 14 grudnia wrócili deputowani, w dniu zaś następnym wydelegowali z grona swego Łubińskiego, aby zdał sprawę w izbie najwyższej administracyjnej. Gutakowski udał się z raportem do księcia Bergu. Wice-prezes Kochanowski zastępował go w izbie. Zastanowiło Łubińskiego na samym wstępie, że znalazł po-

między urzędnikami bardzo wielu z krańcowego liberalnego stronnictwa, których zwano popolicie Jakóbinami. Znajdował się w ich szeregu Ignacy Zajączek, brat generała. Nie podobało mu się, że Łubieński mówiąc o Gutakowskim, nazwał go J. W. Prezesem. Przerwał mu i zawołał: Niema tu jaśnie wielmożnych, tylko obywatele. Zawiązała się ztąd żywa rozprawa, w ciągu której Zajączek oświadczył: W terażniejszym czasie wolno jest każdemu przybierać według upodobania nazwisko, Łubieński na to: Ja moich przodków się nie wyrzeknę.

Bawienie się w demokrację było jedną z charakterystycznych cech tej epoki. Naśladowcy francuzkich republikanów przybierali dla wyróżnienia się najdziwaczniejsze nazwiska.

Kochanowski, wice-prezes, przyjął uprzejmie Łubieńskiego i doniósł mu, że synowie jego zaciągnęli się już do wojskowych szeregów; następnie poprosił go, aby zajął miejsce pomiędzy członkami izby. Tymczasem nadszedł Gutakowski i wskutek wniosku Łubieńskiego zdał sprawę z przyjęcia deputacyi przez Napoleona; doniósł zarazem, że w tych dniach przyjedzie Cesarz do Warszawy.

Przed ukończeniem sessyi powierzono Łubieńskiemu, jako nowemu członkowi izby, akta mennicy, dla ułożenia sprawozdania o jej stanie. Przygotowywano się do uroczystego przyjęcia Napoleona, gdy niespodziewanie przyjecha

18 Grudnia wieczorem. Nazajutrz przyjmował deputacyę stojąc pod baldachimem, wpośród zdobytych chorągwi, otoczony ministrami i marszałkami. Łubieński znajdował się w gronie deputowanych. Kochanowski miał mowę do Cesarza, który odpowiedział nie doczekawszy się końca przemowy. Nie przytacza autor pamiętnika całej odpowiedzi Napoleona; wspomina tylko, że wzywał obecnych, by użyli wszelkich środków w celu wystawienia siły zbrojnej w ilości 40,000 ludzi. Radził, aby wezwano niewiasty mówiąc: „One to zrobią prędzej niż wy; co innego ja, w moim kraju mam w kieszeni wszystkich Francuzów.” To powiedziawszy potrząśł kieszeniami. Z okoliczności tej Łubieński pisze: „Spojrzałem na tych wszystkich magnatów Francuzów; zdaje się, że to uczuli i oczy spuścili. Więcej niż godzinę gadał; jeden tylko Bassano potrafił spamiętać i sporządkować logicznie co Cesarz chciał powiedzieć.”

Po ukończonej audyencyi udał się Łubieński na sessyę izby administracyjnej. Odczytał spis dokumentów, następnie zauważył, że nie dość jest przejrzeć akta, lecz należy przekonać się na miejscu o stanie mennicy; poczem wypada rozstrzygnąć według jakiej stopy ma być bita moneta, czy pruskiej, czy dawnej polskiej, i jaki ma być stempel. Podziękowano mu za sprawozdanie i złożono w aktach do dalszej decyzji. Prezydujący Gutakowski zapytał członków, czy nie



mają do przedstawienia jakich wniosków? Wtedy Łubieński wystąpił z zapytaniem, czy wydano odpowiednie rozporządzenia względem wojska, jego żywności i żołdu? przyczem dodał, że wracając z Poznania słyszał o różnych nadużyciach, których się dopuszczało wojsko cesarskie. Na to prezydujący odpowiedział: że już są ustanowieni prefekci i podprefekci, od nich oczekują się rapporta i im tymczasowo powierzono administrację. Dodał w końcu, że nie można wydawać obecnie żadnego nowego rozporządzenia, gdyż spodziewane jest lada chwila ogłoszenie składu nowego rządu i zwiniecie świeżo utworzonej izby administracyjnej.

Napoleon piątego dnia po przyjeździe do Warszawy wydalili się za Wisłę, w towarzystwie księcia Neufchatelu, marszałka Berthier; powrócił po kilku dniach, w sam Nowy Rok 1807. Z okoliczności pobytu Cesarza w Warszawie, gazety ówczesne donoszą o przedstawieniach i uroczystościach dworskich. Dnia 7 Stycznia siedmdziesiąt dam pięknie i bogato ubranych ukazało się na pokojach zamkowych, jak pisze „Gazeta Warszawska.” Kiedy Talleyrand książe Benewentu, wielki podkomorzy dworu, oznajmił, że Cesarz nadchodzi, powstały wszystkie panie. Szambelanowie: książe Michał Radziwiłł, Aleksander Potocki i Broniec, przedstawiali po kolei damy. Napoleon powiedział każdej coś uprzejmego i grzecznego.

Licznie zgromadzili się goście płci obojęd na pokojach zamkowych 13 Stycznia wieczorem Księżę Bergu (Murat), ks. Benewentu (Talleyrand) i generałowie francuzcy zaprosili damy do gry w karty. Kiedy zajęli już goście miejsca przy stolikach, wszedł Napoleon i przypatrywał się grającym. Po skończonej grze nastąpił wielki koncert; podczas tego damy siedziały na krzesłach zastawionych w półkole, Cesarz w pośrodku nich, wszyscy zresztą mężczyźni stali po za krzesłami damskimi. Po koncercie zastawiono wielką kolację dla samych pań, między niemi przygotowano jedno tylko miejsce dla Cesarza. Nie usiadł jednak, przechadzał się naokoło stołu i rozmawiał kolejno prawie ze wszystkiemi damami, poczem udał się do swego gabinetu. Dnia 17 Stycznia dawał bal księżę Benewentu, znajdował się na nim Cesarz i tańczył kontredansa z panią Anastazową Walewską.

Przez cały ciąg zimy tegoż 1807 r. nawiedzali Warszawę znakomici goście. Wkrótce po wyjeździe Napoleona przyjechał poseł turecki, nieco później poseł perski i królewicz Bawarski. Posłowie przesyłali z Warszawy depesze Cesarzowi i czekali na jego odpowiedź. Najdłużej, bo przez cały ciąg wielkiego postu, gościł poseł perski. Spotykano go często na tygodniowych wieczorach u Stanisława Małachowskiego. Towarzystwo posłowi kilku sekretarzy.

Wchodząc do salonu, gdzie zgromadzeni byli goście, zdejmował i zostawiał u drzwi pantofle srebrem haftowane. W ciągu całego wieczora siedział Pers na sofie, obyczajem wschodnim, przypatrując się ciekawie tańczącym damom. Powstał raz tylko, kiedy oznajmiono o przybyciu królewicza bawarskiego. Powitał go schyleniem głowy i przyłożeniem ręki do serca.

Wspomnieliśmy wyżej, że namiestnikiem Cesarza w Warszawie był z początku książę Bergu. Po jego wyjeździe pozostawał w tymże charakterze, przez pewien czas, książę Benewentu (Talleyrand); po nim nastąpił generał Gouvion. Namiestnicy ci dawali obiady i wieczory z powodu różnych uroczystości dworskich, jak np. imienin cesarza i cesarzowej, rocznicy zwycięstw i t. p. Składali im powinszowania członkowie tymczasowego rządu, czyli takzwanej komisyi rządzącej.

Napoleon w czasie pobytu w Warszawie, w pierwszych dniach miesiąca Stycznia, ustanowił komisyę rządzącą, która miała pełnić obowiązki do czasu zawarcia pokoju i ułożenia nowych stosunków. W skład komisyi weszli: Stanisław Małachowski, b. marszałek sejmu czteroletniego, jako prezydujący; oraz członkowie: Ludwik Gutakowski, Stanisław Potocki, Józef Wybicki, Ksawery Działyński, Piotr Bieliński, Walenty Sobolewski i Łuszczewski jako sekretarz. Obok komisyi ustanowiono dyrektoryum,

rozdzielone na pięć wydziałów. Łubieński obrany dyrektorem sprawiedliwości i wyznań, Stanisław Breza spraw wewnętrznych, Jan Nepomucen Małachowski skarbu, ks. Józef Poniatowski wojny, Aleksander Potocki policyi.

Znajdował się Łubieński na posiedzeniu izby administracyjnej, gdy mu doręczono pismo komisji rządzącej z poleceniem, ażeby stawił się niezwłocznie dla wykonania przysięgi jako dyrektor sprawiedliwości. Udał się więc do komisji, gdzie zastał wszystkich członków i prezydującego Małachowskiego. Po wykonaniu przysięgi otrzymał kopię dekretu cesarskiego, stanowiącego rząd tymczasowy. Proszono go, aby, jako prezydujący w dyrektoryacie, rozdał kopię tegoż dokumentu innym dyrektorom.

Komisya rządząca reprezentowała króla; dyrektoryat był niby sejmem, przedstawiał bowiem projekta do zatwierdzenia komisji. Jeżeli zmieniony lub odrzucony projekt zwrócono dyrektoryatowi, wtedy Łubieński jako prezydujący przedstawiał osobiście i domagał się oddania zakwestyonowanego przedmiotu pod rozprawę członków. Pierwszą jego czynnością było wypracowanie projektu organizacyi sądowej. Przekonał się atoli wkrótce, że będzie miał do zwalczania opozycyę, choć większość w komisji przychyliła się stanowczo do jego projektów. Opozycyę stanowili: Stanisław Małachowski, Gutakowski i Stanisław Potocki; po-

zostali członkowie: Wybicki, Działyński, Bie-
liński, Sobolewski popierali Łubieńskiego. To
dodawało mu otuchy do przeprowadzenia nader
trudnego zadania organizacyi sądowej. Z oko-
liczności tej pisze w pamiętniku: „Nie było
w Polsce żadnego sądu zajmującego się stale
wymiarom sprawiedliwości, z wyjątkiem są-
dów zadwornych marszałkowskich w stolicy.
Oprócz statutu litewskiego, na swój wiek dość
porządnego, reszta praw jak w chaosie po vo-
luminach legum bez porządku rozrzucona.
Juryści uważani będąc za uczonych w prawie,
wyperswadowali współziomkom, że niema po-
trzeby uporządkowania praw, kodeksu, proce-
dury. Stanisław August, chcąc nadać krajowi
stałe prawa, polecił Zamoyskiemu uporządko-
wanie zbioru praw polskich. Najwięcej do tej
pracy dopomógł Wybicki: ale ani panowie nie
chcieli poddać się pod jarzmo praw, ani patro-
nowie juryści pod naukę prawa. Cała tedy pra-
ca Zamoyskiego i Wybickiego, potem Trem-
bickiego i dobre chęci Tadeusza Czackiego
stały się daremne.” W końcu pomienionych
uwag, autor pamiętnika dodaje, że w zastarza-
łych uprzedzeniach i w złej woli jurystów, wy-
pada szukać źródła protestacyi przeciwko
wprowadzeniu organizacyi nowego sądowni-
ctwa, któremu poddano się, aczkolwiek niechę-
tnie, jako popartemu rozkazem Napoleona. Ztąd
powstało oburzenie przeciwko osobom, które
otrzymały zlecenie wprowadzenia kodeksu.

Zadanie Łubieńskiego było nader mozolne; jedynie tylko silną uzbrojony wolą pokonał przeszkody i trudy. Zajęty organizacją sądów i licznymi sprawami urzędowania, musiał jednocześnie pracować nad nauczeniem się francuzkiego kodeksu, oraz nad dokładniejszym zgłębieniem praw i procedur pruskich. W studiach nad prawodawstwem pruskim dopomagał mu wielce Bachman, Niemiec rodem z Hanneru, który osiadł w Polsce za rządów pruskich, kupił dobra w Płockiem i pałac w Warszawie. Miał z początku Łubieński przy boku swym Baumana Prusaka, nadzwyczaj zdolnego do odrabiania referatów, ale ten wkrótce porzucił urzędowanie i wyniósł się do Pruss. Miejsce jego zajął Józef Kalasanty Szaniawski, odznaczający się niepospolitemi zdolnościami, o którym autor pamiętnika pisze: „Znałem go od młodości, był dependentem w Kaliszu u pana Ołuckiego wymownego patrona; później straciłem go z oczu. Chodził on na filozofię Kanta nie przeszedłszy szkół przygotowawczych. Potem wdał się w demokrację, i z owego dobrego młodziana, którego dawniej znałem, zrobił się niedouczony a bardzo o sobie zarozumiały; do wielu zmartwień był mi później powodem. Nie wiele robił, bo nie lubił tego, żeby jego praca, tak jak moje wszystkie i moich konsyliarzy, szła pod dyskusyę na naszej sesyi; sądził, że co tylko zrobił, to już jest rzeczą

doskonałą. Mimo tego winienem mu wdzięczność, że wytlómaczył wyszlą w Danii książeczkę o sędziach pokoju; wiele z niej skorzystałem, gdy zaprowadzałem sądy pokoju.”

W szeregu osób, które dopomagały gorliwie przy organizacyi biura i sądów, Łubieński z wdzięcznością wspomina Onufrego i Antoniego Wyczechowskich, Fiszera, Kalinowskiego, Rothera, Morawskiego. Z okoliczności napotykaney opozycyi w komissyi rządzącej przy organizowaniu wydziału sprawiedliwości, pisze między innemi:

„Małachowski ani chciał słyszeć, ażeby minister potrzebował mieć konsyliarzy, kontrolę i biura ekspedycyjne, mówiąc, że tego nigdy nie bywało w Polsce. Gutakowski nie domyślał się o co rzecz idzie, ale słysząc, że tak mówi prezes, potakiwał głową. Nudził się bardzo Stanisław Potocki, wołał tedy nie słuchając wcale pójść za zdaniem Małachowskiego. Wybicki dobrze każdą rzecz pojmował, dziwił się nawet skromnemu budżetowi co do liczby urzędników i co do pensyi. Za jego poszli zdaniem: Działyński, Bieliński, Sobolewski, była zatem większość głosów po tej stronie. Gniewał się Małachowski, ale musiał podpisać.”

Nie mniejsze miał do zwalczenia trudności Breza, dyrektor wydziału spraw wewnętrznych. Najłatwiej pokonywał opozycyę ks. Józef Poniatowski, oświadczając, że złoży rapport Ce-

sarzowi o zachodzących trudnościach w organizacji biura wojny.

Najdrażliwszą była kwestya organizacyi sądów. Stanisław Małachowski, niechętny wprowadzeniu kodeksu Napoleona, chciał widzieć wznowioną organizację dawnych sądów polskich, ztąd protestował przeciwko ustanowieniu po województwach sądów trybunału. Ale i w tem miał za sobą Łubieński większość głosów; działał zresztą zgodnie z wolą Napoleona, który stanowczo oświadczył, że żąda wprowadzenia kodeksu francuzkiego.

W przedmiocie organizacyi sądów pokoju wyznaje Łubieński, że zgrzeszył, nie trzymając się ustaw francuzkich i zaprowadzając podsędków i pisarzy. Z okoliczności tej pisze: „Sprawiedliwie potem na mnie o to powstawali i musiałem się bronić; ale na sessyi Małachowski był za mną, bo wystawiłem, że to są dawne polubowne sądy, że sędziowie pokoju będą bezpłatnie wybierani przez szlachtę, więc potrzeba im dać pomoc w podsędkach, i na to się zgodzili. Gdyby nie udało mi się wtedy, nie potrafiłbym potem nigdy zaprowadzić podsędków; skutek zaś do dziś dnia pokazuje jak są potrzebni.”

Dyrektor sprawiedliwości zabrał się z taką energią do organizacyi sądów pokoju, że porozysłał konsyliarzy, w celu zaprowadzenia tej instytucyi we wszystkich dawnych prowincjach

Polski zajętych przez Francuzów, nie wyłączając województw Chełmińskiego i Malborskiego. Poleciał zarazem, aby mu doniesiono o miejscowościach, które uznają za najdogodniejsze dla założenia trybunałów. Sekretarzowi ks. Szaniawskiemu poruczył Łubieński spolszczenie kodeksu Napoleona; Łabęckiemu dał do przetłómaczenia procedurę; inni otrzymali zlecenie wyszczególnienia obowiązku sądów pokoju, adwokatów, notaryuszów. Ustanowieni sędziowie pokoju, z grona obywateli posiadających zaufanie, gorliwie spełniali swe zadanie. Składane dyrektorowi rapporta o wielkiej ilości spraw zagodzonych, świadczyły wymownie o pożyteczności instytucyi.

W dniu 24 Lutego t. j. wedwa niespełna miesiące po objęciu czynności, wydał dyrektor sprawiedliwości tymczasowe urządzenie postępowania sądowego, które, zatwierdzone przez komisyję rządzącą, ogłoszono w pismach do wiadomości publicznej. W końcu Marca zaprowadzono sądy appellacyjne w pięciu departamentach: Warszawskim, Poznańskim, Kaliskim, Płockim i Bydgoskim; jednocześnie sądy ziemiańskie, w skład których wstąpili po większej części sędziowie z czasów Rzeczypospolitej. Sprawy kryminalne oddano: w pierwszej instancyi pod rozsądzanie sądów ziemiańskich; w drugiej do sądów appellacyjnych. Najwyższy trybunał dla sześciu departamentów ustanowiono

w Warszawie. W utworzonych na wzór dawnych sądach patrymonialnych, rozsądzano sprawy pomiędzy włościanami, oraz panami i włościanami. Właściciel dominium podawał sędziemu appellacyjnemu kandydata na sędziego patrymonialnego. W miesiącu Czerwcu wszystkie władze sądowe były już czynne. Pomieniona atoli tymczasowa organizacya miała wkrótce z wprowadzeniem kodeksu uleść reformie; przygotowanie więc tejże było jednym z najważniejszych zadań dyrektora sprawiedliwości.

W skutek układów zawiązanych w Tylży, zawezwano tam Stanisława Potockiego, członka komissyi rządzącej. Powrócił on do Warszawy we cztery dni pozawarcia pokoju, to jest 12 Lipca 1807 r. Napoleon wezwał członków komissyi, oraz dyrektora wydziału wojny księcia Józefa Poniatowskiego, do Drezna. Komissarze rządzący oddali władzę dyrektorom, prezesem został Łubiński, jako najstarszy, zarządzający wydziałem sprawiedliwości i wyznań.

Napoleon przejeżdżał d. 16 Lipca przez Poznań; według doniesienia gazet, na mowę generała Gorzeńskiego miał odpowiedzieć: Mości panowie, spodziewam się, że będziecie kontenci z nowego położenia, w jakim was postawiłem.

Wiadomość o oddaniu rządów Księztwa Warszawskiego Królowi Saskiemu przyjęto z zadowoleniem.

Łubieński jako prezes, porozumiewając się za dyrektorami innych wydziałów, zajął się ze zwykłą energią bieżącymi sprawami. Dwa razy na tydzień wysyłał do Drezna rapporta, razem z dziennikiem dyrektoryatu, w celu informowania komissyi o biegu spraw krajowych. Doniesiono mu prywatnie z Drezna o nadaniu konstytucyi dla księstwa i o rozkazie wprowadzenia kodeksu Napoleona. Wtedy powziął myśl założenia szkoły prawa i drukarni rządowej. Owocem jego trudów w ciągu kilku tygodniowego prezydowania było, że po powrocie z Drezna, komissya znalazła wszystkie władze rządowe uorganizowane, zaległości wojskowe wypłacone i parękroć sto tysięcy w gotowiznie.

Skoro d. 11 Sierpnia wrócili członkowie komissyi rządzącej do Warszawy, Stanisław Małachowski na sessyi dyrektoryatu ogłosił konstytucyę, oraz w imieniu Króla wezwał dyrektorów, aby pracowali w swych wydziałach do czasu zanominowania rady stanu i ministrów.

Okazało się z relacyi obecnych w Dreźnie członków komissyi, że nie radził się ich Cesarz Napoleon względem nowej formy rządu. Dyktował sam konstytucyę sekretarzowi, księciu Bassano, w przytomności Króla Saskiego i komissyi rządzącej. Kiedy skończył o godzinie 1 po północy, Król do księcia Bassano rzekł: Wyznaję, tak prędko Cesarz dyktował konstytucyę, że nie mogłem jej zrozumieć. Ks. Bassa-

no odpowiedział: Do mnie należy przepisać na czysto i myśl Cesarza uporządkować; zabierze mi to czas do godziny piątej. Dotrzymał słowa i o szóstej rano już był u Króla.

W oczekiwaniu zamiany dyrekcji na ministerium sprawiedliwości, zajął się Łubieński odpowiedniami przygotowaniem, mianowicie projektem urządzenia szkoły prawa i administracji i t. d. Z powodu braku uzdolnionych prawników, przedstawił dyrektor projekt wysłania młodych ludzi kosztem rządu na naukę do Francji. Powstał przeciwko temu Stanisław Małachowski, niechcący pogodzić się z myślą wprowadzenia kodeksu Napoleona. Zaprotestował również przeciwko projektowi założenia szkoły prawa i biblioteki dla prawników oraz drukarni rządowej, ale oświadczył, że jeżeli zechce dyrektor, może to własnym uczynić kosztem. Łubieński kazał powtórzyć pomienione słowa prezesa w protokóle sessyi, rad, że otrzymał upoważnienie do przedsięwzięcia dzieła, spodziewając się, że w niedalekiej przyszłości doczeka się pomyślniejszych warunków do wykonania swego planu.

Minister Schönfeld przybył jako delegowany od Króla Saskiego dnia 3 Października do Warszawy. W kilka dni później rozwiązał w imieniu monarchy komisyję rządzącą, ogłosił nazwiska ministrów i odebrał przysięgę wierności. Dyrektorowie wydziałów zostali odpowiedni-

mi ministrami, z wyjątkiem Brezy, który otrzymał nominację na ministra sekretarza stanu, zaś Jan Łuszczewski objął ministeryum spraw wewnętrznych. Co się tycze mianowania Łubieńskiego ministrem sprawiedliwości, winniśmy tu sprostować błędne ze wszech miar okoliczności, przywiedzione w pamiętnikach Kajetana Koźmiana. Czytamy tam między innymi; że „wydział sprawiedliwości prowadził pod rządem francuzkim Józef Kalasanty Szaniawski“; dalej, że „Łubieński pracował pod jego zwierzchnictwem” i t. d. Wkońcu dodaje, że „Szaniawski pewny urzędu ministra, chlubił się protekcyą udzielaną Łubieńskiemu, gdy ten protegowany przez swoje i rodu swego związki u dworu saskiego, ujrzał przed sobą otwartą drogę do ministeryum. Po wprowadzeniu konstytucyi Napoleońskiej, skoro przyszło do nominacyi ministrów, jakież zadziwienie ogarnęło wszystkich, gdy Szaniawski prokuratorem generalnym a Łubieński ministrem sprawiedliwości mianowany został!” (Pamiętniki Koźmiana obejmujące wspomnienia od 1780 do 1815 r. Oddział II 352—353) W całym przytoczonym ustępie ile słów tyle błędów. Nie posądzamy autora pamiętnika o umyślne fałszowanie faktów; zaznaczamy nawet, że na innem miejscu wspomina z uznaniem o zdolnościach i patrio-tycznej gorliwości Łubieńskiego. Uważamy więc, że Koźmian zgrzeszył tylko ufając zbyt-

nie swej pamięci, lub powtarzając puszczone w obieg w późniejszym czasie tendencyjne wieści, uwłaczające zasługom i dobrej sławie Łubieńskiego. Gdyby autor przed napisaniem powyżej przytoczonego ustępu, zajrzał był przynajmniej do owoczesnych gazet, mianowicie do wiadomości urzędowych z końca 1806 i początku 1807 r., przekonałby się nader łatwo: najprzód, że Szaniawski nie kierował nigdy wydziałem sprawiedliwości; powtóre, że Łubieński został dyrektorem tegoż wydziału i zarazem wyznań, od czasu ustanowienia w Warszawie przez Napoleona tymczasowego rządu pod nazwą Komissyi Rządzącej; po trzecie nakoniec, że nikogo następnie nie mogło zadziwić mianowanie Łubieńskiego ministrem wydziału, którego poprzednio był zwierzchnikiem. Dodajmy, że Król saski w chwili tworzenia nowego rządu Księztwa Warszawskiego nie znał wcale Łubieńskiego; jedynie więc świadectwo o zdolnościach i gorliwej pracy, mogło wpłynąć na zatwierdzenie go na zajmowanym już poprzednio stanowisku. Nie mógł zresztą Król saski bez słusznej przyczyny usuwać dyrektorów mianowanych przez Napoleona i stawiać na ich miejsce nowych ministrów.

Delegowany minister Schönfeld po zaprowadzeniu ministeryów oznajmił, że wkrótce Król saski przybędzie do Warszawy. Oczekiwano z upragnieniem chwili przyjazdu monarchy;

Łubieński podał szczegóły ceremoniału przyjęcia, według dawnych polskich zwyczajów.

Przyjechał Król saski do Warszawy z żoną i córką w południe, dnia 24 Listopada. Witano go z wielkimi uniesieniami radości. Wojska stały uszykowane w szeregach od rogatek ujazdowskich aż do zamku. Przedstawiali się ministrowie, później damy Królowi, królowej i królownie. Nazajutrz Wincenty Krasiński, pułkownik polski cesarskiego pułku gwardyi, przedstawiał swych oficerów.

Dnia 1 Grudnia było przyjęcie u Króla w zamku wieczorem. Król i królowa grali w karty przy osobnych stolikach. Dnia 2 Grudnia marszałek Davoust dawał wielki bal, na którym znajdowało się przeszło tysiąc osób, samych dam pięćset. Grano najprzód komedję zastosowaną do okoliczności, potem szły tańce, wieczerza, a po niej znów tańce. Stanęli w pierwszym kadrylu: Królowna Augusta z marszałkiem Davoust'em; panie: Wincentowa Krasińska, p. Łubieńska z domu Ossolińska, panna Bourgoing, córka pełnomocnego ministra cesarskiego przy dworze saskim, oraz generałowie: Morand, Friand i Gauthier. Obchodzono w tym dniu rocznicę koronacyi Cesarza Napoleona.

Podczas pobytu Króla saskiego w Warszawie następowały prawie bez przerwy festyny za festynami. W zamku u Króla zgromadzano się wieczorami w każdą niedzielę. Pełnomocny

minister Napoleona częste wydawał bale. Oficerowie francuzcy śpiewali kuplety ułożone na cześć Króla saskiego.

Nie tylko w czasie pobytu Króla, ale przez cały ciąg lata 1807 r. społeczność warszawska kipiała niezwyčajnym ruchem, rozmarzona w wirze publicznych zabaw. Na teatrze przedstawiano tragedye i dramata historyczne z zastosowaniami do obecnych czasów. Najuroczyściej obchodzono rocznicę zwycięztwa pod Jeną. Gospodarzem balu w dniu tym wydanego był książę Józef Poniatowski, gospodynią siostra jego pani Tyszkiewiczowa. Zabawa rozpoczęła się koncertem Szczurowskiego i Defontis'a, którzy śpiewali arye włoskie; poczem aktorowie francuzcy przedstawiali komedye: *Quaterno*. Marszałek Davoust z gospodynią balu rozpoczął tańce polonezem, później tańczył walca z panią Aleksandrową Potocką z domu Tyszkiewiczówną. Po różnych tańcach przeciągających się dość długo, grano drugą komedye francuzką pod tytułem: *Eufrozyna*. W końcu przedstawienia wysunął się na środek sceny aktor, w mundurze żołnierza polskiego, i zażądał od dyrektora teatru, aby przygotował jaką zabawę, zastosowaną do obchodu dnia tak pamiętnego. Wymawiał się dyrektor, że nie może uczynić załoś tak nagłemu żądaniu, z powodu krótkości czasu. Na to mniemany żołnierz odrzekł: — „U Francuzów niema nic niepodobnego.”

Posypały się zewsząd gradem oklaski. Jeden z aktorów ułożył na prędcie kilka okolicznościowych kupletów, które odśpiewano z ogólnem zadowoleniem licznych słuchaczy. Po wieczerzy zabrano się powtórnie ochoczo do tańca, zatem przeciągnęła się zabawa do godziny szóstej rano ¹⁾.

Po przyjęciu Króla saskiego Księcia warszawskiego, po uroczystościach i zabawach, wypadło przystąpić do czynnego wprowadzenia nadanej konstytucyi. Król i jego minister spraw zagranicznych, hrabia de Bose, nieznający dawnych polskich zwyczajów, udali się do Łubieńskiego po informację względem mających się rozpisac uniwersałów przedsejmowych. Na zapytanie hr. de Bose w imieniu Króla, jakie ma przedsięwziąć pierwsze kroki po przybyciu do stolicy, odpowiedział Łubieński: że wprawdzie prezes rady stanu i minister spraw wewnętrznych powinni byli monarchę o tem zawiadomić, stosując się atoli do otrzymanego rozkazu, zajmie się przygotowaniem wymagalnych w tej mierze formalności. Oznajmił jednocześnie ministrowi de Bose, że wygotować wypada listy w celu zwołania sejmików, z uwiadomieniem o mającym nastąpić sejmie na mocy konstytucyi; dodał przytem, że jakkolwiek wiedzą

¹⁾ Pomienione szczegóły dotyczące uroczystości i zabaw poczerpnęliśmy z ówczesnej „Gazety Warszawskiej.”

już w całym departamencie sprawiedliwości o nadanej księztwu konstytucyi, powątpiewa jednak czy zawiadomiono urzędownie wszystkich prefektów i wezwano do zaprzysiężenia wierności panującemu ¹⁾).

Przyrzekłszy, że wypełni wolę Króla, posłał Łubieński konsyliarza swego, Kalinowskiego, z sekretarzem i kancelistami, do Skorochoła Majewskiego, zarządzającego aktami metryki koronnej, z poleceniem wypisania zachowywanych formalności za czasów Rzeczypospolitej, w przedmiocie odezwo do senatu i do stanu rycerskiego po wstąpieniu na tron nowego Króla. Według zebranych ztąd wiadomości, Kalinowski redagował odezwy; następnie przedstawiał Łubieńskiemu do przerobienia stosownie do form terazniejszych, który znowu, tak przygotowane listy i uniwersały przedstawiał Królowi. „Uszło tedy wszystko,— pisze Łubieński w pamiętniku, — jak gdyby pochodziło z gabinetu monarchy, z wielkimi dla niego pochwałami, że tak są znane mu dobrze dawne polskie zwyczaje”. Król wyraził swą wdzięczność ministro-

¹⁾ Uniwersały na sejmiki z okoliczności mającego nastąpić sejmu, rozesłano w Grudniu 1808 r. na mocy ustawy o zgromadzeniach politycznych, wydanej pod d. 7 Września 1808 r. Okazuje się ze wspomnień ministra sprawiedliwości, że on redagował pomienione dokumenta w czasie pierwszej bytności Króla saskiego w Warszawie, w końcu 1807 r.

wi sprawiedliwości; nie mógł atoli zdecydować się na zatwierdzenie projektu założenia szkoły prawa i administracyi, oraz wysyłania młodzieży na nauki za granicę. Przyjął wprawdzie podany projekt, lecz odłożył decyzję do późniejszego czasu. Z okoliczności tej Łubieński pisze:

„Poznałem zaraz pana, któremu miałem służyć. Przyzwyczajony do odwiecznych ustaw saskich, nigdy żadnej zmianie nie podlegających, wszelkim nowościom się dziwił, wszystko do rady ministrów, do rady stanu odsyłał, mało się znał na prawodawstwie, ale miał talent w zapytywaniach i miał dobrą pamięć. Na moją większą pracę powziął do mnie zaufanie, nie dla tego żeby pójść za mojem zdaniem, choć i nie sprzeciwiał się, ale żeby mnie wypytywać się o wszystko, nawet w rzeczach nie dotyczących mego departamentu. Codziennie przeto zabijał mi dwie a często trzy godziny. To rozbudzało zazdrość i mniemanie, że w wielkich łaskach, a ja żadnej z tego, co nazywają łaską dworską, nie doznałem. Już miałem wszystkie ordery od Króla Stanisława, od Króla pruskiego i od Napoleona. Jeżeli utrzymał mnie na urzędzie ministra sprawiedliwości, to mnie w posiadaniu tego urzędu zastał i dał niższy stopień, bo byłem prezesem dyrektoryatu, przytem odjął mi ministeryum wyznań. Później, po śmierci pana de Bose, dał mi porte-feuille interesów zagranicznych w rzeczach tyczących się Księztwa War-

szawskiego z trzema ościennemi dworami; co pomnożyło tylko moje wydatki, bo musiałem wziąć sekretarza i dwóch kancelistów, nie otrzymawszy na to żadnego funduszu, miałem tylko jak konsul w rzeczach handlu moralne stosunki. Z ukontentowaniem więc oddałem port-feuille po p. Bose, nominowanemu ministrowi spraw zagranicznych Królestwa saskiego p. Senft de Pilsach, bardzo światłemu i godnemu człowiekowi. Nie miałem nawet od Króla za te moje prace i wydatki dobrego słowa; otrzymałem tylko od p. Senft de Pilsach list prywatny z podziękowaniem, że go postawił w możliwości poznania stosunków z trzema dworami, co do handlu, sądownictwa, kwestyj granicznych, pretensyj z naszej strony zwrócenia aktów zabranych, względem summ bajońskich i t. p.”

Pierwszy pobyt Fryderyka Augusta Króla saskiego w Warszawie nie przeciągnął się długo. Prezydował kilka razy na posiedzeniach rady stanu. Wkrótce po przyjeździe Króla podał się do dymissyi Stanisław Małachowski; na jego miejsce mianowany prezesem rady stanu Gutakowski, sekretarzem Julian Niemcewicz, referendarzami: Linowski, Morawski, Wojda i Wyczechowski. Na instancję Łubieńskiego wydał Król manifest, o powołaniu do czynności magistratur sądowych; mianowicie o sądzeniu wszelkich spraw zaległych, lub zawieszonych w czasie wojny, w skutek uchwały komissyi

rzządzającej. Odnosiło się pomienione rozporządzenie szczególnie do wojskowych, którzy z powodu kampanii lub innych zajęć nie odpowiadali dotąd w sądach. Wydał nadto Król ustawę o przenoszeniu się rolników i nietamowaniu im wolności przez dziedziców, zgodnie z uchwałą konstytucyjną. To było ostatnie rozporządzenie Króla wydane w Warszawie, w czasie kilkotygodniowego pobytu w końcu 1807 r. Dnia 27 Grudnia wyjechał Fryderyk August z Warszawy, zapowiadawszy przyjazd swój na rok następny, przed terminem oznaczonym na otwarcie sejmu.

V.

Wprowadzenie kodeksu Napoleona 1 Maja 1808 r.—Założenie szkoły prawa i drukarni rządowej.—Zarzuty czynione Łubieńskiemu i nieporozumienia w skutek zaprowadzenia aktów stanu cywilnego.—Przyjazd Króla Saskiego do Warszawy i sejm na początku 1809 r.—Wojna z Austryą.—Przyłączenie Galicyi zachodniej do Księztwa Warszawskiego.—Wystąpienie Rady Stanu Franciszka Grabowskiego przeciwko Ministrowi Sprawiedliwości.—Odpowiedź i obrona Łubieńskiego.—Poufne konferencye w gabinecie Króla.

Józef Wybicki tak w pamiętnikach swoich z okoliczności wprowadzenia kodeksu, pisze: „Roku 1808 d.1 Maja kodeks Napoleona za prawo powszechnie i z procedurą przyjęty został. Kodeks był nam konstytucyą zalecony, a sławny ze światła i gorliwości minister sprawiedliwości Łubieński tę rzecz do skutku przyprowadził.”

Gazety owoczesne podają szczegóły uroczystości. O godzinie 11 przed południem udały się wszystkie władze rządowe do kościoła katedralnego, gdzie Albertrandi biskup Zenopoliński, Prezes Tow. Przyjaciół Nauk, celebrował; kazanie miał ksiądz Szaniawski, tłumacz i professor kodeksu. W czasie nabożeństwa, na bogatym wezgłowie przed wielkim ołtarzem

złożono księgę praw. Podczas *Te Deum*, na znak z armat dany, ozwały się wszystkie dzwony. Jednocześnie odprawiono nabożeństwo w kościołach innych wyznań. Po nabożeństwie, biskup wręczył kodeks ministrowi ze stosowną przemową. Po wyjściu z kościoła według przepisanej ceremonii, udały się wszystkie władze do pałacu sądowego pomiędzy dwoma szeregi wojsk; a w pałacu ministra sprawiedliwości zgromadziło się około siedmiuset zaproszonych osób. Tamże w ogrodzie urządzono świątynię, u wnijscia w obłokach wznosił się ołtarz, na nim złożona księga z napisem: Kodeks Napoleona. W świątyni przy dźwięku muzyki odśpiewano kantatę. Za podniesieniem zasłony ukazała się skała, a na niej popiersie Napoleona wieńczone przez damy w ubiorze Westalek. Po stronach skały wznosiły się obeliski z napisami odnoszącemi się do ważniejszych współczesnych wypadków. Po zwiedzeniu świątyni w ogrodzie, wrócili goście do pałacu, gdzie zabawiali się ochoczo do godziny piątej rano.

Z okoliczności wprowadzenia kodeksu, wydał minister sprawiedliwości 13 Maja 1808 r. odezwę do sędziów pokoju; podziękował im za gorliwą służbę, za skuteczną działalność w jednaniu spraw, co przyczyniło się do ukrócenia długoletnich zawitych procesów i wytępienia pieniactwa. Ogłosił przytem, że odtąd zgodnie

z przepisami kodeksu dzielą władzę z podsędkami, i że jedynie przewodniczenie w radach familijnych i jednanie stron powaśnionych należy do obowiązku sędziów pokoju. Napomknęliśmy wyżej, że wprowadzenie kodeksu wypłynęło wprost z woli i rozkazu Napoleona. Minister nie mógł się sprzeciwić, musiał bowiem spełnić rozkaz wyższej władzy; powtóre, uważał sam za zbawienne i konieczne zaprowadzenie nowej organizacyi sądów i nowego prawodawstwa. Wielu światłych mężów podzielało zdanie Łubieńskiego, chociaż gwałtowne wprowadzenie kodeksu, jak każde ważniejsze przejście, powodując zmiany w stosunkach domowych i społecznych, zaniepokoiło umysły ogółu. Wspomnieliśmy wyżej o utworzonej opozycyi i o pociskach wymierzonych przeciwko Łubieńskiemu. Julian Niemcewicz, stojący w szeregu osobistych nieprzyjaciół ministra, wyraża się nader cierpko w pamiętniku o uroczystości wprowadzenia kodeksu. Nietylko autor ten, piszący pod wpływem świeżych, namiętych wrażeń, ale nawet późniejszych czasów pisarze, zapatrujący się na owoczesne wypadki z odleglejszego, zatem bezstronniejszego punktu widzenia, nie uwzględniają dostatecznie przyczyn wprowadzenia kodeksu i powtarzają dawne zażalenia. Fryderyk hr. Skarbek, w dziele „Dzieje Księstwa Warszawskiego” pisze: „Jakkolwiek doskonałem jest prawem kodeks cy-

wilny francuzki, nazwisko Napoleona wówczas noszący, nikt temu zaprzeczyć nie może, że zbyt skwapliwe i bezwarunkowe zaprowadzenie tego prawa do kraju naszego, stało się przyczyną niezliczonych strat i cierpień dla mieszkańców, pochodzących bądź to z niezgodności tego kodeksu z potrzebami i zwyczajami naszymi, bądź też z zupełnej nieznajomości tego prawa u tych, którzy podług niego sprawy sądzić i cywilne stosunki ustanawiać mieli." Zdanie to jest tylko powtórzeniem zarzutów, które w chwili wprowadzenia kodeksu czyniono ministrowi sprawiedliwości. Nie uwzględniano tej okoliczności, że Łubieński jako minister nie mógł ociągać się z wprowadzeniem kodeksu. Pojmował on całą trudność swego zadania i niedogodności wynikające z braku uzdolnionych prawników; dla zaradzenia temu chciał wyjednać u Komissyi Rządzącej fundusz na wysyłanie młodych ludzi na naukę do Francyi, następnie zaś domagał się założenia szkoły prawa i administracyi. Widzieliśmy, że pomimo usilnych zabiegów, nie mógł Łubieński otrzymać potrzebnego w tym celu funduszu, ani od Komissyi Rządzącej ani od Króla w czasie pierwszej jego bytności w Warszawie. Niezrażony atoli przeszkodami, z funduszków zaoszczędzonych z własnej pensyi, założył minister drukarnię rządową, następnie szkołę prawa i administracyi.

W przedmiocie zarzutu narzucenia krajowi praw obcych, Łubieński w pamiętniku odpowiada, że nie uchylał się wprawdzie od zaprowadzenia praw francuzkich, jako wyższych nad inne w Europie: „Pragnąłem te prawa cywilne zaprowadzić—podług mnie albowiem tam tylko prawdziwa wolność, gdzie prawo jest despotycznie rządzącem. Poważyłem się jednak, pod tytułem przejścia z jednego prawodawstwa do drugiego, zachować to z pruskiego, co znalazłem lepszego dla zabezpieczenia ziemskich własności, jakimi są hypoteki. Pozwoliłem sobie, jak wyżej rzekłem, zaprowadzić sądy pokoju w innym niż francuzkie sposobie, znalazłszy, że zgodniejsze są z charakterem narodu.” Dalej nieco w najdrażliwszej kwestyi zaprowadzenia urzędników stanu cywilnego, autor pamiętnika pisze:

„Gdy kodeks Napoleona został zaprowadzony, sądziłem, że najprzyzwoiciej, ażeby urzędnikami stanu cywilnego byli po parafiach plebani, pastorowie; zawsze albowiem chrzty, pogrzeby, śluby zapisywali—i to stanowiło część ich dochodów już i tak bardzo szczupłych; sami księża to przyznali. Ale nie wyszło i dwóch lat, hałas na mnie wielki ze strony duchowieństwa, mianowicie na ich czele był przyjaciel mój ksiądz Woronicz, do niego przychylił się arcybiskup Raczyński. Skargi na mnie aż do Króla podali, że tak stan duchowny znieważył, po-

niżył, przymusił, żeby zapisywali każdego bachora, żeby raz wraz musieli mieć czynności urzędowe z żydami, mahometanami, różnawiercami. Król posłał po mnie, pokazał mi tę ogromną skargę, oraz zapytał co mną powodowało, żem księży katolickich do takiego poniżenia przyprowadził, ażeby żydowskie i tatarskie dzieci zapisywali? Wyznałem Królowi, że podałem plebanów na urzędników stanu cywilnego, jedynie dla pomnożenia ich uszczuplonych funduszków, oraz w celu utrzymania dla duchowieństwa pewnego rodzaju wyższego uszanowania od innych wyznań, a czasem i szczęśliwej sposobności nawrócenia. Jeżeli jednak duchowieństwo nieupatruje w tem, jak ja, miłości bliźniego i koniecznie potrzebnego porządku, protestuję, że zostaję przy mojem zdaniu. Jeśli atoli Król zechce przychylić się do żądania duchowieństwa katolickiego, niech minister spraw wewnętrznych poleci ten urząd burmistrzom i ludziom godnej wiary. Wiele albowiem zależy na pewności aktów ślubu, urodzenia i zejścia—i to mnie było powodem, że takowe chciałem powierzyć tym, którzy dotąd metryki utrzymywali. Król łaskawie przyjął moje tłumaczenie i dozwolił duchownym uwalniać się od obowiązku utrzymywania aktów stanu cywilnego. Tysiące cisnęły się konkurentów na to urzędowanie. Nie upłynęło atoli kwartału, wielkie powstało narzekanie od du-

chowienstwa, że nie tylko zredukował się im dochód do dziesiątej części, lecz oraz że mało ugruntowani w religii, przestawali na akcie przed urzędnikiem stanu cywilnego, i już ślubów w parafii nie brali. Wielu do chrztu św. nie zanosilo dzieci, poprzestając również na akcie cywilnym, znalazłszy uciążliwym zanosić do kościoła i powtórnie opłacać. Znowu wytoczono skargę do Króla. Dobry Król, ale nieradny, na ten gwałtowny hałas duchowienstwa posłał po mnie; a że domyślałem się w jakim interesie mię wzywa, wziąłem od Knopfa, archiwisty ministerjum, dawniejszą rezolucyę królewską podpisaną przez niego i moją protestacyę."

Pokazał minister pomienione dokumenta Królowi; nie uspokoił jednak gotującej się przeciwko niemu burzy. Król wezwał w pomoc teologa, spowiednika swego, i polecił wytłómaczyć się Łubińskiemu. Tenże dowiedziawszy się o tem, zebrał radę duchowną złożoną z trzech kapłanów: biskupa Prażmowskiego, prałata wileńskiego Bohusza i ks. Szaniawskiego. Wypisał z kodeksu prawo obowiązujące względem małżeństwa i rozwodów; u spodu wynotował pytania odnoszące się naprzód do sakramentu małżeństwa i kościelnych w tej mierze przepisów; następnie w przedmiocie aktów stanu cywilnego, mianowicie: czy w kraju gdzie są ludzie rozmaitych wyznań, dla legitymacyi, suk-

cessyi i t. p. czynności, potrzeba, aby rząd zapewnił się o istnieniu prawnych związków małżeńskich, nakoniec, czy cywilne rozwody mogą mieć jakiegokolwiek skutki dla prawdziwych katolików?

Pomienione i inne pytania dotyczące kwestyi aktów stanu cywilnego, oddał Łubieński pod rozbiór trzech duchownych konsyliarzy. Każdy z nich wyraził w odpowiedzi własne teologiczne zdanie i podpisał się.

W dalszym ciągu opisu pomienionej sprawy Łubieński w pamiętniku pisze:

„Okazał rezultat, że podług mojego zdania akta cywilne nie obowiązywały w niczem katolików i były jedynie dla porządku administracyjnego i sądowego. Rozwody tem więcej cywilne nie mogły mieć żadnego znaczenia dla katolików, a ktokolwiek chciał je za rozwody lub śluby uważać, znać było, że nie jest katolikiem. Wolność sumienia nie dozwala przymuszać nikogo do tego lub innego wyznania, tak jak Bóg w miłosierdziu swoim oświecił ludzi i wskazał im prawdziwą wiarę, lecz zostawił im wolność przyjęcia niezawodnych sposobów zbawienia duszy lub też odrzucenia tej największej łaski. Moi konsyliarze duchowni, będący jednego ze mną zdania, napisali odpowiedzi zebrane w krótkości po łacinie, na wypadek gdyby je chciał Król przesłać Papieżowi. Pojechałem z nimi do Króla nazajutrz o trzeciej,—trzymał mię aż do

szóstej. Sprowadził swego spowiednika, który przygotowywał się, uprzedzony już przez biskupa Prażmowskiego i prałata Bohusza. Wtedy widziałem tego księdza raz pierwszy i ostatni, nie wiem więc, z kąd powstało mniemanie, że przez królewskiego spowiednika intryguję. Niech Bóg odpuści ludziom, którzy mię ogadywali. Król odebrał moje pismo zaraz z odpowiedziami duchownych. Kazał mi rzecz całą przedstawić po francuzku, gdyż lepiej sam zrozumie i ksiądz teolog ten język posiada. Z wielką słuchali uwagą, tak Król jak jego spowiednik, moich zapytań i odpowiedzi duchownych. Gdy skończyłem, ksiądz zwinął papiery, które przyniósł, pokazując tem, że jest tegoż samego zdania; zatem rzekł tylko: „Ależ bo te wyrazy—ślubu cywilnego, rozvodu cywilnego,—mogą nie jednego w błąd wprowadzić, że to już za realny ślub lub rozwód brać będą.”—Na to natychmiast przy Królu odpowiedziałem:—W istocie, gdyby tylko wyrazy były samotne: ślub, rozwód, to mogłoby wprowadzić w błąd; ale skoro pisze się wyraźnie: akt ślubu cywilnego, skoro rozwód jest za dekretem sądów cywilnych, nadto zatem jasną jest rzeczą, że akt ów nie stanowi sakramentu małżeństwa ani też rozvodu, jaki tylko przez kościół w razie uznania nieważności małżeństwa jest dozwolony. Wypada więc, aby dla objaśnienia ogółu, arcybiskupi i biskupi w swych

dyecezyach wydali rozporządzenie nauczania ludzi.—

„Dopełniłem z mojej strony, co do mnie jako katolika i ministra sprawiedliwości należało. W instrukcyach tak do urzędników stanu cywilnego jako i do prezesów trybunału zaleciłem, ażeby przy każdym akcie cywilnym, przy każdym wyroku sądu prezes uwiadamiał strony, że to w niezem religii nie obowiązuje, że to jest czynem policyjnym i sądowym, oraz że każdy dla zaspokojenia sumienia winien udawać się do władzy duchownej. Na tem skończyły się kłótnie, które poduszczeni przeciw mnie arcybiskup Raczyński i prałat Woronicz rozpoczęli.”

Przytaczając ten ustęp z pamiętnika, połączyliśmy wypadki z 1809 roku z poprzedniami, w myśli nieprzerywania wątku opowiadania o okolicznościach kwestyi aktów stanu cywilnego podnoszonej w ciągu lat dwóch.

Ważną epoką w dziejach Księstwa Warszawskiego było otwarcie pierwszego sejmu. Król przyjechał do Warszawy 31 Października 1808, w dniu zaś 2 Grudnia t. r. zagał pierwsze posiedzenie senatu i oznajmił, że przed rozpoczęciem sejmu wezwał senat, w celu polecenia mężom znanym z obywatelskiej gorliwości obowiązków, które konstytucya na nich wkłada. Dnia 12 Grudnia wydał Król uniwersały zwołujące sejmiki i zgromadzenia gminne, 15 Lutego 1809

zapowiedział uniwersałem sejm na dzień 7 Marca.

Nabożeństwo w kościele farnym poprzedziło otwarcie sejmu. Przed Królem siedzącym na tronie, dnia 9 Marca złożyli posłowie przysięgę. W dniu następnym Łuszczewski, minister spraw wewnętrznych, oznajmił w izbie poselskiej, że Król mianował marszałkiem Tomasza Ostrowskiego.

Znajdujemy w pamiętniku Łubińskiego opis otwarcia sejmu:

„Minister Łuszczewski ściśle trzymał się w obrządku wskazanego przezemnie przepisu. Wysłana była deputacya tak od senatu jako i od posłów na spotkanie Króla. Orszak królewski wyruszył w porządku następującym: Ministrowie Księstwa Warszawskiego szli przed Królem, za nim minister Senft Pilsach i osoby cesarskiego dworu, marszałek i szambelanie. Senat, posłowie i deputowani od ludu z największem przyjęli Króla uszanowaniem. Królowa i królowna siedziały w łoży naprzeciw tronu, Król zasiadł na tronie, po prawej jego stronie ministrowie: sprawiedliwości, wojny i policyi, po lewej ministrowie: spraw wewnętrznych, skarbu i sekretarz stanu. Za danym przez Króla rozkazem pokłoniwszy się mu blisko, odezwałem się:—Jego Królewska Mość pan nasz miłościwy mówić będzie.—Minister sekretarz stanu podał Królowi mowę i na swe miejsce

wrócił. Król czytał mowę ułożoną przez nas na radzie ministrów, nic w niej nie odmienił, chciał tylko ortografię poprawić, ledwo mu wyper-swadowali. Dobrze donośnym głosem ją powiedział. Po skończonej mowie pokłoniłem się znów Królowi i powiedziałem:—Sejra już jest rozpoczęty; wzywam senatorów do przysięgi.—Służba królewska podała taboret aksamitny karmazynowy, na którym położony był Pan Jezus na krzyżu. Senatorowie przystąpili do przysięgi. Gdy przyklękli, Król wstał z tronu, podyktowałem głośno przysięgę. Potem Król znów usiadł, przystąpiono do ucałowania ręki królewskiej. Oddałem moim konsyliarzom rotę przysięgi, a oni podali mi listę wszystkich przystępujących do ucałowania ręki, chciał albowiem Król wiedzieć każdego nazwisko. Skoro skończył senat, marszałek sejmowy zszedłszy ze stopni stanął po prawej ręce i wzywał posłów i deputowanych porządkiem departamentów i powiatów. Musiałem wymienić każdegoz przystępujących nazwisko. Wielkie było zdziwienie Króla, a bardziej jeszcze Senfta Pilsacha, gdy zwolna zaczął przystępować obciążony wiekiem deputowany. Król żałował, że trudno mu iść po schodach i zapytał: Kto jest ten starzec? Odpowiedziałem jak było, że rzeźnik, aż Król cofnął się na tronie. Senft pojąc nie mógł, jak można do ucałowania ręki go przypuścić; był deputowanym, to maskowało

jego professyę. Pomogłem mu do zejścia ze stopni. Po ukończeniu tego nudnego obrządku, Król uroczystie przyjęty, z równą uroczystością został odprowadzony. Rozłączyły się izby i zajęły się właściwą czynnością.”

Dzieje sejmu 1809 r. znane są z innych źródeł. Nie przedstawia Łubieński w pamiętniku obrazu czynności sejmowych, lecz opisane są dokładnie w owoczesnych dyaryuszach. W sprawozdaniu ministra spraw wewnętrznych odmalowany jest prawdziwy obraz stosunków w utworzonym świeżo kraju pod nazwą Księstwa Warszawskiego. Nie przedstawiał się pomyślnie los obywateli, wycieńczonych podatkami na utrzymanie wojska i na koszt organizacji nowej administracji. Zaprowadzenie prawodawstwa, rokującego wprawdzie porządny wymiar sprawiedliwości, ale odmiennego zupełnie od praw dotąd obowiązujących, nie przeszło jak wspomnieliśmy wyżej bez zaniepokojenia umysłów. Najdotkliwszą atoli klęską dla kraju było zamknięcie portów bałtyckich w Elblągu, Gdańsku i Królewcu; wywożone lądem zboże do Pruss nie wynagradzało ani w części strat poniesionych z powodu zamknięcia portów. Tymczasem skarb potrzebował zasiłku, zatem uchwalenia nowych podatków i danin. Dwie więc najważniejsze kwestye, stojące na porządku dziennym, były przedmiotem obrad sejmowych: potwierdzenie nowego prawodawstwa oraz

przyjęcie projektów powiększenia dochodów skarbu. Co do pierwszego, kodeks Napoleona przyjęty został przez sejm z pewnemi odmianami, mianowicie co do aktów stanu cywilnego. Prawo kryminalne było przedmiotem żywych rozpraw. Postanowiono, że sądzone być mają występki podług dawnych praw polskich i podług pruskich, z zaprowadzeniem zmian, stosownie do zasad przez kodeks franeuzki przyjętych.

W rzeczach dotyczących skarbu, zgodzono się z jednomyślnością cechującą prawdziwie obywatelskie usposobienie ogółu, na przedstawione projekta, na poniesienie nowych ofiar dla publicznego dobra. Okazało się z rezultatu obrad sejmowych, że mieszkańcy Księstwa Warszawskiego z ufnością spoglądali w lepszą przyszłość, która miała zagoić czasowe rany.

Jednocześnie z zaprowadzoną reformą sądownictwa, urządzenie szkoły prawa i administracyi, staraniem i własnym nakładem ministra sprawiedliwości, doczekało się zasłużonego uznania ze strony światłych mężów. W sprawozdaniu swem wspomniał o tem chlubnie minister spraw wewnętrznych, również o trudach kommissyi edukacyjnej, o założeniu w wielu miejscowościach szkółek parafialnych i utrzymaniu szkół wyższych.

Król po skończonym sejmie wyjechał 26 Marca z Warszawy. Niebawem rozległy się wieści

o zbliżającej się wojnie. Austryackie wojska d. 15 Kwietnia wkroczyły do Księstwa Warszawskiego pod Nowem Miastem. Poprzednio już otrzymał minister sprawiedliwości doniesienie o zbieraniu się wojsk nad granicą. Oznajmił o tem natychmiast na radzie ministrów. Niechciano z razu wierzyć; na zaręczenie jednak Łubieńskiego, księżę Józef Poniatowski opuścił pośpiesznie salę obrad, w celu wydania odpowiednich do wojska rozkazów. Stanisław Potocki zdziwiony tą wiadomością, zapytał: „Pan minister sprawiedliwości ma swoją policję?” Łubieński odrzekł: „Powiniennem mieć najwyższą, sekretną. Mam pod sobą sądy kryminalne, winienem o ile możności zapobiegać zbrodniom, śledzić winowajców, nie dopuszczać złego. Za pośrednictwem tej policji mam z całego kraju nader prędkie wiadomości.” Na drugi dzień po tem objaśnieniu ministra sprawiedliwości, władze administracyjne doniosły księciu Józefowi Poniatowskiemu o wkroczeniu wojsk austryackich. Po bitwie pod Raszynem i podpisaniu kapitulacyi miasta Warszawy, wyjechali wszyscy ministrowie najprzód do Pułtuska, później do Płocka, nakoniec przenieśli się do Tykocina, gdzie pozostawali aż do czasu otrzymanej wiadomości o odwrocie wojska austryackiego.

Wiadomo, że w skutek pomienionej wojny, Galicya zachodnia przyłączona została do Księstwa Warszawskiego. Utworzono z sied-

miu cyrkułów cztery departamenta: Lubelski, Radomski, Krakowski i Siedlecki, oraz dwa powiaty: Stanisławowski i Siennicki. Łubieński przystąpił natychmiast do organizowania sądownictwa i zaprowadzenia kodeksu Napoleona w przyłączonych departamentach. Urządził sądy kryminalne, sądy pokoju, trybunały i sąd appellacyjny w Krakowie. W sądach kryminalnych zachowano, z pewnemi zmianami zastosowanemi do konstytucyi, prawa i procedurę austryacką.

Prezes rady ministrów Księztwa Warszawskiego, Stanisław Małachowski, b. marszałek czteroletniego sejmu, zakończył życie 9 Grudnia 1809 r. Skon tego męża obudził żal powszechny; oddano hołd winny jego zasługom i patriotycznej gorliwości. Słynny marszałek z 1791 r., zajmwszy wysokie stanowisko w rządzie Księztwa Warszawskiego, obarczony latami i skołatany przeciwnościami, nie mógł wywierać teraz równie potężnego wpływu jak w ostatnich latach istnienia Rzeczypospolitej. Wspomnieliśmy wyżej, że Małachowski spoglądał najniechętniej na zaprowadzenie kodeksu Napoleona w granicach Księztwa Warszawskiego, zatem sprzeciwiał się Łubieńskiemu w jego projektach organizacyi sądowej. Gwałtowna zmiana stosunków prawodawczych, wynikające ztąd niedogodności i czasowe klęski zaniepokoiły umysł męża, zakładającego

pomyślność kraju na postępowym rozwoju dawnego prawodawstwa polskiego. Uprzedzony przeciwko Łubieńskiemu, jako popierającemu z całą energią wprowadzanie kodeksu francuzkiego, Małachowski, jak widzieliśmy, stał na czele stronnictwa, które potępiało z góry każdy projekt wniesiony przez ministra sprawiedliwości.

Po skonie Małachowskiego nie zmienił się drażliwy stosunek Łubieńskiego względem prezydujących w radzie stanu, którzy trzymali się ślepo zasad wskazanych przez poprzednika.

Wkrótce po Małachowskim umarł Gutakowski; na jego miejsce mianował Król Stanisława Potockiego prezesem rady stanu i ministrów. Zamiłowany w literaturze klassycznej, w poezyi i sztukach pięknych, Potocki nie wtajemniczał się bynajmniej w stosunki administracyjne i prawodawcze kraju. Mianowany prezesem, nie mógł wywierać wpływu na postanowienia ministrów, mianowicie w obcym mu zupełnie zakresie prawodawstwa. Pragnąc założyć opozycję przeciwko wnioskowi Łubieńskiego, według świadectwa tegoż, umieścił w radzie stanu Franciszka Grabowskiego, dawniej patrona lubelskiego i plenipotentą Zamoyskich. O przeszłości jego i wykształceniu naukowem tak Łubieński w pamiętniku pisze: „Nie uczył się nigdy prawa, tylko pracował w palestrze pod mecenasem; całą zaś naukę

czepał z manifestów, pozwów i wyroków sądowych, z przysłuchiwania się obronom w sądach, z układania summaryuszów, dokumentów w tych sprawach, nakoniec z wyszukiwania po woluminach legum artykułów potrzebnych ku obronie. Taką używalną naukę miał poczciwy Grabowski, którego później kasztelanem i wojewodą zrobili. Ten miał podług Stanisława Potockiego zniweczyć moje wnioski i odkryć zupełną niewiadomość."

W dalszym ciągu pamiętnika tak opisuje minister wytoczoną mu sprawę i własną obronę:

„Składał tedy Grabowski sessyę, na które zzywał poczciwego Rzątkowskiego, przybrawszy do narady Węglińskiego i księdza Staszica. Nie wiedziałem o tym spisku; dopiero kiedy przyjechałem na sessyę z księciem Józefem, rzekł tenże do mnie:—Przygotowany jesteś do batalii?—Alboż co?—Wystawi pan Stanisław przeciwko tobie armatę.—A któż mówcą?—Peruczka Grabowski.—Dziękuję księciu, odrzekłem,—dobrze, że wiem, przyjmuję wyzwanie.—Ależ bo oni od dni kilku gotują się.—Tem lepiej, Bóg dopomoże.

„Skoro weszliśmy na sessyę, pan Stanisław z tryumfalną miną przyjął mię i natychmiast rozpoczął obrady. Usiadłszy, przysunąłem do siebie arkusz papieru i kałamarz. Po zagajeniu, biedny Grabowski prosił o głos i rozpoczął protestacyę przeciwko wszystkim wnioskom

moim, nawet i zapadłym w prawo. Widać było rozjaśnioną twarz pana Stanisława, inni skromnie słuchali, ksiązę Józef rysował sobie według zwyczaju, a ja notowałem czynione mi zarzuty. Trwało to półtóry godziny bez najmniejszej przerwy. Po skończeniu pan Stanisław aż się poprawił na krześle. Wszyscy mniemali, jak mi potem powiedzieli, że poproszę o komunikacyę mi głosu, ażebym mógł odpisać; tymczasem prosiłem tylko o głos, a skoro mi był dany, wezwałem sekretarza rady, Stasia Grabowskiego, ażeby mi podał konstytucyę i kodeks Napoleona. Nim je przedemną złożył, powiedziałem grzeczny komplement radcy stanu, że tak pięknie wypracował swe dzieło, i że podobne tylko mowy są godne zajmować radę stanu. Oświadczyłem oraz wdzięczność, że mi podaje sposobność wytkómaczenia się; zarzuty zaś czynione a przezemnie wynotowane zasługują na wyjaśnienie na tejże sessyi. Wypadnie w protokóle przedstawić monarsze, tak to, co jego ministrowi zarzucano, jako i to, co odpowie, nie w swojej obronie, bo nie przyznaje się do żadnej winy, ale w obronie konstytucyi i obowiązującego kodeksu. Król rozpozna to, co radca stanu życzyłby z najlepszego serca, aby stać się mogło; ale przekona się zarazem, że minister sprawiedliwości, odpowiedzialny całemu krajowi, dopełnia surowego obowiązku. Minister bowiem, dopóki służy, niewolbikiem

jest konstytucyi i prawa, zobowiązany przysięgą do pilnowania, aby prawa w niczem nie były nadwerężane, winien oraz zwracać uwagę rady w razie wykroczenia, jak to się stało w dzisiejszej mowie.

„Rozpocząwszy tym sposobem, wyznaję, że zgrzeszyłem złościwością, nigdy albowiem w podobnych mowach nie należy nawet pod pokrywą używać szyderstwa; ale pobudziła mię do tego jakaś pokusa. Siedziałem przy prezesie, co mnie drażniło, a odpowiadałem dobrodusznemu patronowi, który w niczem nie zgłębiając rzeczy, wniósł podane mu na konferencyi punkta. Widziałem z żalem serca, że się zgryzł, ale zacząwszy, musiałem tak utrzymać do końca. Przechodziłem jeden punkt za drugim, a przy każdym zapytywałem się radcy, czy nie mówić wyraźnie przeciw konstytucyi lub obowiązującemu prawu? Naturalnie radca zaprzeczał, że nie; wtedy dawałem ministrowi Łuszczewskiemu do przeczytania odpowiedni artykuł z konstytucyi lub kodeksu. Po każdym pytałem: Cóż na to odpowie pan radca? Zeznawał po każdym artykule konstytucyi, że nie pamiętał, po każdym zaś artykule kodeksu, że nie czytał. Nareszcie znudzony podobnemi pytaniami, rzekł: Prawdę powiedziawszy, nie czytałem wcale kodeksu.—Po przejrzeniu wszystkich punktów i zestawieniu z konstytucyą i kodeksem, na pocieszenie radcy stanu pochwaliłem jego gorliwość,

oraz że przez zaskarżenie ministra sprawiedliwości chciał zapobiedz mogącym się wcisnąć nadużyciom. Podziękowałem i za to, że dozwolił mi udowodnić w obliczu rady, jak troskliwie pilnuję konstytucyi i prawa. Zakończyłem przyznając, że można mnie było oskarżać dawniej o uchybienie w organizacyi sądów pokoju i hypotek, oraz posądzać o niedbalstwo w zaprowadzeniu kodeksu karnego czyli kryminalnego. Gdy tedy wytłómaczyłem się z uczynionych mi przez radcę stanu zarzutów, winienem uniewinnić się i z tych trzech, które sam sobie zarzucam.

„Sądy pokoju zaprowadzono już za Komisyi Rządzącej. Znałem charakter ziomków, że jak przez żywość skłonni są do powaśnień, tak najochotniej szukają środków pojednania; czego dowodem są sądy kompromisarskie, od wieków w Polsce używane. Pragnąłem takowe do wszystkich klass ludu rozciągnąć. Wiedziałem, że zwycięzca nada temu krajowi swój kodeks; ale wyznaję, że bardziej mi się podobały dawniejsze prawa względem sądów pokoju w Danii, które przeto naśladować pragnąłem. Chciałem też nadać tym sądom rodzaj wyższej powagi, przez wybory obywateli z grona swego sędziów, darmo współziomkom służących, przydając im w pomoc podsędka i pisarza. Z tego tłómaczyć się nawet nie powinienem, gdyż to Komissya Rządząca za prawo przyjęła, potem Król, nakoniec sejm zatwierdził. Pomysłne

skutki z sądów pokoju wynikające w tysiącach pojednanych spraw, skłoniły Króla do ustanowienia honorowego znaku dla sędziego pokoju najwięcej spraw zagadzającego. Okazuje się ztąd, że zaprowadzenie tej instytucji przestało być moim czynem, jest to już rzeczą Komissyi Rządzącej, Króla i sejmu. Co się tycze hypotek, daleko doskonalsze są pruskie hypoteki, przyjęte przez Króla i sejm, zapewniają święcie własność każdemu; co tylko stało się prawem, już mnie uwalnia od odpowiedzialności. Ktokolwiek zna prawa kryminalne, zna oraz i ważność tych praw, gdzie już nie tylko o majątek idzie, ale o honor, wolność, życie. Nie jest to dziełem jednego człowieka, ani tak krótkiego czasu jak ten, przez który mam honor moje urządowanie piastować. Pracuję nad tem; ale bez komissyi z światłych ludzi złożonej, nie mogę zrobić dostatecznego postępu. Nie mogąc brać wzoru z praw francuzkich, zachowałem dotąd prawa polskie. Nie taję przed radą stanu, że skłonniejszy jestem do przyjęcia praw karnych austryackich; polskich, dla ich zbytnej surowości, już w tym wieku przywracać nie można, zwłaszcza, że więcej jest *praejudicatów* niż praw; wołałbym więc złożyć urządowanie, aniżeli bym miał tak ważny w tej mierze projekt podać do kodeksu karnego. Trudno by nawet dobrać sędziów; łatwiej mnie o pięćdziesięciu cywilnych niż o jednego kryminalnego.

„Słyszałem nakoniec, już nie tylko od pana radcy dopiero mówiącego ale od wielu, że arbitralnie sobie postąpiłem, tak w zaprowadzeniu w moim domu szkoły prawa, administracyi i ekonomii politycznej, jako i w przedmiocie karności, którą w wydziale sądowym utrzymuję. Winienem i w tej mierze—nie wytłómaczyć się, lecz rzecz przed radą wyjaśnić. Co do szkoły prawa i administracyi, nie pokryjomu dają szanowni nauczyciele prelekye, lecz publicznie. W moim dotąd domu ta szkoła, albowiem ani Król, ani rada nie uznała potrzeby wyznaczenia lokalu lub jakiegokolwiek funduszu; utrzymuje się z mojego majątku i gorliwości tak mało interesowanej szanownych nauczających. Egzamen wyjaśni najlepiej wielkie postępy młodzieży i jakich kraj może spodziewać się korzyści.

„Pozostaje mi jeszcze mówić o surowej karności zaprowadzonej w sądownictwie. Mniemałem i mniemam, że w tym wydziale ledwo nie większą wypada zaprowadzić karność niż w wojsku, idzie albowiem o ciągły wymiar sprawiedliwości, zawsze to za świętą rzecz uważałem. Sędziowie obowiązani są bez przerwy codziennie dopełniać powinności tak ważnego urzędowania. Minister tylko pilnuje, żeby każdy dopełniał obowiązku, nie oddalał się, nie zrywał kompletu, ale żadnego wpływu nie ma na wyrokowanie w jakiegokolwiek sprawie. Prokurato-

rowie są okiem ministra i stróżami prawa. Sądy same tylko oprócz wszelkich spraw sądzą: czy to obwinionych sędziów, czy obrońców, notaryuszów i wszystkie podwładne urzędowania. Izba obrońców czuwa nad karnością swoich współpracujących, tak jak izba notaryuszów nad swymi; winnych do prokuratorów donoszą, a sądy sądzą. Minister czuwa nad wszystkimi, a z raportów dostrzegłszy przypadki niedostatku prawa, i że sąd arbitralnie musiał osądzić, zbiera podobne przypadki, w celu wygotowania projektów do praw, które na sejmie mają być w prawo zamienione.

„Winienem był radzie stanu, winienem urzędowaniu to dzisiejsze objaśnienie czynów moich; zwłaszcza, że byłem niejako znaglony, bo zamilczenie byłoby przyznaniem się do jakiej winy.”

Zaledwie ukończył minister swą obronę, znużony prezes Stanisław Potocki odwołał sessję do dnia następnego. Książę Józef Poniatowski zbliżył się do Łubieńskiego i rzekł: „Dobryś, dziękuję ci ministrze.” Wszyscy rozeszli się w milezeniu. Radca stanu Grabowski zbliżył się do ministra z przeproszeniem, mówiąc, że nie chciał go obrazić. Roześmiał się Łubieński i podziękował, że dał mu wytłómaczenia się sposobność.

Niesłuszność pomienionego wystąpienia i inne przykrości wzruszyły mocno Łubieńskiego i

nadwątliły zdrowie, niepomierłą znużone pracą. Miał on do czynienia w tym czasie z wielu przeciwnikami. Wspominaliśmy niejednokrotnie jak drażliwy był stosunek ministra sprawiedliwości z okoliczności wprowadzenia kodeksu Napoleona. Powiększyło się grono niechętnych w czasie pierwszego sejmu 1809 r. Posłował na sejmie z Maryampolskiego Józef Godlewski. Młody ten zapaleniec wystąpił z gwałtowną protestacją przeciwko wszystkim czynnościom rady stanu. Skarcił radca stanu Linowski surowemi słowami nierozważnego młodzieńca. Powstało ztąd tak wielkie zamieszanie, że aż Król w celu pojednania powaśnionych wysłał ministrów Brezę i Łubieńskiego. Nakłoniono do ustąpienia z sali obrad Linowskiego i tem zażegnano burzę. Łubieński pośredniczył tu w zatargu pomiędzy dwiema osobistościami, zarówno mu nieprzyjawnymi. Józef Godlewski i Aleksander Linowski, jakkolwiek do dwóch różnych należeli obozów, stali zarówno w szeregu nieprzyjaciół ministra sprawiedliwości. Godlewski zaliczał się do stronnictwa Józefa Kalasantego Szaniawskiego i Dominika Kuczyńskiego. Ten ostatni był autorem listu przepelnionego ostremi zarzutami przeciwko ministrowi sprawiedliwości. O zatargach Kuczyńskiego z Łubieńskim i późniejszych wystąpieniach Godlewskiego na innem pomówimy miejscu.

Osobiste niechęci względem Łubieńskiego głównie z następującego wypływały źródła: Król w czasie pobytu w Warszawie wzywał go często do gabinetu swego i nader długie miewał z nim konferencye. Urosło ztąd podejrzenie, że minister zaskarbia sobie podstępnie i intrygami łaskę i zaufanie monarchy.

W celu wytłómaczenia niesłuszności pomienionego zarzutu, Łubieński przytacza w pamiętniku treść owych poufnych konferencyj. W istocie, Król polegając na światłem zdaniu ministra sprawiedliwości, zasięgał częstokroć jego rady w rzeczach dotyczących się spraw wewnętrznych kraju. Dowiadujemy się między innymi, jako narzekał pewnego razu Król, że dobra narodowe żadnego skarbowi nie przynoszą dochodu. Na to Łubieński odpowiedział: — Wina jest w tem W. Kr. Mości, że przy nadaniu konstytucyi nie ustanowiłeś ministra finansów. — Jako, odrzekł Król, — alboż niema ministra skarbu? — Najjaśniejszy Panie, czynności ministra skarbu a ministra finansów są nietylko różne, ale nawet śmiem powiedzieć zupełnie sobie przeciwne. — Jako być może? zawołał Król. — Naj. Panie, minister skarbu jest tylko niewolnikiem budżetu przychodów i rozchodów; gdy zaś ministra finansów liczne są obowiązki, dążące do tego, ażeby całą ludność kraju postawić w możności opłacania podatków, protegując i wspierając rolnictwo, handel, rękodzieła, fabryki, kopalnie i t. d.

Król polecił Łubieńskiemu, aby mu natychmiast wypisał obowiązki ministra skarbu i ministra finansów. Po dopełnieniu tego, włożył Król pismo do szuflady i rzekł:—Czemu żaden z ministrów mnie o tem nie mówił?—Łubieński na to odpowiedział:—I ja nie śmiałbym mówić w zupełnie obcym memu wydziałowi przedmiocie, gdyby nie na rozkaz Waszej Królewskiej Mości; nie można więc dziwić się, że i inni o tem nie wspomnieli. Podobne przedstawienie może należeć tylko do prezesa rady ministrów.—Król kiwnął na to ręką i rzekł:—Zawsze dziękuję waszmość panu; zechcę zrobić z tego użytek.

Innego razu zasięgał wiadomości od Łubieńskiego w kwestyach dotyczących ministerjum spraw wewnętrznych. Przytem wyraził niezadowolnienie, że minister Łuszczewski nie przedstawia mu raportów z czynności swego wydziału. Odpowiedział zagadniony minister w obronie kolegi, iż nie jest jego winą, że nie chce narzucać się Królowi. Zaręczył, że zna go oddawna z najlepszej strony, jako pracowitego i zdolnego; nie powątpiewa zatem, że wszystko ma w porządku, i że w każdej chwili może dać żądane rapporta i objaśnienia.

Polecił znów Król Łubieńskiemu, aby mu wypisał obowiązki ministra spraw wewnętrznych, poczem wezwał Łuszczewskiego. Nazajutrz znajdował się Łubieński na prywatnem posłu-

chaniu w gabinecie monarchy. Powitał wchodzącego z uśmiechem i oznajmił, że najzupełniej zadowolony jest z Łuszczewskiego i z przedstawionych mu raportów; znalazł tylko, że niedostatecznie jest opracowana statystyka oraz część dotycząca duchowieństwa. W odpowiedzi na to, przedstawił Łubieński Królowi, że z powodu wojny, zmiany rządu, zabrania papierów przez Prusaków oraz trudności dobrania zdolnych urzędników, nie podobna było dojść w krótkim przeciągu czasu do opracowania dobrej statystyki. Co zaś do spraw duchownych, oświadczył, że zawiadując tym wydziałem za czasów Komissyi Rządzącej, pozostawił w porządku akta dotyczące różnowierców; inaczej atoli rzecz stoi ze sprawami duchowieństwa katolickiego. Prusacy podciągnęli pod tytuł dóbr duchownych, a zatem dóbr rządowych, wszystkie bez wyjątku fundusze na kościoły, zakłady dobroczynne, szkoły i t. d. Przełożone nad temi funduszami osoby cywilne z ramienia rządu, nie spełniały sumiennie obowiązku. Zanedbano i zrujnowano majątki zapisane w celach pobożnych lub dobroczynnych, zatem brak obecnie funduszków na poparcie pomienionych instytucyj.

Król na to:—Nie spodziewałem się podobnego stanu rzeczy; ale kiedy tak jesteś przejęty tą sprawą, czemu złożyłeś porte-feuille religijne? —Nie złożyłem Najjaśniejszy Panie, ale nie

podobało się Waszej Królewskiej Mości mnie go zostawić i przyłączyłeś do ministerjum spraw wewnętrznych.—Według swego zwyczaju odpowiadasz — rzekł Król — i wtem jest jeszcze moja wina...

Łubieński jakoby nie dosłyszał wymówki Króla, rozprawiał dalej o dobrach kościelnych; przyczem napomknął, że z zaprowadzeniem rządów francuzkich stosunki niewiele się zmieniły, gdy cesarz Napoleon darował dobra arcybiskupstwa marszałkowi Davoustowi.

Na jednej z następnych konferencyj oświadczył Król Łubieńskiemu, że zadowolony jest z projektów przedstawionych przez ministra spraw wewnętrznych Łuszczewskiego, pragnąłby tylko, aby jak najprędzej przyprowadził takowe do egzekucyi.

Łubieński na to:—Wierzę Najjaśniejszy Panie, że pragniesz, aby wszystko co jest z pożytkiem twego ludu, mogło być najprędzej zaprowadzone. Dałeś dowody pieczołowitości twej w Saksonii. Jak zastałeś ją obejmując rządy, a jak do świetnego doprowadziłeś stan! Pierwszy z panujących w Saksonii uznałeś, że tylko wolność handlu może zagoić rany kraju zniszczonego w wojnach przez Karola XII i później przez Fryderyka W. Lipsk i cała Saksonia powinna unieśmiertelnić twoje panowanie.

Wspomnienie o położonych w Saksonii zasługach zaambarasowało Króla; zwrócił nagle

rozmowę do innego przedmiotu i zagadnął Łubieńskiego: czemu dobra narodowe, które miały przynosić ośm milionów złotych, teraz przynoszą zaledwie jeden milion lub mało co więcej?

Odpowiedział minister, że słyszał w istocie, jako dochody ze starostw i z dóbr kościoła miały przynosić kamerze pruskiej z górą ośm milionów. Wtedy atoli troszczono się o wyciąganie jak największej intraty, gdy obecnie nie ma tak sprężystego zarządu.

— Cóż więc zrobić?—zapytał Król.—Radziłbym postawić—odrzekł Łubieński—światłego człowieka na czele zarządu, a może wypadnie rozpocząć reformę od rozczynszowania obszernych włości...—Nie chcę—odpowiedział Król,—nigdy na czynsze nie zezwolę. Nauczylili mnie moi chłopcy w Saksonii. Zdawało się i mnie jak waćpanu, że to będzie z dobrem kraju. Niektóre majątki na czynsze wypuściłem: pierwszego roku zapłacili, potem coraz mniej, nakoniec prawie nic z nich nie mam; przestaję na tem doświadczeniu i już za życia mego na czynsze nie pozwolę...

Przytaczając treść poufnych rozmów z monarchą, Łubieński dodaje, że nie wybiegały takowe z zakresu spraw publicznych. Żadnych łask dla siebie nie żądał i żadnych od Króla saskiego nie otrzymał. Raz tylko jeden przedstawił Królowi zięcia swego, referendarza Morawskiego, na członka rady stanu. Odmówił Król tłumacząc się, że nie wypada, ażeby zasia-

dali razem w radzie minister i zięć jego. Nigdy zresztą, pisze Łubiński, nie wnosił osobistej prośby; pomimo to, częste poufne rozmowy i oznaki zaufania monarchy, stawiały go w podejrzanem świetle w oczach ludzi mu nieprzyjaznych lub zazdroszczących jego stanowiska.

VI.

Wyjazd Łubieńskiego do Toeplitz.—Sejm 1811 r.—Mowy na sejmie posłów Godlewskiego i Węglińskiego.—Odpowiedź ministra sprawiedliwości na czynione mu zarzuty.—Podziękowanie przedstawicieli władz sądowych.—Dziaszkowski adwokat ze Lwowa.—Jego biografia.—Opowiadanie Łubieńskiego o reformie sądownictwa i urzędzeniu ministerjum sprawiedliwości.—Sprawa z Kuczyńskim.—Wyrok sądu kassacyjnego.—Wypadki 1812 r.—Wyjazd ministrów do Drezna.—Zakończenie.

Znużony trudami urzędowania, poczuł Łubieński potrzebę poratowania nadwątlonego zdrowia. Król pozwolił mu wyjechać do wód, do Toeplitz. Udał się tam minister w lecie 1811 r. Służyły mu wody, ale zaledwie wypoczął i pokrzepił się na siłach, nie dał mu Król przedłużać kuracyi i naglił, aby wracał do kraju, z powodu zbliżającego się sejmu. Odwiedził Łubieński w powrocie monarchę, który wyraziwszy zadowolenie z wyboru marszałka zeszłego sejmu, prosił, aby teraz również podał mu nazwisko kandydata. Zagadniony niespodzianie, wyznał, że trudne jest wskazanie osoby, mającej tak ważne piastować urzędowanie; przychodzi mu wprawdzie na myśl Stanisław Sołtyk, jako mogący odpowiedzieć godnie temu

zadaniu, nie ręczy jednak czy zechce podjąć się tego obowiązku. Kiedy Król jednak nalegał usilnie, przyrzekł Łubieński, że w powrocie wstąpi do domu Sołtyka i postara się go nakłonić, przytem dodał: „Chciałbym, aby ta podróż moja stała się użyteczną dla służby Waszej Królewskiej Mości. Powracając zrobię rewizję trybunałów: piotrkowskiego, kaliskiego i radomskiego, oraz sądu kryminalnego i więzień.” Pożegnał się potem z Królem i wyruszył w dalszą podróż.

Rewizya sądów wypadła pomyślnie; znalazł wszystko minister w porządku wzorowym. Szczególnie wyjechał zadowolony z Kalisza, po zwiedzeniu znajdującego się tam więzienia. Z Radomia udał się do Chlewisk, majątności Sołtyka. O przyjęciu w Chlewiskach tak pisze: „Zastałem go i witałem jak przyjaciela, bo znajomość datowała jeszcze z Rzymu i byliśmy posłami czteroletniego sejmu. Wypocząwszy po drodze, nazajutrz rano rozpocząłem negocyacye względem przyjęcia laski marszałkowskiej. Nie zgadzał się z początku, bo odnowiło się w nas smutne wspomnienie czteroletniego sejmu, przez Małachowskiego w czasie wojny odroczonego, ale już nie można było cofnąć. Nie pokładaliśmy zarówno nadziei i teraz, gdy Napoleon słowa „Polska” ani chciał wymówić. Skłoniłem go nakoniec i powiedziałem, aby list do Króla napisał, a sam przygotowałem obszerny rapport o

rezultacie mojej czynności, w skutek rewizyi sądów i więzienia, drugi rapport względem przyszłego marszałka sejmowego, i kuryerem od Sołtyka wysłałem do Drezna.”

Zapewniony o dobrych chęciach przyszłego marszałka, wyruszył Łubieński z Chlewisk do Warszawy, z myślą wypełnienia zleceń Króla i uskutecznienia przygotowań do mającego nastąpić sejmu w końcu 1811 r. Wkrótce po nim nadjechał do Warszawy Król, i zapowiedział zwołanie sejmików i zgromadzeń gminnych dla wyboru nowych posłów i deputowanych, oraz sędziów pokoju, radców departamentalnych i powiatowych.

Na mocy uniwersału królewskiego zjechali się posłowie na dzień 3 Grudnia w Warszawie. Posłowie z czterech departamentów przyłączonych do Księstwa 1809 r. powołani zostali do złożenia przysięgi wierności. Odbył się ten akt uroczystie w kościele katedralnym 8 Grudnia. Po złożeniu hołdu przemawiał do Króla Stanisław Sołtyk, poseł szydłowiecki, którego nominację na marszałka sejmu w tymże dniu ogłoszono.

Nazajutrz w połączonych izbach sejmowych miał Król mowę w języku polskim. Na następujących z kolei sessyach przedstawiano i roztrząsano projekta do spraw cywilnych i skarbowości. Przy wnoszeniu projektów występowali z opozycją: Józef Godlewski, poseł maryampolski, i Wojciech Ciechomski, poseł gostyński.

Godlewski, znany już z pierwszego sejmku głośnym krytykowaniem wszelkich czynności rządowych, zjednał sobie popularność w liczonym gronie młodych posłów. Mowy jego miane na sejmie ogłoszono drukiem, razem z portretem autora ¹⁾. Zachęcony tak łatwo nabytą popularnością, sprzeciwiał się Godlewski na drugim sejmie każdemu projektowi, mianowicie w przedmiocie powiększenia lub ustanowienia nowych podatków. Nie znalazł jednak w tej mierze należytego poparcia. Większość, przekonana o koniecznej potrzebie zasilenia skarbu, zezwalała na zaprowadzenie nowych podatków. Potrafił on wprowadzić wpłynąć na odrzucenie większością głosów projektu do prawa o opłatach stemplowych, atoli i ten projekt z nieco niżonym szacunkiem papieru stemplowego wniesiony na następnej sessyi, przyjęty został przez izbę pomimo najzarliwszej opozycyi Godlewskiego. Głośne, aczkolwiek zupełnie już nie na czasie, było wystąpienie tegoż posła przeciwko wprowadzeniu kodeksu cywilnego i wszystkim reformom sądowym. Zebrał tu on liczne lecz nieuzasadnione zarzuty w przedmiocie procedury sądowej, utrzymywania ksiąg hipotecznych, urzędzenia sądów pokoju, nominacyi dożywotnich sędziów i t. d. Była to słowem nagana

¹⁾ Nie znamy egzemplarza mów Godlewskiego z jego portretem, lecz dowiadujemy się o tym charakterystycznym szczególe z pamiętników Jul. Niemcewicza.

wszystkich urzędów sądowych, wypowiedziana w samych ogólnikach, zdradzająca zupełną nieświadomość stosunków prawnych. Długa, jałowa odezwa Godlewskiego kończyła się najniefortunniejszą uwagą, że możnaby znacznie zmniejszyć wydatki wydziału sprawiedliwości, wybierając na sędziów, jak w dawnych polskich czasach, obywateli gotowych do ofiar dla sprawy kraju, na miejsce sędziów płatnych. W protestacyi wymierzonej przeciwko całej organizacyi sądów, mówi: „Terazniejsza administracya sądowa przyczynia się wielce do smutnego stanu kraju, przez rozwlekłą procedurę, przez ustanowienie sądów podsędkowskich cywilnych i kryminalnych, przez wprowadzenie kodeksu bez zastosowania do praw i zwyczajów krajowych, przez zaprowadzenie różnych praw zagranicznych, przez stanowienie terminów, przez wydawanie coraz nowych w sądownictwie postępowania przepisów i t. d.”

Przeciwko kosztownej administracyi sądownictwa występował również Franciszek Węzyk, poseł bialski, i podał niewczesny wniosek zniesienia urzędów podsędkowskich a pozostawienia samych sędziów pokoju, którzyby rozstrzygali w tychże sądach sprawy w pierwszej instancyi.

Oprócz pomienionych posłów zabierał głos poseł Węgliński, krytykował również reformy sądowe i głównie działania ministra sprawie-

dliwości. Łubieński czuł się w obowiązku wystąpienia w obronie swego wydziału i urzędowania.

Zwracając się najprzód do mówcy, wyznał minister, że nie ma do niego żadnego żalu, zważywszy, że poseł przepędził większą część życia w kraju przyłączonym świeżo do Księstwa Warszawskiego, zatem nieobeznany z konstytucją i kodeksem pozostaje pod wpływem osób, które go w błąd wprowadziły. Na udowodnienie tego upraszał sekretarza sejmowego o odczytanie czynionych mu zarzutów, poczem na każdy punkt odpowiadał, opierając się na konstytucyi i obowiązującym kodeksie. Następnie w przedmiocie zarzutów dotyczących jego osobistości, mianowicie nadużycia władzy i wpływu na wyroki sądowe, odwołał się minister do wszystkich obecnych członków wydziału sprawiedliwości, oraz do wszystkich sądów i sędziów w całym kraju, aby zaświadczone, czy miał wpływ w jakiejkolwiek sprawie i czy ktokolwiek z sędziów mógł przeniknąć jego zdanie w sprawie mającej być sądzoną? W zakończeniu tej mowy oświadczył podziękowanie wszystkim władzom sądowym za sumienne wykonywanie obowiązków, w szczególności zaś sędziom pokoju za ich bezinteresowną obywatelskiej gorliwości działalność.

Opóźnione protestacye przeciwko zaprowadzonemu już kodeksowi i zatwierdzonym re-

formom sądownictwa nie mogły żadnego odnieść skutku. Przeszkodzono tylko ministrowi sprawiedliwości do przeprowadzenia nowych projektów, mianowicie do prawa kryminalnego. Sądzone dotąd sprawy według praw pruskich z uwzględnieniem dawnych ustaw polskich, oraz według praw kryminalnych austriackich w świeżo przyłączonych departamentach. Nie przyjął sejm projektu podanego przez ministra sprawiedliwości względem zaprowadzenia izby adwokatów i izby notaryuszów. Zwątpił Łubieński o możności przeprowadzenia projektów prawa kryminalnego, zgodził się zatem na oddanie ich pod rozbiór i uznanie deputacyi, wyznaczonej w celu przedstawienia pomienionych projektów pod decyzję następującego sejmku.

Nazajutrz po obronie Łubieńskiego, mianej na sessyi sejmowej, kiedy znajdował się we własnem mieszkaniu zajęty pracą w rannych godzinach, dano mu znać, że sędziowie, adwokaci i wszyscy urzędnicy sądowi przybyli i domagają się posłuchania. Zdziwiło go to mocno; ale wkrótce przyjemnego doznał wrażenia dowiedziawszy się, że zgłaszają się do niego podwładni z podziękowaniem za wczorajszą mianą na sessyi mowę o obronie honoru sądów i sędziów.

Skoro Łubieński powitał przybyłych, wystąpiono z mowami. W odpowiedzi dziękował minister za dowody zaufania i wdzięczności.

Zwracając się następnie do sędziów, prokuratorów, mecenasów i notaryuszów, wskazywał obowiązki i dziękował za gorliwe ich wykonywanie.

W gronie przybyłych do Warszawy gości podczas sejmu 1811 r., znajdował się Działkowski, sławny adwokat ze Lwowa. Przyjechał on wiedziony ciekawością i chęcią przypatrzenia się rządowi Księztwa Warszawskiego. Łubieński zawiązał z nim serdeczną znajomość, z wielką wspomina czią o jego gruntownej i obszernej nauce i nazywa go encyklopedyą żyjącą. Przyznaje, że stosunkowi ze światłym adwokatem lwowskim zawdzięczał zapoznanie się bliższe z prawami austryackimi, mianowicie z prawem kryminalnem. Działkowski opowiadał Łubieńskiemu zajmujące przygody swego życia. Biografię tę, według własnego opowiadania Działkowskiego, powtórzoną w pamiętnikach Łubieńskiego, podajemy w niniejszem streszczeniu:

„Urodziłem się z niemajątnych, lecz rozsądnych rodziców. Winienem im pierwiastkowe wychowanie i zaszczepienie tej chęci do nauk, która mimo przeszkód wzrastała. Ubolewali rodzice, że szkoły we Lwowie nie odpowiadały ich zamiarom. Po skończeniu szkół wyrobili mi miejsce aplikanta u najpierwszego mecenasa lwowskiego. Po roku wpisał mię tenże do palestry. Pracowałem szczerze, mecenas kontent był ze mnie, odstępował mi drobniejsze sprawy, co

postawiło mię w możności zaspakajania skromnych potrzeb. Niekiedy kazał mi stawać za siebie w ważniejszych sprawach, przez co nabrałem śmiałości i dałem się poznać publiczności; później pozwalał mi cudze przyjmować sprawy. Był wtedy we Lwowie biskup, uwikłany w ciągłych procesach, którego sprawy mecenas mnie oddawał. Wygrałem szczęśliwie spraw kilka, ztąd zaskarbiłem sobie jego łaskę. Razu jednego, gdym odnosił biskupowi papiery w wygranej sprawie, zaproponował mi, czy nie podjąłbym się prowadzenia prawnych jego interesów. Ofiarował mi za to pomieszkanie, stół i karete. Nie mając dostatecznego funduszu na utrzymanie, przyjąłem propozycyę z wdzięcznością, ale zarazem oświadczyłem, że muszę opowiedzieć się memu mecenasowi i dokończyć obrony kilku spraw rozpoczętych. Mecenas zawsze na mnie łaskaw rzekł: „Możesz już na swoją rękę pracować, byleś sprawiał się tak, jak u mnie; z początku będę ci nadsyłał sprawy, abyś miał jakikolwiek dochód, nie spodziewaj się albowiem od biskupa gotowizny. Teraz przyjmij odemnie niektóre najpotrzebniejsze księgi prawa.” Złżyłem tedy mecenasowi najczulsze dzięki i przeniosłem się do domu biskupa. Miałem pomieszkanie piękne, ale skromne, stół także zdrowy bez żadnego zbytku, powozu pozwoliłem sobie używać tylko w czasy słotne. Zostałem u niego zaległych spraw do

czterdziestu, ale nie plamiących w niczem jego charakteru. Zaprząłem się do pracy i ćwiczyłem się chciwie w wymowie. Biskup zdawał się coraz łaskawszy, miałem zaspokojone pierwsze potrzeby, ale żadnego funduszu na sprawienie sukni i kupno książek. Nie szemrałem jednak, wdzięczny Opatrzności za to, czego dawniej spodziewać się nie mogłem. Zdarzyło się, że pewnego poranku wszedł służący biskupa i zameldował, że żydówka z Brodów czeka na mnie w drugim pokoju i pyta, czy może wniść. Kazałem natychmiast ją wpuścić. Przedstawiła mi swój interes i załączyła papiery: żądała, abym podjął się jej sprawy rozwodowej. Skoro oświadczyłem, że podejmuję się chętnie, napisała mi nazwiska swych rodziców i pożegnała. Nie ofiarowała mi honorarium, byłem jednak zadowolony, że obeznam się z nowym dla mnie rodzajem sprawy. Wyznaję, że mię kosztowało wiele pracy; ale szczęśliwie proces przeprowadziłem i doniosłem o pomyślnym skutku. Nie odbierałem długo żadnej odpowiedzi; nie żał mi było podjętej pracy, bo objaśniłem się w wielu kwestiach prawnych, ale poczułem wielki ubytek w szczupłej kassie mojej na koszt procesu wycieńczonej. Po niejakiem czasie inne z kolei prowadzone sprawy zatarły w mojej pamięci ten rozwód, kiedy pewnego razu melduje służący, że przyjechał żyd z Brodów i chce pomówić ze mną. Kazałem go przywołać; ale zdi-

wienie moje było tak wielkie, że nie chciałem własnym oczom wierzyć, gdy żyd oprócz listu z podziękowaniem od żydówki, wyliczył w jej imieniu, w dobrych papierach austryackich, 50,000 złr. za koszta i pracę.

„Nie zmieniłem skromnego sposobu życia w domu biskupa, ale z procentów od kapitału utworzyłem bibliotekę. Zajmowałem się jak dawniej interesami biskupa i rozrywałem staruszka wieczorami. Przywiązał się nadzwyczajnie i rzekł pewnego razu do mnie:—Ułatwiłeś mi wiele interesów, prosiłbym cię jeszcze o pomoc w jednym, ostatnim; chciałbym, abys mi wypisał formę testamentu, bo obawiam się, że mogę nie uczynić zadość przepisom prawa.—Spełniłem nazajutrz jego życzenie i oddałem, mówiąc:—Nie znam krewnych *Illustrissimi*, nie mogłem więc ich nazwisk wyrazić.—Mniejsza o to,—przeczytawszy odrzekł,—dość mnie na tem.

„Żył jeszcze lat parę staruszek, a ja mieszkałem już u niego lat dziesięć. Kiedy czuł się coraz słabszy, oddał mi testament, mówiąc:—Jak byłeś w ostatnich latach życia moim przyjacielem, tak ufam, że wypełnisz jeszcze ostatnią moją wolę i postąpisz z testamentem według przepisanej formy.—Zapewniłem, że tak jak jest zapieczętowany złożę niebawem w sądzie. Później nic więcej o tem nie wspominał; w parę zaś miesięcy, jak żył świątobliwie tak zakończył.

„Uwiadomiłem sąd właściwy i otworzono testament. Dowiedziałem się i zadziwiłem wielce, że biskup uczyniwszy niektóre dobroczynne zapisy, darem legował mnie w gotowiznie milion złotych polskich. Żadnego nie zostawił śladu o miejscu swego urodzenia ani o nazwiskach krewnych. Nie mogłem też dowiedzieć się o stosunkach familijnych biskupa od służących, gdyż nikt go nie odwiedzał. Ciężało mi na sumieniu, zdawało mi się, że jestem niejako uzurpatorem cudzej własności; chociaż wszelkie miał prawo biskup rozrządzenia według upodobania gotowizną. Przywołując w pamięci szczegóły z własnego jego opowiadania o młodzieńczych latach, trafiłem na ślad okolicy, gdzie mogła znajdować się jego rodzina. Po dwóch latach poszukiwania znalazłem nareszcie wioskę i rodzinę, do której prawdopodobnie biskup należał. Zdaje się, że pomimo całej świątobliwości, wstydził się wyznać, że nie jest szlachcicem. Kazałem przywołać biednych włóścian i w imieniu biskupa rozdałem pomiędzy nich dwa tysiące czerwonych złotych. Może pomyliłem się, w każdym jednak razie widok radości, szczęścia tych ludzi, wynagrodził mi długie poszukiwania i uczynioną ofiarę.

„W ciągu dwóch lat następnych żyłem skromnie, lecz pomnożyłem znacznie moją bibliotekę. Przekonałem się z czytania wielu dzieł o niedostatku wiadomości; pojechałem zatem dla

dalszego kształcenia się w naukach do Wiednia. Uczęszczałem na kursa w akademii i brałem oddzielne lekcye od professorów. Trzy lata pracowałem usilnie, ztąd zaczerpnałem pewny zasób wiadomości, które mi przyznają. Kiedy wróciłem do Lwowa, wezwali mię, ażebym jak dawniej stawał w sprawach. Ale Bóg mię opatrzył znacznym majątkiem i ożeniłem się, nadto w skutek długiego ślęczenia nad książkami ociężałem. Postanowiłem więc naukę moją obrócić na pożytek młodych, pracowitych a ubogich. Pisałem obrony i honorarya im odstępowałem. Nie traciłem jednak na tem, bo uprzedzono się względem mnie, i niektórzy wielcy panowie prosili mnie w ważnych sprawach o opinię i napisanie obrony, którą dawałem do przeczytania w sądach w imieniu mojem. Załączali za to niewymagane lecz dobrowolne honorarya po dzieś i dwanaście tysięcy reńskich. Tym sposobem zwrócono mi nader prędko wszystkie wydatki, które poniosłem na naukę w Wiedniu.”

Na tem kończy się życiorys Dzierzkowskiego, czerpany z jego własnego opowiadania. Minister Łubiński chciał go nakłonić do osiedlenia się w Warszawie i przyjęcia udziału w rządzie Księstwa. Ofiarowano mu prezesowstwo sądu apellacyjnego i kasztelanieę w senacie; ale światły mecenas nie pragnął zaszczytnych urzędów i wręcz oświadczył, że chce resztę dni życia przepędzić w mieście, w którym doszedł do majątku i znaczenia.

Łubieński wywzajemniając się za dowody przyjaźni odbierane od Dzierzkowskiego, opowiadał mu dzieje swego publicznego zawodu. Ztąd niektóre ważniejsze przytoczymy szczegóły, w celu dopełnienia życiorysu.

Wiemy już z poprzedniego opowiadania, że Łubieński wysłany w młodych latach na naukę do Włoch, zaznajomił się tam z historią i z prawodawstwem rzymskiem. O dalszem kształceniu się i o organizacyi sądownictwa podaje szczegóły następujące: Po powrocie do kraju, mianowicie po dojściu do pełnoletniości zabrał się do nauki dawnego prawa polskiego, uczyniwszy zaś w tej mierze pewne postępy, zaczął zgłębiać stosunki prawne i organizację sądów w obcych krajach. W czasie długiego pobytu w Berlinie postarał się o wyciągnięcie możebnej korzyści, zabierając bliższą znajomość z pruskimi uczonymi prawnikami. Poznał tam między innymi urzędnika pracującego w ministerjum sprawiedliwości, Bachmana, rodem Hanowerczyka. Światły ten prawnik był jego głównym przewodnikiem; zaznajomił go z prawami pruskimi, z organizacją ministerjum i sądów. Skoro więc Łubieński otrzymał tekę ministra sprawiedliwości i przystąpił do organizacyi sądów, wezwał na pomocnika Bachmana. Niedługo korzystał z pomocy światłego prawnika. Marszałek Davoust sprawujący niemal despotyczną władzę w imieniu cesarza Na-

poleona, w przystępie niezadowolenia, kazał porwać i wywieźć Bachmana jako Prusaka z Warszawy. Drugim z Niemców pomocnikiem ministra był Bauman, ale ten obawiając się, aby go nie spotkał los towarzysza, nie chciał dłużej pozostawać w Warszawie i wyniósł się do Pruss. Wspominając o tem, wyznaje Łubieński, że wiele zawdzięczał współdziałaniu tych panów przy urządzeniu ministeryum. Po wydaleniu się ich, posuwał dzieło reformy sądownictwa przy pomocy konsyliarzy Polaków, o których zdolnościach i zasługach pisze: „Opatrzył mię Bóg dobrym wyborem konsyliarzy: Józef Morawski, głowa filozoficzna, posiadał gruntowną znajomość praw, mianowicie pruskich, a jeszcze biegleszy w administracyi, cnotliwy przytem i pracowity. Onufry Wyczechowski i Kalinowski, biegli praktykanci i pracowici, im to winieniem Rothera zdolnego kontrollera, który najdokładniej uporządkował rachunki w całym departamencie, oraz Kopfa bardzo zdolnego archiwistę. Na początku był jeszcze konsyliarzem Józef Kalasanty Szaniawski; znałem go od młodości, ale potem zbakierowała mu głowę filozofia Kanta i jakobinizm, nie miałem zatem z niego spodziewanej pomocy. Winieniem mu zawsze jednak światło o sądach pokoju jak były w Danii; projekt ten własną wypracował ręką. Przybył mi nieco potem Antoni Wyczechowski, brat pomienionego młodszy, bardzo

biegły teoretyk w prawie i pracowity; przychylił się do mojej prośby, gdym założył szkołę prawa, został w niej dystyngowanym profesorem, wraz z sekretarzem ministeryum księdzem Szaniawskim, któremu winniśmy przetłómaczenie kodeksu Napoleona. Bandtkie wykładał prawo rzymskie, drugi sekretarz Łabęcki był professorem procedury do kodeksu i wytłómaczył ją na polski, inni rozebrali do tłómaczenia o notaryatach, o sądach pokoju, o urzędnikach stanu cywilnego. Założyłem drukarnię rządową przy ministeryum, dla drukowania dzieł prawnych oraz licznych odezwoz rozsełanych do sądów. Ks. Szaniawski znalazł dobrego dyrektora drukarni karmelitę Dąbka. Sprowadziłem z Wiednia gisera do odlewania liter. Co do sztychu, to tylko linearnie robiono, ale i z tem było dobrze.”

W dalszym ciągu opowiadania, wspomina Łubieński o napotykanym trudnościach przy organizacyi ministeryum, o braku zdolnych prawników, oraz o założeniu szkoły prawa i administracyi. Oddając zasłużony hołd pamięci współpracowników, zwraca się znów do ks. Szaniawskiego i pisze: „Stworzony on jest na profesora, nadzwyczaj pracowity. Uczyniłem go sekretarzem, gdy miałem jeszcze portefeuille spraw religijnych. Oprócz niego wybrałem dwóch honorowych konsyliarzy do spraw duchownych naszej wiary, znanych z nauki:

biskupa Prażmowskiego i prałata wileńskiego Bohusza. Kiedy zachodziły sprawy z różnawiercami, przywoływałem jako radców honorowych: Dychła najstarszego z duchownych kalwinów i Szmita pastora lutrów. Nie wypadła żadna czynność z aryanami, bo byłbym wezwał Bandtkiego. Menoniści, kwakry i filipini nie bywali u mnie. Mahometanów reprezentował Haraburda, bardzo dorzeczny człowiek. Żydzi wcale nie zgłaszali się do mnie. Frankiści kryli się ze swoim wyznaniem, a mam ich w rojem biurze: Łabęcki, Rzempołuski, Wołowscy. Oprócz jednego Rzempołuskiego, który starając się o awans rzekł do mnie: „Boję się czy mnie nie będzie przeszkodą, że jestem frankistą”,—żaden nigdy się nie przyznał. Wołowscy są zdolni i wiele obiecują w przyszłości. Rzempołuski pójdzie po linii sądowej może na pisarza. Co do innych odznaczających się zdolnościami: Surowiecki, pracowity, szkoda, że nie miał sposobności aplikowania się w akademii, ma zdolności do statystyki i ekonomii politycznej. Sekretarz Pękalski pilny, zdolny, wesoły, dopełnia wszystkiego w ministeryum i na teatr już z sześćdziesiąt sztuk lub więcej napisał. Brodowski jest również pilnym sekretarzem, ale powołanie jego zdaje się do malarstwa i wkrótce mię porzuci.”

Zwróciła szczególną uwagę Dzierzkowskiego młodzież kształcąca się w szkole prawa. Łu-

bieński wymieniał zdolniejszych i mających się udać za granicę dla dalszych studyów. Na zapytanie, z kąd poczerpnął fundusz na założenie i utrzymanie szkoły prawa, odpowiedział:

„Mój panie Dzierzkowski, przedewszystkiem potrzeba umieć chcieć, uznawszy konieczną potrzebę. Postaw się w moim miejscu. Widziałem, jak mało było za rządów pruskich uczących się prawa; nic nie pozostawało, tylko rozpacz lub założenie szkoły, aby przynajmniej przyszłość zapewnić. Współpracownicy moi przejęci byli tąż prawdą. Miejsce na szkołę miałem najpiękniejsze w moim pałacu; zakupiłem więc katedrę, ławki i książki. Nadaremnie usiłowałem wyrobić pozwolenie założenia szkoły w komissyi rządzącej, oszczędność bowiem nawet w największych potrzebach była prawidłem. Napoleon nadał nam panującego i konstytucyę, mnie wezwano na ministra sprawiedliwości, sprawy religijne oddano komu innemu. Wszystkie atoli przełożenia moje radzie stanu i teraz były nadaremne. Nie dziwić się królowi, że mało mnie wtenczas znając nie przychyłał się do mego przedstawienia. Musiałem tedy założyć szkołę z własnych funduszków, oddając lichą moją pensyę, w mocnem przekonaniu, że szkoła prawa i administracyi koniecznie jest potrzebna dla dobra kraju. Krysiński i inni współpracownicy moi z zapalem prawdziwie patryotycznym poświęcili się nauczaniu.

W drugim roku po otwarciu szkoły sprzeciwiający się Małachowski i Gutakowski przenieśli się na inne życie. Kiedy Stanisław Potocki został prezesem rady, zaprosiłem ministrów i członków rady stanu na egzamen z prawa i administracyi. Nie mogli odmówić, widziałem jednak uśmiech niedowierzania na ustach tych panów; niektórzy, jak mi powiedziano, szemrali: „Nie było nigdy szkoły administracyi; kto rządzi się dobrze, to i bez szkoły powodzi mu się dobrze, a kto na takie rzeczy wydaje—będzie goły... albośmy to nie uczyli się prawa dependując w palestrze? i nie potrzebowaliśmy professorów.” Wyznaję, że na to nie ma co odpowiedzieć, tylko wzniesć ramionami. Ale to wszystko wynagrodziło mi się sowicie. Egzamen był najpiękniejszy z zadziwieniem nawet tych, którzy tak byli przeciwni; pojęli wszyscy nieprzeliczone korzyści ze szkoły prawa i administracyi. Uczestowani po egzaminie, bardzo grzecznie rozstali się ze mną, a jak mi później król powiedział, każdy minister pisał do niego oddzielnie, oddając sprawiedliwość professorom, uczniom i użyteczności szkoły, która odtąd z prywatnej stała się rządową. Koszta nie były mi nigdy zwrócone; ale wynagrodziły się w przekonaniu, że pomimo licznych zmian i tylu lat upłynionych, pozostają dotąd świadectwa odniesionych z tej szkoły korzyści.”

W zakończeniu niniejszego opowiadania, wy-

mienia Łubieński nazwiska kilku wpływowych osób, z których uwag i napomnień korzystał, o ile te zgadzały się z jego przekonaniem. Wyznaje, że Kasztelanowi Jezierskiemu, gorliwemu protektorowi fabryk i handlu, zawdzięczał przyspieszenie zaprowadzenia trybunału handlowego, złożonego z kupców. Cześniak Klicki zarzucał poufnie ministrowi sprawiedliwości, że przeznaczał na prezesów najwyższych sądów osoby nieobeznane z prawem. Przyznawał Łubieński, że prezydujący nie są prawnikami, ale znani jako ludzie nieskazitelnego charakteru, mają sędziów i prokuratorów biegłych w prawie. Nadto, tłumaczył się następnie: „Nie przeczę, że zaprowadzając nowe prawa w Polsce, nie chciałem zupełnie odstępować od dawnego zwyczaju stawiania na czele najwyższych sądów osobistości z najgłośniejszych w kraju rodzin. Wyznaje, że skłoniła mnie do tego uwaga konsyliarza ministryum, późniejszego zięcia mego Morawskiego, że wypada dla uświetnienia i powagi sądów wynieść na prezesów cnotliwych choć nieuczonych, ze znaczniejszych familij mężów. Dla tego to wezwałem na prezesów: z arystokracji Ossolińskiego, Małachowskiego ulubionego pomiędzy szlachtą, Skarzyńskiego nawet w gronie sędziów umieściłem, ale wyznaje, że uczyniłem to przez słabość, w skutek usilnej prośby księcia Ludwika Radziwiłła. Tłumacząc się w ten sposób, zagadnąłem z mej

strony Klickiego, czy biegli byli w prawie dawni marszałkowie trybunałów, choć zresztą godni mężowie: ks. Adam Czartoryski, Małachowski, Olizar, Wilga, Kęszycki i tylu innych? Rozgniewało to zapytanie Klickiego; rzekł: „Nie było przynajmniej wspominać Olizara,” i odszedł. Rozmowa ta była dla mnie jednak nauką na przyszłość, abym i wyższe posady sądowe oddawał zdolniejszym osobom. W początkach tylko musiałem czynić ustępstwo [dla powagi sądów.]”

Występowano niekiedy z zarzutami, że sędziowie pokoju nie znają wcale prawa, i że nimi rządzą podsędkowie. Wytlómaczył się ła-two minister, określając stosunek sędziów, wybieranych z grona obywateli, posiadających największe zaufanie, do podsędków, których obowiązkiem dopomagać pierwszym w wątpliwych kwestjach prawnych. W szeregu doradców, którzy niekiedy odzywali się z napomnieniami lub naganą, Łubieński wymienia ex-pijara Dmóchowskiego i ks. Bohusza prałata wileńskiego:

„Bohusz łajał mię, że tylu dawnych polskich adwokatów, nieumiejących terazniejszego prawa, umieściłem pomiędzy obrońcami. Przyznałem, że w początkach dopuściłem dawnych zdolnych prawników, posiadających zaufanie pomiędzy szlachtą. Atoli wiadomo, że nadal już klamka zapadła, bo nakazane są egzamina

tak dla adwokatów i obrońców jako i na wszystkie stopnie sądowe.

„Dmóchowski oprócz wielu naukowych uwag, przekładał mi niebezpieczeństwo z notaryuszów, z tranzakcyj przed nimi robionych. Tłómaczyłem się, że co dotyczy się najpotrzebniejszych dla wiadomości ogółu dzieł prawnych, przetłómaczone są na język polski i do sądów rozesłane; obszerne instrukcyje dla notaryuszów wydane z ministryum powinny oświecać strony przystępujące do tranzakcyj. Zamiarem także moim jest—dodałem—utworzyć izbę notaryuszów, która ma czuwać nad wszystkiemi notaryatami.”

Pomimo pocisków nieprzyjaciół i przeszkód stawianych na sejmie i radzie stanu, Łubieński jednostajną wytrwałością dążył do przeprowadzenia w swym wydziale reform, które uważał za pożyteczne. Jak z początku tak i przy końcu swego publicznego zawodu zmuszony był od staczania walki z nieprzychylnymi członkami rady stanu. Gniewało między innemi postanowienie, że nikt bez egzaminu nie mógł być przyjęty do ministryum sprawiedliwości. O ciągłej opozycyi w radzie stanu Łubieński pisze: „Niektórzy w oczy mi mówili, że uporowi memu a nie przekonaniu ulegali; jeden tylko książę Józef moją stronę trzymał. Zawsze mawiał:—Co do wojskowości i ja wam w niczem nie ustąpię, jak Łubieński co do swego wydzia-

łu, bo my mamy prawidła, których musimy się trzymać, choćby życie stracić”.

Napomknęliśmy wyżej, że w liczbie osobistych nieprzyjaciół ministra znajdował się Dominik Kuczyński; wypada nam z kolei pomówić o sprawie, która w danym czasie wzburzyła opinię przeciwko Łubieńskiemu i stała się dla niego źródłem wielu przykrości.

Jedyne najbezstronniejsze może ocenienie tej sprawy znajdujemy w pamiętniku Kajetana Koźmiana, który przedstawiał takową z polecenia rady stanu. Nie chciał z początku Koźmian podjąć się referatu, uległ atoli w końcu pod naciskiem usilnych żądań Kuczyńskiego i licznych jego przyjaciół. Stanowisko i popularność jego określił Koźmian wybornie w kilku wydatnych rysach. Wyznajemy że w naszych oczach portret nie jest pochlebny: Dobroczynny, hojny, pełen dobrych chęci obywatel, należał do rzędu patryotów nie uznających powagi żadnej władzy, przeto nie mogących żyć w zgodzie z żadnym rządem. Kiedy wprowadzone wraz z kodeksem Napoleona reformy w sądownictwie stały się źródłem licznych protestacyj, Kuczyński stanął pierwszy w szeregu nieprzyjaciół ministra sprawiedliwości. Rozgłoszono między innymi, że na liście kandydatów podanych królowi do urzędów, Łubieński odmienił porządek i stopień jednego z nich. Kuczyński podchwycił to doniesienie jako dowód nad-

użycia władzy ze strony ministra. Zbliżał się wtedy właśnie termin otwarcia pierwszego sejmiku. Kuczyński napisał list do jednego z posłów, przyjaciela swego Szepietowskiego, gdzie oskarża ministra sprawiedliwości i domaga się ograniczenia postępowania ministrów. Następnie list ten ogłosił drukiem i rozesłał posłom. Wystąpienie to dogadzało Godlewskiemu, posłowi maryampolskiemu, który jak wspomnieliśmy wyżej, głosnemi protestacyami na sejmach, podburzył opinię publiczną przeciwko rządowi i głównie przeciwko czynnościom ministra sprawiedliwości. Łubieński widząc w ogłoszonym drukiem liście osobistą zniewagę i podniecie do zaniepokojenia umysłów, zaniósł skargę do króla i wyjednał polecenie powołania przed sąd kryminalny autora listu i drukarza. Opisujący to zdarzenie Koźmian utrzymuje, że Łubieński nie poszukiwałby urzędownie wyrządzonej mu krzywdy, lecz namówili go konsyliarze ministeryum sprawiedliwości do tak energicznego wystąpienia, w obronie zagrożonej powagi ministrów. Nie rozstrzygamy kwestyi czy Łubieński działał z własnego natchnienia czy z porady otaczających go konsyliarzy, pojmujemy jednak, że dotknięty do żywego słowami listu i wynikającymi ztąd protestacyami, mógł sam żądać pociągnięcia autora do odpowiedzialności. Sprawa z Kuczyńskim pozostawała w zawieszeniu do końca 1811 r., ostatecz-

ny zaś wyrok sądu kassacyjnego zapadł dopiero 1812 r. Uchylono wyrok sądu kryminalnego skazujący Kuczyńskiego na dwa miesiące aresztu, na mocy wniosku ministra Sobolewskiego, że do sprawy o obrażenie pismem ministra sprawiedliwości zastosowano kodeks kryminalny pruski, gdy tymczasem według praw polskich każdy obywatel ma wolność wypowiedzenia swego zdania, zatem żaden z ministrów nie może pozywać z urzędu za uczynioną mu osobistą obrazę. Odczytano wyrok sądu kassacyjnego w obec licznie zgromadzonej publiczności, złożonej przeważnie z przyjaciół i stronników Kuczyńskiego. Przyjęto ogłoszenie wyroku z okrzykiem: „Vivat sąd kassacyjny!”—i odprowadzono Kuczyńskiego z tryumfem do jego mieszkania. Następnie na sessyi rady stanu kilku członków uczyniło wnioski, aby z okoliczności tej sprawy przełożyć królowi potrzebę zakreslenia granic władzy ministeryalnej, oraz wystawić szkodliwość wpływów na niepodległość sądownictwa. Znajdujący się na tem posiedzeniu zięć Łubińskiego, Morawski, dotknięty czynionemi zarzutami, stanął w obronie ministra sprawiedliwości. Dano mu atoli do zrozumienia, że nie powinien zabierać głosu w sprawie własnego teścia. Utrzymał się wniosek i polecono Koźmianowi zredagowanie odpowiedniego przedstawienia królowi. Wymawiał się referent od niemiłego zadania, zmuszo-

ny wszakże, jak sam pisze: „zredagowałem przełożenie z całą względnością, należną dla osoby ministra, wykazując mimowolny ale nie unikniony wpływ ministrów tam, gdzie zakresu władzy nie było, a złe ztąd wynikające raczej sędziom niepojmującym swej niepodległości, niż ich zwierzchniemu dozorowi przyznałem.”

Wspominając o tem Koźmian w swym pamiętniku, oddaje sprawiedliwość Łubieńskiemu i przyznaje, że okazał w tym wypadku wielką szlachetność duszy; pierwszy albowiem zbliżył się do niego i rzekł: „Chcą mię zmusić do złożenia urzędu, bo nie wiem za co mię nienawidzą; jestem prócz tego słaby i praca mnie nęka. Miłość dobra publicznego i sumienie krzepi mię w tych przykrościach, których doznałem. Upredzono się, że chciałem dokuczyć Kuczynskiemu. Krewnym jego jestem, skłonniejszy byłem zawsze do przychylności ku niemu niż do zemsty. Mogę mieć żal do rady stanu, do pana żadnego nie mam, owszem szanuję cię jak szanowałem. Zrobiłeś swoją powinność, pragnę sobie zjednać jego przyjaźń i lepszą od członków rady opinię.” Pisze dalej Koźmian, że minister stale okazywał się dla niego życzliwym.

Pomieniona decyzja rady stanu, ubliżająca powadze ministra sprawiedliwości, była ostatnim tryumfem jego nieprzyjaciół. Kuczyński jakkolwiek groził Łubieńskiemu dochodzeniem osobistej obrazy, nie znajdował później współ-

czucia. Ze zmianą politycznych stosunków, w skutek wypadków 1812 r., utracił dawną popularność i z nią wszelki wpływ na sprawy publiczne. Łubieński z niestrudzoną gorliwością wypełniał obowiązki ministra i członka konfederacyi, aż do chwili powołania ministrów do Drezna, w skutek rozkazu króla saskiego. Nie podaje w swym pamiętniku wypadków z czasów konfederacyi 1812 r. Znany jest z wielu źródeł ten ostatni ustęp z dziejów Księztwa, utworzonego pod aureolą zwycięstw wielkiego wojownika, zamykającego swój byt polityczny z chwilą jego upadku.

Kiedy na początku lutego 1813 r. wojska rosyjskie zajęły Warszawę, wszyscy ministrowie razem z prezesem Stanisławem Potockim prezydentem francuzkim Bignon'em, opuścili stolicę i udali się do Krakowa. Towarzyszył Łubieńskiemu zięć jego Morawski, mianowany przez radę ministrów komissarzem generalnym rządowym. Po dwumiesięcznym pobycie, ministrowie wyruszyli z Krakowa do Cieszyna, ksiązę Józef Poniatowski rozstał się z nimi na Podgórzu.

W Cieszynie otrzymano rozporządzenie króla saskiego rozwiązujące radę ministrów. Niektórzy udali się do wód karlsbadzkich. Łubieński ze Stanisławem Potockim pojechał do Pragi, następnie do Drezna, gdzie znajdował się cesarz Napoleon w świetnym otoczeniu ukorono-

wanych osób i swego dworu. Wódz rozgromionej niedawno do szczytu półmilionowej armii, zgromadził w przeciągu kilku miesięcy potężne zastępy i powiódł z ufnością do boju, nie przewidując jeszcze wcale, że wątpliwym, zwodniczym już tylko blaskiem przyświecała jego gwiazda. Pisze w pamiętniku Łubieński, że ministrowie znajdowali się codziennie w rannych godzinach na posłuchaniu u Napoleona. Skoro wszedł do salonu cesarz, szykowali się z prawej strony monarchowie i księżęta krwi królewskiej, z lewej członkowie ciała dyplomatycznego i ministrowie. Cesarz zwracał się natychmiast ku lewej stronie, pozdrawiał ministrów i z nimi najprzód rozmawiał, później z panującymi.

Wystąpienia na dworze cesarskim i królewskim w Dreźnie zamykają szereg wydarzeń z publicznego zawodu ministra Łubieńskiego. Odtąd ster rządu Księstwa Warszawskiego w inne przeniósł się ręce. Nie wezwany po utworzeniu Królestwa kongresowego do objęcia piastowanego za czasów Księstwa urzędu, usunął się w zaciszę domowego ogniska. Na łonie licznej rodziny znalazł spokój i prawdziwe zadowolenie po ciężkich trudach i przykrościach publicznego zawodu. Zadowolenie to czerpał w licznej otoczeniu dzieci i wnuków, w poczuciu spełnionych sumiennie obowiązków, w uznaniu

zasług ze strony światłych i zacnych mężów, którzy byli współpracownikami lub świadkami jego działalności. Uznanie to wzrastało i upowszechniało się z chwilą ustąpienia Łubieńskiego z pola spraw publicznych; z wygasłem bowiem źródłem osobistej niechęci i zawiści, doczekał się bezstronniejszego sądu i oddania należnego szacunku i hołdu za wytrwałą pracę i liczne dowody gorliwości. Dożywszy sędziwej starości (umarł 1848), był minister sprawiedliwości widział z niemałą pociechą, że utworzona przez niego organizacja sądownictwa, przetrwała, z nieznacznemi zmianami, lat kilkadziesiąt i różne koleje kraju.

Sprostowanie ważniejszych dostrzeżonych omyłek.

Str. 232 w. 4 od góry zam : *Dziaszkowski* czyt.: *Dzierzkowski*.
 „ 237 „ 3 „ dołu „ *obywatelskiej* „ *pełną obywatelskiej*.
 „ 239 „ 5, 15 i 18 od góry zamiast: *Dziaszkowski* czytają: *Dzierzkowski*.

SPIS RZECZY.

CZEŚĆ I.

- | | <i>Str.</i> |
|---|-------------|
| I. Wieczór w domu wojewody inflanckiego. Niefortunne małżeństwo. Poseł kaliski na sejmie 1778 roku. Jego wychowanie i młodociane lata. Układy o rozwód..... | 1 |
| II. Powrót z Warszawy na wieś po ukończonym Sejmie. Rozstanie z żoną i przywiązanie posła kaliskiego do jej rodziny. Sprawa podkomorzego kaliskiego z Rogalińskimi w trybunale piotrkowskim. Poseł kaliski staje w sądzie uppełnomocniony przez Rogalińskich. Powrót z Piotrkowa do Szczytnik. Reformy gospodarskie i włościańskie; spory o łakę i najazd. Propozycja Młodziejowskiego, biskupa poznańskiego. Wyjazd za granicę i pobyt w Berlinie..... | 18 |
| III. Pobyt u matki w Guzowie. Kabała pani Viliama. Śmierć biskupa Młodziejowskiego. Przywilej na starostwo Zagójskie. Kapela i zabawy w Szczytnikach. Żyd swatem. Podróż do Warszawy. Zamek w Poddębicach. Doktor Curtis. Księżna Sanguszkowa Marszałkowa W. W. X. L. Panie: Lancko- | |

- rońska i Granowska. Wnuczki Księżny. Kawaler Pyrrhys de Varille. Inne osoby dwór Księżny w Poddębicach składające. Towarzystwa, zabawy i zwyczaje. Sen panny Tekli Bielińskiej. Wyjazd Starosty Nakielskiego do Warszawy..... 36
- IV. Pobyt starosty Nakielskiego w Warszawie. Codzienne zatrudnienia Króla. Chlubne świadectwo uczonego Anglika Wilhelma Cox'a o wykształceniu literackim Stanisława Augusta. Powrót do Poddębic. Przyjazd kapeli ze Szczytnik. Koncert i tańce. Wrażenia w umyśle Starosty z okoliczności pobytu w Poddębicach..... 59
- V. Wyjazd Starosty do Wrocławia. Rewia wojsk pomiędzy Wrocławiem i Świdnicą. Fryderyk Wielki i rozmowa jego z ks. Kazimierzem Nestorem Sapiehą. Śniadanie u starosty; Następca tronu pruskiego; Margrabia Lafayette i Lord Cornwallis. Opowiadanie Cornwallisa. Powrót do Szczytnik i wyjazd do Poddębic. Zabawy urządzone tamże z okoliczności przyjazdu ks. Czartoryskiej Stolnikowej. Propozycya ożenienia. Oświadczenie. Pośrednictwo Króla. Ożenienie..... 91

CZĘŚĆ II.

- I. Wstęp. Sejmik województwa sieradzkiego w Szadku. Feliks Łubieński Starosta Nakielski obrany posłem. Przyjazd do Warszawy. Deputacya do Króla. Działalność Łubieńskiego w epoce czteroletniego sejmu. Sprawy domowe. Siostrzenica księdza Albertrandego. Dalsze przygody w zawodzie publicznym 1790—1792 roku..... 113
- II. Pogłoski o wojnie z Prussami 1793 r. Łubieński wybrany w deputacyi do króla pruskiego, wyjeżdża do Berlina, następnie do Frankfurtu. Audyencya



- u Króla. Jeńcy francuzcy. Frankiści z Warszawy we Frankfurcie. Wyjazd z Królem do obozu pod Moguncją. Zdobyćie tej twierdzy. Powrót przez Pragę do kraju. Król Pruski w Szczytnikach w końcu 1793 roku..... 132
- III. Deputacya do Króla pruskiego 1795 r. Hoym minister zarządzający Szlązkiem. Graf Massau. Blumenthal. Audyencya u Króla. Wizyty ministrów. Obiady u Króla. Uwolnienie jeńców polskich. Powrót na wicé. Nowe kłopoty i wyjazd do Berlina 1796 r. w interesie starostwa guzowskiego. Przyjęcie u dworu. Obiad u ministra morskiego handlu i finansów. Spotkanie ze sławnym graczem Michałem Walickim. Kupno Guzowa. Wspomnienia z 1798 r..... 146
- IV. Wypadki z końca 1806 r. Deputacya z Warszawy do Cesarza Napoleona. Przyjęcie deputacyi w Poznaniu. Przyjazd Napoleona do Warszawy. Przedstawienie panów i dam warszawskich. Zabawy. Ustanowienie Komisyi Rządzącej na początku 1807 roku. Feliks Łubieński dyrektorem Wydziału Sprawiedliwości i Wyznań. Działalność Łubieńskiego za czasów dyrektoryatu. Konstytucya Księztwa Warszawskiego. Łubieński Ministrem Sprawiedliwości. Król Saski w Warszawie w końcu 1807 r... 168
- V. Wprowadzenie kodeksu Napoleona 1 Maja 1808 r. Założenie szkoły prawa i drukarni rządowej. Zarzuty czynione Łubieńskiemu i nieporozumienia w skutek zaprowadzenia aktów stanu cywilnego. Przyjazd Króla Saskiego do Warszawy i sejm na początku 1809. Wojna z Austryą. Przyłączenie Galicyi Zachodniej do Księztwa Warszawskiego. Wystąpienie Rady Stanu Franciszka Grabowskiego przeciwko Ministrowi Sprawiedliwości. Odpowiedź i obrona Łubieńskiego. Poufne konferencye w gabinecie Króla..... 201

VI. Wyjazd Łubieńskiego do Töplitz. Sejm 1811 r. Mowy na sejmie posłów Godlewskiego i Węglińskiego. Odpowiedź Ministra Sprawiedliwości na czynione mu zarzuty. Podziękowanie przedstawicieli władz sądowych. Dzierzkowski adwokat ze Lwowa. Jego biografia. Opowiadanie Łubieńskiego o reformie sądownictwa i urzędzeniu ministerjum sprawiedliwości. Sprawa z Kuczyńskim. Wyrok sądu kassacyjnego. Wypadki 1812 r. Wyjazd Ministrów do Drezna. Zakonczenie.....	232
--	-----